

W NUMERZE :

Jan Tokarski: Pod Ponckim Piłatem — str. 1.

Teodozja Lisiewicz: Biczowanie (prze-
kład) — str. 2.

Tytus Komarnicki: Państwo polskie w
politycznych koncepcjach mocarstw
zachodnich 1917—1920 — str. 3.

Zdzisław Stahl: Wietnamska „eskala-
cja“ wojenna zmienia układ światowy
i grozi pokojowi — str. 5 oraz „Jał-
ta wewnętrzna — zagadnienie wciąż
aktualne — str. 39.

Stanisław Paczyński: Przed nowym
„październikiem“ — str. 7.

Zbigniew Grabowski: Z cyklu „Ojczyzna
Europa“ — Niemcy (II) — str. 9.

Jan Adamski: Sytuacja mas pracują-
cych w Kraju — str. 13.

Feliks Królikowski: Zjazd socjologów w
Warszawie — str. 14.

Wacław Chocianowicz: Marynarka Sta-
nów Zjednoczonych — str. 17.

Alfons Bronarski: Walka o samostano-
wienie w Szwajcarii — str. 18.

Claudine: Nowa moda paryska
— str. 20.

Eva d'Ervarth: Moda, prawo i obyczaj
— str. 23.

Maciej Cybulski: Przez bioskop
— str. 24.

Wiesław Strzałkowski: Z zagadnień
estetyki — str. 26.

Kazimierz Schleyen: Wywiad i jego
psychologia — str. 27.

Wojciech Stefański: Nagrobek i prze-
życia spotkanych — str. 30.

Paweł Zaremba: Świadek prawdy tak
poważny — str. 31.

Czesław Jeśman: „Epoka chińska“
— str. 33.

Z życia Polaków w świecie.

Kazimierz Glabisz: Siły zbrojne układu
warszawskiego — str. 40.

Klara Evans: Cud (opowiadanie)
— str. 42.

Jan Ostrowski: Życie kulturalne pol-
skiego Londynu — str. 46.

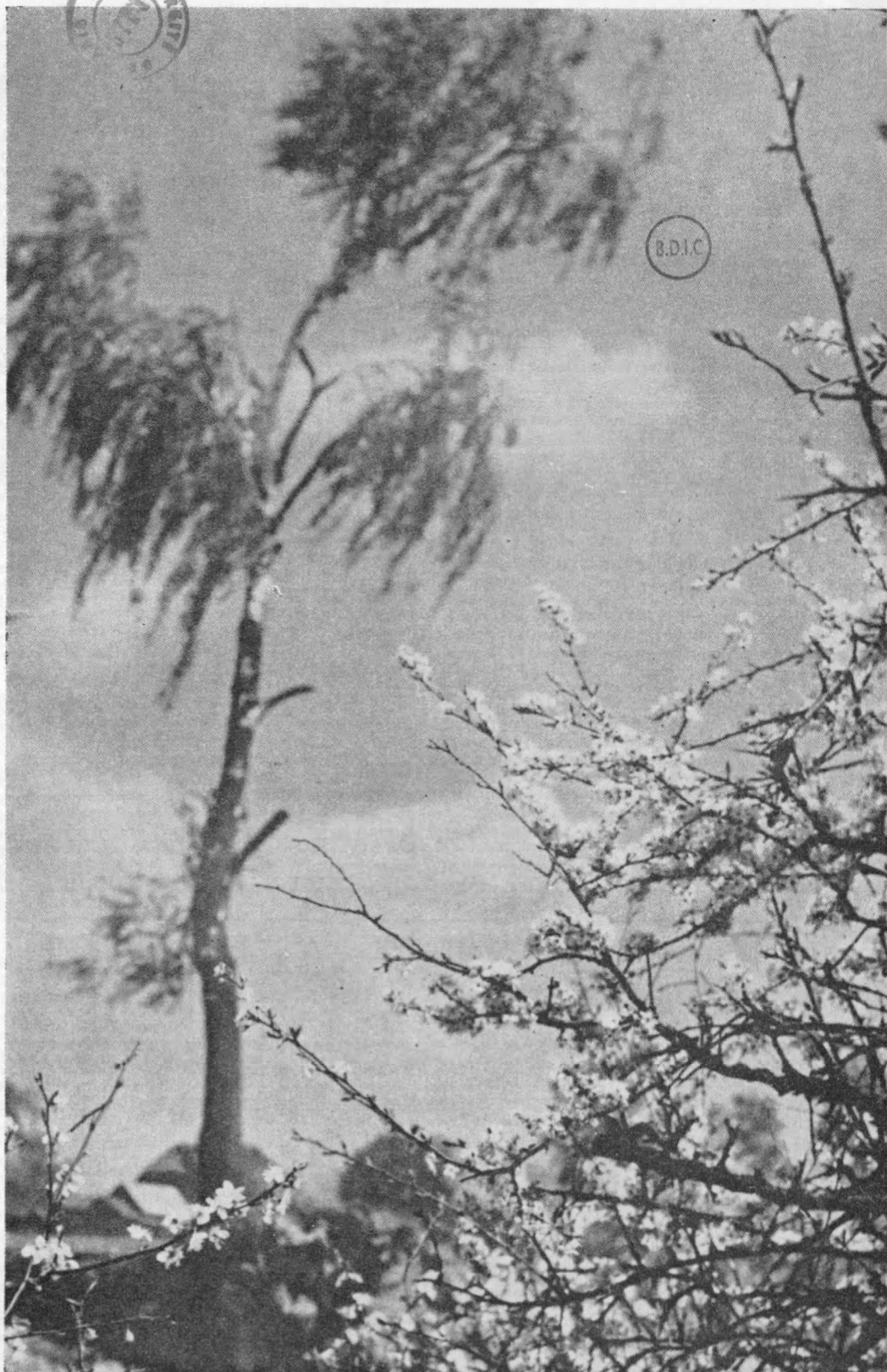


Foto: E. Hartwig

KWIECIEŃ W POLSCE

Wesołego Alleluja!

52 strony

— Cena (Price): £0.36; \$0.50; 2.50 F.

FP 2156

LISTY DO REDAKCJI

WYJAŚNIENIE I PROTEST POLSKICH ORGANIZACJI W AUSTRALII

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem umieszczonym na 1-ej stronie „Orla Białego“ ze stycznia br., w którym autor p. S. Paczyński zaatakował równie energicznie jak niesłusznie Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji Społecznych w Australii, zwracam się do Pana Redaktora z prośbą o przyjęcie i ogłoszenie tego wyjaśnienia, w myśl zasady „audiatur et altera pars“.

Jako długoletni członek wymienionego Prezydium Rady Naczelnej, odpowiadam na ten artykuł w imieniu swoim i całego Prezydium.

Materiał do swego artykułu czerpał autor z artykułu Zbigniewa Jasińskiego, ogłoszonego na łamach paryskiej „Kultury“ Nr 11 z listopada 1964 r. Na artykul p. Jasińskiego poszła już odpowiedź Prezydium Rady Naczelnej do „Kultury“, ale chcielibyśmy aby czytelnicy „Orla Białego“ też mieli sposobność przeczytania naszej odpowiedzi.

Pan S. Paczyński jest zdecydowanym McCarthystą. Uważa wszelkie kontakty z Krajem za zdradę narodową, tak jakby w Polsce mieszkało 31 milionów zażartych komunistów, wobec czego nie wolno utrzymywać z nimi żadnych stosunków, nie wolno jeździć do Polski, nie wolno chodzić na koncerty „Mazowsza“ czy „Śląska“ itp.

Tymczasem jak dobrze wiadomo nam, emigrantom politycznym, którzy się żywo interesują wszystkim co się w Polsce dzieje, do partii komunistycznej należy w Polsce około półtora miliona osób, z których nie więcej niż 10 procent jest prawdziwych komunistów, a reszta to ludzie na wyższych stanowiskach w administracji i przemyśle, różnego rodzaju „aparaczyki“, którzy chcą dobrze żyć, i gdyby w Polsce rządziła faszysty, to byliby członkami partii faszystowskiej. Tacy ludzie są we wszystkich społecznościach. Razem z nimi więc, do partii należy nie więcej niż 5 proc. ludności, a 95 proc. to ludzie, którzy nienawidzą komunizmu tak samo jak my go nienawidzimy, ale żyją z nim bo muszą, tak jak się żyje z chroniczną chorobą.

Czy tylko dlatego nie wolno nam utrzymywać z nimi kontaktu, że oni mieszkają w Kraju rządzonym przez komunis-

tów, a my mieszkamy poza Krajem? Protestujemy przeciwko tym tendencjom odrywania nas od Narodu w Kraju jak najenergiczniej! Jesteśmy integralną częścią tego Narodu i chcemy nią pozostać. Wszyscy bolejemy nad losami naszego Kraju, który w wyniku tragicznego splotu wydarzeń wojennych wpadł w orbitę działania komunizmu, tego największego oszustwa jakie zna historia w skali światowej. Ale na szczęście dla Polski większość Polaków została w Kraju, bo jakby wszyscy zrobili tak jak my, emigranci, to jest nie wrócili do Polski, względnie za wezwasu z niej wyjechali, to dziś nie byłoby ani Polski „ludowej“, ani w ogóle żadnej innej. Bo Polska leży nad Wisłą, a nie nad Tamizą czy Sekwaną i innej Polski nie ma!

Ale przejdźmy do faktów jakie zarzucają nam p. Jasiński i p. Paczyński. Kamieniem obrazu dla Polonii australijskiej i zdradą narodową ma być rzekome spotkanie Prezydium Rady Naczelnej z przybyłym z Polski posłem reżymowym dr Frankowskim, we wrześniu 1961 r. w Domu Polskim w Sydney. Na Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej odbyłym w październiku 1962 r. w Sydney, były interpelacje delegatów, czy rzeczywiście takie zebranie miało miejsce. Na zaprzeczenie Prezesa Rady, miał się znaleźć na sali człowiek, który wstał i oświadczył, że to nieprawda, bo zebranie z p. Frankowskim odbyło się w Domu Polskim i on sam brał w nim udział. To była ta wielka bomba, o której pisze p. Jasiński, a za nim p. Paczyński.

A jak sprawa wyglądała naprawdę. Incydent z „człowiekiem-bombą“ miał rzeczywiście miejsce. Tym człowiekiem był adwokat sydneyjski, p. Aleksander Iwczenko, zamieszkały w Sydney, przy ul. Ellalond Road, Cremorne, North Sydney — który stwierdził, że rzeczywiście odbyło się w Domu Polskim w Sydney zebranie z p. Frankowskim, ale zebranie to było zwołane przez Zarząd Klubu Sportowego „Polonia“, a celem zebrania było uzyskanie od p. Frankowskiego wiadomości, czy mógłby w jakiś sposób pomóc w sprowadzeniu dla Klubu „Polonia“ dobrych piłkarzy z Polski. Dla wyjaśnienia podam, że polskie kluby sportowe nie tylko w Sydney, ale we wszystkich wielkich miastach w Australii, gdzie są większe skupiska Polaków, stale prowadzą akcję sprowadzania z Pol-

ski dobrych piłkarzy, zbierają na to pieniądze i wcale tego nie ukrywają, że w tym celu muszą wchodzić w kontakty z konsulem reżymowym.

Stwierdzam, że p. Iwczenko nie był członkiem Prezydium Rady Naczelnej, ani nie był tam przez to Prezydium delegowany. Był na zebraniu jako osoba prywatna, sympatyk sportowców i „kibic“ meczów piłki nożnej. Stwierdzam dalej, że p. Iwczenko ani na owym Zjeździe Delegatów w r. 1962, ani nigdy przedtem, ani potem nie twierdził, że w zebraniu z p. Frankowskim brał udział ktokolwiek z Prezydium Rady Naczelnej.

Ala p. Iwańczakowi (w którego obronie były pisane artykuły pp. Jasińskiego i Paczyńskiego) było potrzebne — dla jakichś tylko jemu wiadomych celów — żeby w to zebranie wpakować Prezydium Rady Naczelnej. Napisał więc odpowiednią notatkę do wychodzącego w Adelaidzie (stolica pldn. Australii) pisma „Nasza Droga“. Pismo to ogłosiło artykuł, w którym autor bił na alarm z powodu zdrady narodowej, którą miał popełnić najwyższy organ Polaków w Australii, tj. Prezydium Rady Naczelnej, i co gorsza, zdrada ta miała być popełniona dla „korzyści materialnych“. Prezydium Rady Naczelnej zażądało natychmiast od redakcji „Naszej Drogi“ podania nazwisk rzekomych uczestników tego zebrania, gdyż artykuł nie wymieniał żadnych nazwisk. P. Iwańczak przyciśnięty do muru przez redakcję „Naszej Drogi“ podał nazwisko wiceprezesa Prezydium, p. B. Kurnatowskiego. Wtedy p. Kurnatowski wniósł skargę do Zarządu Związku Dziennikarzy R.P. w Sydney przeciw p. Iwańczakowi, który jest członkiem tego Związku.

Sąd Koleżeński Związku Dziennikarzy, po bardzo sumiennym zbadaniu sprawy i przesłuchaniu szeregu świadków stwierdził, że oskarżenie p. Kurnatowskiego o udział w zebraniu w Domu Polskim z ramienia Prezydium Rady Naczelnej — było kłamliwe i wymierzył p. Iwańczakowi karę w postaci nagany i zawieszenia w prawach członków na dwa lata.

Tak wygląda sprawa w świetle faktów, a „bomba“ z autentycznym świadkiem, okazała się zwykłym niewypałem.

Od wizyty Frankowskiego minęło już trzy i pół roku i wszyscy już o niej zapomnieli, bo jak pisze w pewnym ustępie swego artykułu p. Jasiński: „...nikt naprawdę poważny nie dał się wziąć na lep wysłanników reżymu. Przyjechał, było trochę szumu i znów wszystko dzieje się po staremu...“

Pytam się, komu jest potrzebne robienie z wizyty Frankowskiego wielkiego sukcesu, kiedy w rzeczywistości była ona wielkim fiaskiem, bo nawet sportowcy, którzy sobie po tym spotkaniu wiele obiecywali, nic na nim nie zyskali. Więc po co judzić, jątrzyć, robić zła krew między nami, a równocześnie wielką przyjemność reżymowi, który tylko zaciera ręce, patrząc jak jedna taka wizyta potrafi wbić klin w jedność emigracji politycznej. Zresztą ta działalność naszych hurra-patriotów idzie bardzo w parze z zaleceniami obecnego ministra spraw wewnętrznych w Polsce, gen. Moczara, który podaje, że najlepszą receptą na rozbicie emigracji jest podważanie autorytetu władz emigracyjnych. Znając p. Jasińskiego, wierzę że ta zbieżność metod jest tylko przypadkowa. P. Paczyńskiego nie znam.

Prezesem Rady Naczelnej jest od szeregu lat gen. Juliusz Kleeberg. Trudno sobie wyobrazić lepszego kandydata na to stanowisko. Jego inteligencja, wyrobienie

(Dalszy ciąg listów na przedostatniej stronie okładki)

fraszki

Najtrudniejsze stadium ewolucji

Z wiekiem

Czasami i polityk staje się człowiekiem.

Sowiecki kosmonauta

Wolno mi chyba słowa współczucia dorzucić:

Biedaczek! Choć już wysiadł, ale musiał wrócić.

Potęga woli

We wszystko wierzy

Ten, komu na tym ogromnie zależy.

RAWICZ



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 9/1156

KWIECIEŃ 1965

Rok XXV

JAN TOKARSKI

„POD PONCKIM PIŁATEM“

O SOBOCIE' wielkiego tygodnia wspomina tylko ewangelista Mateusz. Pisze więc jak to przedniejsi kapłani i faryzeusze zgromadzili się u Pilata z następującym żądaniem:

— Panie, przypomnieliśmy sobie, że zwodzieciel ten jeszcze za życia powiedział: „po trzech dniach zmartwychwstanę“. Rozkaż przeto, aby strzeżono grób do dnia trzeciego, by śnać nie przyszli uczniowie jego, a nie wykradli go i nie powiedzieli ludowi: „Powstał z martwych“. I będzie błąd ostatni gorszy od pierwszego.

A na to Pilat rzekł:

— Macie straż, idźcie i strzeżcie jak umiecie...

Namiestnik mówi lekceważąco „macie“, „idźcie“, „strzeżcie jak umiecie“. Jedyna to satysfakcja jaka mu pozostała — zasłaniać swoją słabość wobec starszyny żydowskiej, gdyż znów ustępuje, jak ustąpił wczoraj, kiedy z obawy o swoją pozycję u Tyberiusza wydał Jezusa na śmierć pomimo trzykrotnego oświadczenia, iż uznaje go niewinnym.

Nie zdołał być ani wrogiem ani przyjacielem Jezusowi. Lecz też nie umiał się zdobyć wobec niego na obojętność. I oto właśnie jego wspominaamy w Credo, a nie prawdziwego wroga lub prawdziwego przyjaciela Jezusa! Kiedy chcemy o kimś powiedzieć, że figuruje w sytuacji, do której nie dorasta, lub jest tam bez jakiegokolwiek oczywistej przyczyny, mówimy: „znalazł się jak Pilat w Credo“.

Credo jest zestawieniem dwunastu artykułów wiary. Są to fakty dla chrześcijanina tak podstawowe, że zawierają skrót całej jego wiary. Dlatego Credo nazywa się symbolem — w starochrześcijańskim znaczeniu tego słowa — lub wyznaniem wiary. Wspomniany zwrot o „Pilacie w Credo“, istniejący w tylu językach, wyraża odwieczne zdziwienie dlaczego nazwisko poganina znajduje się w chrześcijańskim wyznaniu wiary; dlaczego w zestawieniu prawd najważniejszych zachodzi imię człowieka, który prawdy nie szukał i nie potrzebował, a mimochodem rzuciwszy ironiczne pytanie „coż jest prawda“, nawet nie czekał na wyjaśnienie Chrystusa — tak go nie interesowała jej definicja.

Egzegeci i kaznodzieje przypominają nam, że dwoje ludzi występuje w Credo. Dwoje tylko ludzi: Matka Boża i Pilat. Matka Boża — ponieważ została postawiona u samego początku tajemnicy Wcielenia, Wcielenie zaś jest — żeby tak powiedzieć — pierwszym prawem 'termodynamiki' chrześcijaństwa. Przeto Matka Boża jest kamieniem probierczym wiary. Ale Pilat? Pilat nie jest kamieniem probierczym niczego, najmniej zaś wiary. Wiemy przecież z historii, że istniał, zatem nie potrzebujemy w niego wierzyć. Kto tylko otworzy podręcznik historii starożytnej, ten przy rozdziale o Palestynie w początkach naszej ery dowie się, że Pilat był piątym z kolei prokuratorem czy namiestnikiem Rzymu w Judei i sprawował swoją władzę od roku 26-36. Rzymski historyk

Tacyt przy opisie panowania Nerona powie, że Chrystus przez prokuratora „Ponckiego Pilata został wydany na mękę (krzyża)“.

Wobec tego dlaczego jego nazwisko znalazło się w wyznaniu wiary i chrześcijanin musi je znać i wymieniać kiedy odmawia prywatnie w swoich pacierzach „Wierzę w Boga“, lub publicznie, z duchownym swego wyznania, recytuje w kościele uroczystą formę Credo?

Mniejsza z resztą o nas, którzy należymy do tak zwanej kultury zachodniej. W tym kręgu cywilizacyjnym historia państwa, którego Pilat był nie najświetniejszym przedstawicielem, jest po trosze jakby początkiem historii narodowych różnych krajów. Do nazwisk takich jak Horatius Flaccus Albinus, Marcus Tullius Cicero, Ovidius Publius Naso czy innych można jeszcze dodać i to jedno — Pontius Pilatus.

Ale Chińczyk, Hindus, Wietnamczyk, Japończyk? Cóż ich obchodzi Rzymianin o cudacznym dla nich nazwisku? Przytem Rzym jeszcze nie istniał, jeszcze nie był nawet owym pierwotnym 'Rzymem Kwadratowym' ze swymi paru nędznymi lepiankami na Palatynie, gdy tamte ludy miały już za sobą stulecia wielkiej historii i cywilizacji. Dlaczego Kafer, Zulus, Dongola, Bantu, którzy Rzymowi nie zawdzięczają prawie nic lub nic, nie mieli nic wspólnego z jego historią, a niektórzy z żadną historią w ogóle, jeśli tylko zostają chrześcijanami, muszą z konieczności poznać i do końca życia wymieniać nazwisko urzędnika dawno nie istniejącego państwa?

Co więcej, z Rzymu może nie pozostać kamień na kamieniu, Palestyna po jakiejś kosmicznej katastrofie może się znaleźć na dnie morskim i zniknąć bez śladu, jak Sodom i Gomorra, a jednak biali, czarni, żółci, czerwoni i brunatni chrześcijanie nie przestaną po całym świecie aż do skończenia czasu wyznawać swej wiary, że Jezus Chrystus poczęty z Ducha Świętego i urodzony z Panny Marii, został „umęczony pod Ponckim Pilatem“. — Dlaczego 'Pilatus' znalazł się w Credo?

Prawdopodobnie właśnie dlatego, że nie potrzebujemy wierzyć w Pilata, bo wiemy z historii, że istniał. Wymieniają go nie tylko ewangelisści, lecz jego własny rodak, historyk Tacyt lub pisarze żydowscy jak Józef

zwany Flawiuszem albo wielki Filo z Aleksandrii; mówi o nim niedawno znaleziona inskrypcja w miejscu, gdzie kiedyś była Cezarea nadmorska i gdzie rzymscy prokuratorzy mieli swoją siedzibę.

W ten sposób — jak to podkreśla Ronald Knox (u którego w tym szkicu wielce się zapożyczam) — nazwisko tego słabego człowieka ma siłę i trwałość większą niż czas, bo jak kotwica przytwierdza do określonego miejsca i określonych okoliczności początek chrześcijaństwa. Piłata, który był tak kiepskim strażnikiem prawa, chrześcijaństwo postawiło na straży swej prawowitości. Człowieka, który nie był ciekaw prawdy, uczyniło świadkiem swej prawdy naczelnej: Odkupienia. Człowieka, który znika z historii nie wiadomo jak i gdzie, bo nie znamy jego losów po odwołaniu z Judei, historia postawiła na własnym rozstaju jak drogowskaz. (Odkupienie bowiem dzieli ją na dwoje: do Odkupienia zmierzały dzieje poprzednie, od Odkupienia zaczęła się nowa era historii).

Z nazwiskiem tego chwiejnego człowieka związana została ta śmierć, która stała się chrztem nowości świata, początkiem nowej ery jego dziejów. Związał się z nim krzyż i nawet zmartwychwstanie, które jego żołnierze pierwsi rozgłosili. Ponieważ żył, istniał, jego nazwisko mówiło obywatelom tego państwa, którego był urzędnikiem, a które zalewały najprzedziwniejsze religie przychodzące zewsząd, że twórca chrześcijaństwa to nie mit, jak Apollo, Ozirys, Orfeusz, Mithra, ale rzeczywista postać. Że Chrystus był kimś, o kim nie mówi się językiem baśni — „hen, kiedyś, za siódmą górą, za siódmą rzeką“, ale za „cesarza Augusta“; „piętnastego roku panowania Tyberiusza“; „gdy Poncjusz Piłat zarządzał Judeą“...

Mógł to sprawdzić nawet ktoś, kto sprzeciwiał się samej wierze. Toteż poganie jak Swetoniusz, Tacyt, Pliniusz Młodszy, potem Celsus i inni nie podają w wątpliwość faktu, że człowiek Jezus żył. Chrześcijaństwo wiąże z nim i jego imieniem. W miarę jak chrześcijan przybywa coraz więcej, kiedy chrześcijaństwo staje się przedmiotem zainteresowania filozofów, kiedy to i wśród pogan rodzi się literatura poświęcona chrześcijaństwu, polemicy nie kwestionują

istnienia Jezusa. Będą — rzecz rozumiała — negowali jego bóstwo, będą sztydziłi z pretensji nowej religii do uniwersalności, ale nie wątpią w istnienie historycznego Jezusa.

* * *

Kiedy Jezus jako niemowlę został przyniesiony do świątyni, starzec Symeon nazwał Go mianem, które oddać — można tak powiedzieć — stanowi treść dziejów chrześcijaństwa: „Znak, któremu sprzeciwiać się będą“, *signum contradictionis*. Jezus był takim znakiem za swego ziemskiego życia, jest nim nadal i nigdy nim być nie przestanie. Od blisko dwu tysięcy lat na wielkiej przestrzeni świa-

ta znak ten pobudza ludzi do niezwykłych wysiłków: Jednych by go wywyższyc, drugich by go powalic i unicestwic.

Z wszystkich ludzi, jacy żyli na ziemi, tylko Jezus nie przestaje zabierać całego serca. Jak powiada G. Ricciotti, tylko on pozostaje tym, d'a którego oddaje się wszystko — nawet życie: z miłości albo z nienawiści.

Bo nikt z żyjących nie jest tak żywy, jak On, który „umęczon pod Ponckim Piłatem i ukrzyżowan“, umarł i został pogrzebany, lecz Trzeciego Dnia zmartwychwstał...

Jan Tokarski

BICZOWANIE

Z tekstu wyd. 1860 r. spisane go przez K. Brentano. Autoryzowany przekład z francuskiego Teodozji Lisiewicz.

... nawet wtenczas, kiedy Heród, odziewszy Więźnia dla zabawy w purpurowy płaszcz królewski, odesłał Go z powrotem Piłatowi, ten nie chciał zatwierdzić wyroku śmierci. Nic go nie obchodziły sprawy Żydów, przedkładane mu z uniżonością, ale i źle tajoną nienawiścią, nie chciał jednak swoim rozkazem pokrywać niezrozumiałych dla niego zatargów pomiędzy kapłanami a jakimś tam prorokiem. Tymbardziej, że jego zdaniem Więzień nie popełnił żadnego przestępstwa. Powiadał się przy tym Synem Bózym, Piłat wiedział, że z bogami należy być ostrożnym, lubią bowiem mścić się na ludziach. A kto może zaręczyć czy Bóg, o Którym Więzień mówi, nie jest potężniejszy od zawodnych bóstw rzymskich? Wtenczas zemsta dosięgnie nie Żydów lecz tego, czyje słowo zaważyło na szali śmierci. Postanowił zatem, że zanim znajdzie jakieś rozwiązanie, skaże Go na chłostę, co może uspokoi Żydów.

Zwartym szeregiem, żeby nie dopuścić rozwścieczonego tłumu, żołnierze powiedli Więźnia na forum, gdzie pośrodku, od północnej strony pałacu Piłata, stał słup, przy którym biczowano.

Oprawcy mieli twarze ciemne, zwierzęce. Zresztą z obnażonymi ramionami, pokrytymi gęstym włosiem, w skórach zwierząt, z obnażoną pół piersią, w przepaskach na biodrach, nisey, krępi, prędzej przypominali zwierzęta niż ludzi. Byli to zbrodniarze, których pełno łapano na pograniczu egipskim i odsyłano na ciężkie roboty, lecz naj-

dzikszych i podatnych do spełnienia każdego rozkazu, pretorianie wybierali sobie na oprawców.

Sześciu ich było. Mimo, że Więzień nie opierał się, rzucili się na Niego, skrępowali i powlekli na sznurze. Słup był na tyle wysoki, żeby wyciągnąwszy ręce można dosięgnąć żelaznego uchwyty w górze. Kiedy oprawcy zdarli z Więźnia purpurowy płaszcz i odzienie, drzał na całym ciełe. Po ruchu warg można było poznać, że się modli. Raz tylko odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Matkę. Stała w oddaleniu. Spojrzenie Syna było ponad Jej siły. Osłabła. Byłaby upadła, gdyby nie podtrzymały Jej kobiety. Oprawcy tymczasem przywiązali ramiona Więźnia do górnego uchwyty i tak naciągnęli ciało, żeby stopy zaledwie dotykały ziemi.

Dwaj pierwsi ujęli ostre giętke trzciny i zaczęli chłostę przez głowę po stopy. Ciało Więźnia skręcało się pod każdym uderzeniem. Jęczał. Lecz — nie był to zwykły jęk wywołany bólem. Było to ciche modlitewne zawodzenie. Wtórował mu jednostajny świst prętów, gdy wrzask faryzeuszów i tłumu stanowił wtórny, który czasem opadał, przechodził w pomruk jakby dalekiego grzmotu i wtenczas słyhać było tylko wołanie: Na śmierć! Na śmierć!

Piłat w tym czasie układał się ze starszą Żydowską. Z powodu wrzawy, własnych słów nie słyhał i co jakiś czas kazał dąć w trąby, żeby ludzie zamilkli. Kiedy cisza zalegała forum, słyhać było tylko świst uderzeń, cichy jęk Więźnia i pobekiwanie jęgniętych paschalnych, które myto właśnie w pobliskiej sadzawce Probatice. Dziwnie żalony głos. Jak gdyby zwierzęta wyczuwały ogrom zbrodni i jedyne

łączyły się z Więźniem w Jego ręce. A Żydzi, to z ciekawości, to żeby uwierzyć, że oto biczą Tego, którego sami niedawno witali jak króla, to przeżeni, większość zaś, żeby zlorzeczyć, napierali na pretorianów. Ci, stali zwarci, obojętni, nieporuszeni.

Przed wartownią gromada młodzieńców wybierała z pęku trzciny jedną, gdy kilku pobiegło po krzew cierniowy.

Po kwadransie zmieniono biczących. Ciało Więźnia pokryte krwawymi pręgami, w wielu miejscach skórę miało już przeciętą. Już krew spływała na kamienne płyty forum.

Po nocy wyjątkowo chłodnej, ranek nastąpił chmurny i spadło nawet trochę gradu, czemu nie dziwiono się o tej porze roku. Dopiero około południa przejaśniło się nieco i nawet ukazało słońce.

Druga para oprawców użyła prętów kolczastych. Darła ciało. Krew tryskała na bijących. Jęk Więźnia wciąż był jak ciche, modlitewne zawodzenie.

Jakaś cudzoziemska karawana przejeżdżająca obok forum, zatrzymała swoje wielbłądy. Kogo biczą? pytali. Kilku spośród nich Jan ochrzcił, kilku słyszało Kazanie na Górze, patrzyli więc zdziwieni. Za cóż tego Człowieka skazano na chłostę?

Po następnym kwadransie stanęła trzecia para oprawców. Bili haczykami na łańcuchach, które ciążyły do kości, wydzierając ciało kawałkami. Więźnia przy tym odwrócono twarzą do forum i jeden z oprawców mierzył w twarz za każdym uderzeniem. Więzień dosłownie był jedną raną i ciche modlitewne zawodzenie zaczynało słabnąć.

Kiedy trzeci kwadrans dobiegał końca, nagle z tłumu tam, gdzie zgromadziła się biedota, wyskoczył jakiś człowiek. Nóż miał w ręce. Był to powinowaty Ktesifona, tego, któremu Pan wzrok przywrócił. Krzyknął: Dość! Zatluczenie na śmierć tego niewinnego! Oprawcy bezwiednie opuścili plagi. Wtenczas w gnieniu oka przeciął sznury kępujące Więźnia i równie szybko znikł w tłumie. Więzień osunął się na ziemię. Barbarzyńcy, widząc że nikt rozkazu nie wydaje ruszyli ku wartowni, gdzie wśród śmiechu i żartów pleciono już cierniową koronę.

Wtenczas jakieś trzy rozwyrzone dziewczyny zbliżyły się ciekawie do leżącego. W tej chwili taki ból szarpał Jego ciało, że drgnął, uniósł nieco głowę. Spojrzał na kobiety. Wrzasnęły, niewiadomo z przestrawienia czy z obrzydzenia i nie przestając piszczeć, uciekły. Żołnierze wyjrżeli z wartowni i widząc dziewczyny, wybuchnęły śmiechem...

TYTUS KOMARNICKI

**PAŃSTWO POLSKIE W POLITYCZNYCH
KONCEPCJACH MOCARSTW ZACHODNICH,
1917 — 1920**

POD powyższym tytułem ukazała się niedawno w Polsce praca młodego historyka Remigiusza Bieżanka (Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa, 1964, stron 129). Pracą tą chciałbym się specjalnie zająć dla następujących względów: Po pierwsze, dlatego, że porusza ona tematy omawiane obszernie w moim studium wydanym po angielsku „Rebirth of the Polish Republic“, (Heinemann, London, 1957), po drugie dlatego, że praca Bieżanka opiera się w dużym stopniu na tych samych, co moja materiałach, a po trzecie ponieważ autor wyciąga odmienne od moich wnioski, choć miał do dyspozycji te same, co ja materiały.

Praca Bieżanka jest napisana niewątpliwie zgodnie z kryteriami naukowymi, choć drażniącym musi być dla czytelnika powoływanie się jako na źródło na wypowiedzi współczesnych autorów, szczególnie krajowych i „radzieckich“ — zmniejsza to w dużym stopniu wartość naukową książki. Niestety, taki ukłon w stosunku do komunistycznych doradców czy raczej nakazodawców należy do stałego repertuaru wydawnictw o tematyce polityczno-historycznej.

W pracach historyków krajowych, poświęconych najnowszej historii Polski, uderza nieraz więcej to, co zostało opuszczone, niż to co napisano. Wiemy dobrze, że pewne zagadnienia są „tabu“ i muszą być przemilczane albo podane we właściwym oświetleniu. Na skutek tego autorzy krajowi nie mogą przedstawić tematu w całej rozciągłości. Spotykamy to też oczywiście w pracy Bieżanka. Nie może on dać właściwej analizy polityki Rosji bolszewickiej, musi pomijać niemal całkowicie rolę Piłsudskiego, która jednak była decydującą, jeśli chodziło o zagadnienia wschodniej polityki Polski, (już o Dmowski można pisać więcej, ale też ze szczególnego punktu widzenia), nie może swobodnie omawiać zagadnień wewnętrznych polskich opisywanego przez siebie okresu. Bez uwzględnienia tych elementów otrzymuje się

obraz jednostronny, powiedziec nawet można, wykrzywiony.

Z rozważań Bieżanka nad zagadnieniem naszej granicy zachodniej, mogło by wynikać, że Polska była tylko elementem biernym i że działania polskie w niczym nie zaważyły na przebiegu naszej granicy z Niemcami. A jednak bez powstania wielkopolskiego nasza granica z Niemcami byłaby zapewne jeszcze bardziej dla nas niekorzystna, a bez trzech powstań śląskich nie otrzymalibyśmy nawet tego skrawka Górnego Śląska. Protesty niemieckie przeciw transportowi armii Hallera przez Gdańsk wynikały z obawy stworzenia przez Polaków faktu dokonanego przy ujściu Wisły.

Z twierdzeniem autora, że mocarstwa zachodnie na tyle tylko popierały interesy polskie, na ile odpowiadało to ogólnym liniom ich polityki zagranicznej, nie trudno się nie zgodzić, bo to jest zjawisko ogólne i nigdy prawie się nie zdarzało, aby jakieś państwo poświęcało swe interesy dla względów ideologicznych. W mej wyżej wymienionej pracy wyraźnie stanąłem na tym samym stanowisku. Można oczywiście, z polskiego punktu widzenia, biadać nad tym, że polityka mocarstw zachodnich była krótkowzroczna, że przygotowywała grunt do nowych wstrząsów i na skutek zbyt dużego liczenia się z Niemcami osłabiała pozycję własnych sojuszników, ale należy liczyć się z realiami i przyjąć, jako ogólne założenie, że w polityce międzynarodowej liczą się przede wszystkim wielkie mocarstwa i że one kierują faktycznie losami świata, niejednokrotnie z podeptaniem zasad prawa międzynarodowego i moralności międzynarodowej, że te mocarstwa we wzajemnych stosunkach biorą pod uwagę bardziej ryzyka, jakie mogłyby w przyszłości wyniknąć dla nich w wypadku trwałego zagrożenia interesów jednego z nich, nawet nieprzyjaciela, niż interesy mniejszych, choćby zaprzyjaźnionych państw. To jest reguła ogólna i Polska doznała jej skutków na Konferencji Pokojowej w Paryżu i wiele razy później na konferencjach

Rady Najwyższej i przy stopniowej rewizji traktatów pokojowych. I na Zachodzie i na Wschodzie interesy Polski i jej rewindykacje terytorialne były niejednokrotnie poświęcane na rzecz interesów niemieckich lub rosyjskich (czy to spodziewanej, przyszłej Rosji, odrodzonej po upadku bolszewizmu, czy też nawet Rosji czerwonej). Wynikało to też z tego, że nasza wizja przyszłej Europy była odmienną od wizji brytyjskiej a również i francuskiej.

P. Bieżanek dyskretnie pisze o wpływie rewolucji październikowej na kształtowanie się koncepcji politycznych mocarstw zachodnich. Przypisuje jednak wielką wagę hasłu samostanowienia narodowego wysuniętemu przez Rosję bolszewicką. Nie wspomina jednak o tym, jak to wyglądało w praktyce, w jakim stopniu Rosja bolszewicka gwałciła te zasady w stosunku do wyzwalających się narodów Rosji: Ukrainy, Kaukazu, Bałtów. Narody Europy środkowej i Południowej nie potrzebowały żadnej pomocy ze strony Rosji i kiedy Konferencja Pokojowa zebrała się w Paryżu stanęła przed szeregiem faktów dokonanych w drodze samorzutnych ruchów. Czas już by skończyć z pozytywnym rzekomo wkładem Rosji bolszewickiej do dzieła wyzwolenia narodów europejskich.

Ze sposobu przedstawienia sprawy przez p. Bieżanek mogłoby wynikać, że państwa zachodnie chciały posługiwać się Polską, jako bastionem anty-,radzieckim“ jak również pragnąc uchronić Niemcy przed rewolucją komunistyczną, łagodziły warunki rozejmu i pokoju z Niemcami. W tym jest tylko część prawdy, bo Polska nie dlatego prowadziła wojnę z Rosją, aby przysłużyć się państwu zachodnim, była bowiem sama śmiertelnie zagrożoną i musiała podjąć walkę wobec nadciągającej nawały ze wschodu w stopniu nieprzewidywanym przez państwa zachodnie i niejednokrotnie wbrew radom i wezwaniom Ententy. To co było dla Zachodu tylko fragmentem i to przejściowym ich polityki, było racją stanu Polski. Inaczej czekał ją los wcielenia do Rosji Sowieckiej, a wiemy że takie były zamierzenia Kremla w roku 1920. Jest charakterystycznym, że autorzy krajowi wahają się wychodzić poza rok 1919, jakkolwiek nie na tym roku kończyło się tworzenie

Państwa Polskiego, bo i nasze granice zachodnie zostały ostatecznie ustalone po plebiscycie śląskim. Wydaje mi się, że to co tutaj stwierdziliśmy, w pełni potwierdza zarzut postawiony przeze mnie na początku tego artykułu, że p. Bieżanek daje skrzywiony obraz naszej niedawnej przeszłości.

Twierdzenia autora zdawały by się potwierdzać slogany propagandy bolszewickiej, że Polska w okresie konferencji pokojowej i po niej nie była w istocie niepodległą, a pełniła tylko rolę służebną w stosunku do mocarstw zachodnich. Stąd jeszcze przez długie lata po Wersalu i Rydze Moskwa oskarżała Polskę o to, że pod dyktando Paryża przygotowywała interwencję „kapitalistyczną“ przeciw Rosji. Propaganda ta znajdowała nieraz echo w kołach radykalnych Zachodu, zawsze wrażliwych na wszystko, co pochodzi od „lewicy“. Rzekome zakusy Polski na Ukrainę były jednym ze stałych tematów propagandy bolszewickiej i zwłaszcza, pozostającej pod jej wpływem, sprzedanej prasy francuskiej.

Rewolucja październikowa niewątpliwie odbiła się na losach Polski, ale nie w tym sensie, jak to stara się przedstawić p. Bieżanek. Nie dlatego, że Rosja wysunęła hasło samostanowienia narodów, bo służyło ono tylko dla celów dywersyjnych w stosunku do państw zachodnich, a nie znajdowało praktycznego zastosowania w „ojczyźnie proletariackiej“, ale, przede wszystkim, dla tego, że wytrąciła Rosję z grona wielkiej anty-niemieckiej koalicji, co do pewnego stopnia rozwiązało ręce mocarstw zachodnim w stosunku do Polski, oraz również dla tego, że w początkowym swym okresie stworzyła stan anarchii w Rosji, zniszczyła ją gospodarczo i uniemożliwiła wzięcie czynnego udziału w organizacji pokoju europejskiego.

Cokolwiek moglibyśmy powiedzieć o polityce mocarstw zachodnich i jakkolwiek krytycznie moglibyśmy się odnieść do poszczególnych ich posunięć, pozostaje faktem, że obawa przed rozprzestrzenianiem się bolszewizmu w Europie, skłoniła Zachód, obok tendencji pewnego osłabienia Niemiec (większego, jeśli chodzi o Francuzów, mniejszego jeśli chodzi o Brytyjczyków), do udzielenia swej protekcji powstającemu państwu pol-

skiemu, co wyraziło się w wydatnej pomocy głodującej ludności, w udzieleniu tak zwanych kredytów reliefowych na zagospodarowanie się i pomocy materialnej (Francja) dla tworzącej się armii polskiej. Bez tego wszystkiego nie byłoby możliwym dla Polski, mimo patriotycznych wysiłków i ofiar narodu polskiego, wybrnięcie z niesłychanie krytycznej sytuacji, z której Polska startowała do niepodległego bytu. Bez politycznego i moralnego poparcia zwycięskiej koalicji, niepodległość Polski mogłaby być w zarodku zduszona przez Niemców, którzy zachowali poważne siły na wschodzie i szykowali się do ponownego zajęcia Wielkopolski. Napewno nie dostalibyśmy nawet tego skrawka G. Śląska, który nam przypadł, bez poparcia Francji w Radzie Najwyższej. Nie bylibyśmy w stanie wyekwipować naszej armii i obronić się przed Sowiecami. Nie mielibyśmy zabezpieczonego zaplecza od strony Niemiec w czasie śmiertelnego zagrożenia naszej niepodległości latem 1920 r.

Jeżeli więc mamy szereg racji w wysuwaniu poważnych zarzutów pod adresem mocarstw zachodnich, to nie powinniśmy jednocześnie zapominać o tym, cośmy przez to uzyskali dzięki temu, że mocarstwa zachodnie same, bez udziału naszych imperialistycznych sąsiadów, Niemiec i Rosji, decydowały o powojennym układzie politycznym Europy. To nam pozwoliło utrwalić naszą niepodległość i przetrwać przez dwadzieścia lat.

Rozumiemy dobrze, jak bardzo idzie na rękę propagandzie komunistycznej wykazywanie antynomii interesów między Polską a Zachodem, ale nie uwzględnianie przy tym celów i metod polityki bolszewickiej w stosunku do Polski uniemożliwia przedstawienie całego obrazu sytuacji. Jeśli by ktoś chciał opierać się na pracy autora mógłby łatwo dojść do wniosku, że jedynym przyjacielem Polski była i jest Rosja Sowiecka i że na nią tylko naród polski może liczyć. Oczywiście, że opuszczenie Polski przez Zachód po II-iej wojnie światowej ułatwia wyciąganie fałszywych analogii. Jednakże zarówno w latach 1919-1920, jak i w latach 1939-1941 sytuacja była zupełnie odmienna i to obiektywny historyk musi brać pod uwagę.

Tytus Komarnicki

WIETNAMSKA „ESKALACJA“ WOJENNA

ZMIENIA UKŁAD ŚWIATOWY I GROZI POKOJOWI

DAWNIEJ, w czasach mniej „postępowych“, kiedy wojny kończyły się opartymi na jakichś zasadach moralnych i prawie traktatami, między państwami panował stan wojny albo pokoju, stosunki określone i wyraźnie się różniące. Po ostatniej jednak, drugiej wojnie światowej, której nie zakończono ogólnym traktatem pokojowym, a najważniejsze sprawy załatwiono szeregami zmw silnych przeciw słabym, wytworzyła się zupełnie inna sytuacja międzynarodowa.

Odrzuciwszy moralne zasady i prawo, nie dano też światu pokoju, ale zaledwie „pokojową koegzystencję“ i w jej zakłamanych ramach rozmaite konflikty, ani to wojenne ani pokojowe, dla których obmyśla się nazwy nowe, nieznanne dotychczasowemu słownictwu. Mamy wojny „zimne“ i „gorące“, „rewolucyjne“ czy „wyzwoleńcze“, jeśli agresor działa nieoficjalnie ukrywaną dywersją, mamy wreszcie nowe określenie najpotworniejszych środków niszczycielskich, jakie zna historia, mianowicie bomb wodorowych, nazwanych „odstraszakami“, jakby to były dziecinne zabawki.

Do tej serii nowotworów, mających przesłaniać istotną treść i robić ją strawną dla opinii publicznej, zaliczyć wypada „eskalację“. Termin ten wymyślono w Stanach Zjednoczonych dla określenia metody stopniowego rozwijania i posuwania akcji wojennej, prowadzonej przez amerykańskie siły zbrojne przeciw oddziałom komunistycznym reżymu pñ. wietnamskiego, walczącym o opanowanie Wietnamu Południowego. Cała ta, od wielu lat trwająca ofensywa nazywana jest przez blok komunistyczny „wyzwoleńczą, rewolucyjną“ walką narodu wietnamskiego, wojną prowadzoną przez ludność lokalną przeciw „imperialistycznym agresorom amerykańskim“ czyli powstańczej i domowej, do której obcym mieszać się nie wolno.

FATALNEJ DECYZJI PRZEKLEŃSTWO

Fatalność dokonanego przez mocarstwa podziału tego kraju sztuczną linią graniczną 17-go równoleżnika, komplikuje zagadnienie i ułatwia infiltrację komunistyczną od północy. Oddziały Wietkongu narodowościowo bowiem nie różnią się od wietnamskich wojsk południowych i działają na obszarze geograficznie oraz etnicznie tego samego kraju. Drugą przewagą komunistów na terytoriach

indochińskich jest fakt, że oddana im przez genewską konferencję w roku 1954 Północ ma bezpośrednio terenowo oparcie o rządzaną przez Mao-Tse-tunga „Chińską Republikę Ludową“.

W rezultacie, broniący się przed komunizmem i chcący zachować samodzielność, naród wietnamski ma czerwony imperializm chiński pod bokiem, od północy, a sprzymierzeńców zachodnich, swojej narodowej walki, w szczególności Stany Zjednoczone, w geograficznej oddali, po drugiej stronie Pacyfiku. Cała ta sytuacja zewnętrzna ułatwia rzecz jasną, przedstawianie Amerykanów, jako interwencjonistów, a komunistycznych dywersantów, zbrojonych i kierowanych poprzez Hanoi z Pekinu albo nawet z Moskwy, jako walczących o wolność powstańców. Można by powiedzieć, że to jest przekleństwo „złego czynu“, mianowicie podziału żywych organizmów narodowych dla lichego kompromisu, a raczej odroczenia konfliktu między własnymi interesami mocarstw.

NAKAZY AMERYKAŃSKIEJ STRATEGII

Wojnę w Indochinach, jak kraj ten nazywano dawniej, gdy był kolonią Francji, prowadzili z komunistyczną dywersją, od zakończenia okupacji japońskiej w roku 1945, wprawdzie do upadku Dien Bien Fu i konferencji genewskiej z roku 1954; teraz, już od kilku lat, prowadzi ją rząd pñ. wietnamski przy współudziale Ameryki, która od pomocy materiałowej i finansowej, poprzez dostarczanie instruktorów technicznych i doradców wojskowych — stopniowo eskalacja doszła ostatnio do bezpośredniego zaangażowania własnych sił zbrojnych, lotnictwa, z obecnej od dawną na tamtejszych wodach 7 floty i nawet oddziału słynnej piechoty morskiej, który oficjalnie wylądował pod Sajgonem.

Dlaczego zainteresowanie Stanów Zjednoczonych w obronie Wietnamu i całej pñ. wschodniej Azji przed komunizmem jest tak uparte? Dlaczego ostatnio osiągnęło ono fazę tak daleko idącą, zaangażowania bezpośredniego i mogącą prowadzić do wojny na szerszą skalę? Odpowiedź na pierwsze z powyższych pytań daje amerykańska strategia, według której zajęcie pñ. wschodniej Azji, otwierając dalszą drogę komunistycznej ekspansji na archipelag Malajski i Australię ku po-

łudniowi oraz oskrzydając Indie od wschodu, zwichnęło by równowagę świata na rzecz komunizmu i zagrożiło bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, obu kontynentom Ameryki i w ogóle zachodniej półkuli.

ILUZJE CONTAINMENT'U

Polityka „powstrzymywania — containment'u“ komunistów na 17 równoleżniku Wietnamu i poprzez neutralizację Laosu, a bez własnego czynnego zaangażowania się wydawała się Waszyngtonowi tak długo wystarczająca, póki można było obserwować rozluźnianie się wewnętrzne bloku komunistycznego, liczyć na odciąganie od komunizmu Indonezji pod Sukarną, a przede wszystkim — na trwałe i całkowite zerwanie między Moskwą a Pekinem. Stopniowa poprawa (eskalacja) stosunków z Rosją, na zasadzie status quo w Europie i perspektyw współpracy z nią gospodarczej, miała prowadzić ją równoległe do konfliktu z „Chińską Republiką Ludową“, co z kolei odbierało by komunistycznej ekspansji na pñ. wschód azjatycki charakter większego niebezpieczeństwa.

Byliśmy więc, przez kilka ostatnich lat władzy Chruszczowa w Moskwie, świadkami rozdmuchiwania sporów moskiewsko-pekińskich, zapowiadania konfliktu nawet zbrojnego na „płonącej“ już jakoby — np. według Lippmanna — granicy sowiecko-chińskiej — co wszystko wmówiono wprawdzie znacznemu odłamowi, łaknącej takiej optymistycznej strawy zachodniej opinii, ale nie przekonano Kremla. Zupełnie niespodziewanie dla zachodnich rzeczoznawców sowieckich (sowiektologów) w październiku upadł Chruszczow i perspektywy, niewiadomo czy i poprzednio realne, zupełnego zerwania sowiecko-chińskiego zostały rozwiane. Kontrowersje między obu głównymi stolicami komunizmu trwają dalej, ale rachuby na sparaliżowanie ekspansji czerwonej na pñ. wschodnią Azję, wskutek tych kontrowersji, jeśli nie zostały jeszcze w Białym Domu L. B. Johnsona całkowicie przekreślone, to co najmniej poddano je wątpliwościom i rewizji.

CZY KOMPROMIS JEST MOŻLIWY?

I w tym punkcie tkwi źródło obecnej taktyki Waszyngtonu, w tych wątpliwościach, jak daleko — na tle rozwoju wzajemnych stosunków między Mao-

WIETNAŃSKA „ESKALACJA...

Tse-tungiem a nowym kierownictwem Kremla — należy się liczyć z ewentualnościami wojskowej interwencji chińskiej oraz sowieckiej? Jak taktyka amerykańska, ofensywna czy umiarkowana, oddziała na te stosunki, oto najważniejsza problematyka dzisiejszej strategii światowej, obracającej się dokoła wojny na obszarze nieszczęsnego kraju, który kiedyś nazywaliśmy w Europie Indochinami, a dzisiaj — poza Francją — Wietnamem.

Amerykański obóz koegzystencji z Sowietami, polityka rządu brytyjskiego — i z przyczyn nieco odmiennych, które wymagały by osobnych rozważań Francja — robią teraz wysiłki, aby skłonić L. B. Johnsona do kompromisu i uniknąć w ten sposób, największego — zdaniem tego obozu — nieszczęścia międzynarodowego w postaci naruszenia koegzystencji z Rosją i perspektyw zbliżenia sowiecko-zachodniego. Czołowy publicysta tej polityki fundowania pokoju światowego na „czerwonym drucie“ Biały Dom-Kreml, amerykański Walter Lippmann, a za nim liczni sowietolodzy Londynu i innych stolic zachodnich biją więc na alarm i straszą fatalnymi skutkami do wojny wielkiej włącznie, jeśli Waszyngton nie dogada się jakoś z Moskwą, co do zatrzymania wietnamskiej „eskalacji“ wojennej.

Sowieccy rzeczoznawcy amerykańscy, którzy rozporządzali wielkimi wpływami na Kennedy'ego, stracili widać kredyt u Johnsona, ponieważ nie wydaje się, by chciał ustępstwami kupować pokój w Azji. Zdaje sobie zapewne sprawę, że było by to fatalną „utrata twarzą“, po której trzeba by długo pracować nad jej odzyskaniem w świadomości ludów na tych, istotnego znaczenia dla Stanów Zjednoczonych, obszarach świata. Toteż, zamiast o wycofaniu się i próbach rokowań, czyta się pogłoski o wzmocnieniu nacisku amerykańskiego na komunistów w Wietnamie. Waszyngton przygotowuje rzekomo 350 tysięczną armię do lądowania w tym kraju i „eskalacja“ ma postępować dalej.

„CALCULATED RISK“ GROZI ROZSZERZENIEM WOJNY

Jak długo ona potrwa i do czego ostatecznie doprowadzi, to trudno przewidywać. Zmylona ocenami swoich rzeczoznawców, strategia Waszyngtonu została z pewnością zaskoczona podróżą Kosygina do Pekinu i Hanoi oraz objawami solidarności sowieckiej z reżymem płn. wietnamskim. Ponieważ jednak ideologiczno-partyjne spory sowiecko-chińskie nie wygasły, zwa-

szcza ze strony Pekinu, a informacje o zapowiedzianych raketach przeciwlotniczych oraz ochotnikach sowieckich dla płn. Wietnamu są — jak dotąd — niepewne i sprzeczne, nadzieje na jakiś kompromis za pośrednictwem Moskwy są jeszcze w Waszyngtonie żywione i jakieś poufne rozmowy toczono.

Niemniej, jeśli nawet istnieją ku temu tendencje w rządzie amerykańskim, a nawet na Kremlu, osiągnięcie takiego kompromisu i ograniczenia lub zażegnania konfliktu wietnamskiego może się okazać niemożliwe. Moskwa ze swojej strony, nie będzie mogła sobie pozwolić na takie układy z „amerykańskim imperializmem“, które naraziły by jej przodowniczą rolę w bloku i ruchu komunistycznym, a otworzyły drogę zwycięstwu wolnego świata w Azji. Ze swojej strony, prez. Johnson z przyczyn, zarówno strategii amerykańskiej, której zasady na Pacyfiku wyżej przytoczyliśmy, jak wewnętrznych — popularności własnej i Demokratów — musi próbować na terenie Wietnamu „rozumnego ryzyka — calculated risk“ — póki nie osiągnie rozstrzygnięcia, które mogło by przynajmniej być przedstawione własnej opinii jako sukces. Ryzyko nawet „kalkulowane“ pozostaje ryzykiem i w rezultacie, niebezpieczeństwo rozszerzenia się płd. wschodnio-azjatyckiego konfliktu jest chyba większe niż spowodowała je kiedyś Korea a ostatnio Kuba. Poważniejsze może, niż z powodu blokady Berlina w roku 1948, kiedy wszystkie elementy decyzji skupione były po stronie sowieckiej na Kremlu, w jednych rękach Stalina, który próbował szantażować Zachód, ale — nie mając jeszcze bomby atomowej i czując powojenną słabość Sowietów w porównaniu z Zachodem — wojny w rzeczywistości nie chciał.

POLITYKA LONDYNU, PARYŻA I INNYCH

Konflikt wietnamski stanowi główne zagadnienie dzisiejszej sytuacji światowej, ale angażuje ze strony zachodniej bezpośrednio tylko Stany Zjednoczone. Najściślej związana z polityką amerykańską lub raczej podporządkowana jest W. Brytania. Jest to paradoksem, ale właśnie socjalistyczny rząd Wilsona, dawniej krytykowanego wobec Waszyngtonu, uzależnił się od tamtejszego rządu szczególnie ściśle. Potrzebując nieodzownie amerykańskiej pomocy finansowej dla obrony funta, obiecał też Wilson Johnsonowi stanowcze poparcie w sprawie Wietnamu za cenę solidarności amerykańskiej w obronie Federacji Malezyjskiej, zagrożonej przez dywersyjną agresję ze strony Indonezji, do niedawna popieranej z Waszyngtonu.

Obecnie, trudno stwierdzić, o ile tylko dla zaspokojenia swojej pacyfistycznej, wewnętrzno-partyjnej opozycji, Londyn daje do zrozumienia jakoby próbował pośrednictwa pokojowego. Dało to w każdym razie sposobność zatrudnienia Gordon Walkera z dymisjonowanego z powodu porażek wyborczych sekretarza spraw zagranicznych. Postanowiono go wysłać w takich celach do płd. wschodniej Azji.

Zachodnia Europa, poza tym, że Francja opowiedziała się stanowczo za pokojowym, neutralistycznym załatwieniem konfliktu wietnamskiego i korzysta z okazji wyjścia z użycia „czerwonego drutu“ Biały Dom-Kreml, aby manifestować zbliżenie z Rosją, zajęta jest głównie swoimi wewnętrznymi sprawami. Zaognienie Bonn-Kair, wywołane niespodziewanym zaproszeniem Ulbrychta do stolicy Egiptu, świadczącym o wzroście tam wpływów sowieckich miało charakter epizodyczny i dotyczyło bocznego toru polityki niemieckiej

* * *

Dla nas, Polaków czy innych narodów środk. wschodnio-europejskich naruszenie współpracy amerykańsko-sowieckiej, jako petryfikującej, fatalny dla nas, status quo terytorialny, nie jest oczywiście powodem do zmartwienia. Rozczarowania zaś polityków, spodziewających się opierać pokój świata na „koegzystencji“ z Sowietami, możemy uważać raczej za żądane. Mianowicie, jeśli z tych rozczarowań będą oni umieli wysnuć należyte wnioski.

Z. S.

100-NA ROCZNICA ZAMORDOWANIA LINCOLNA

14 kwietnia upływa setna rocznica zamordowania Abrahama Lincolna, największego spośród prezydentów Stanów Zjednoczonych i ojca współczesnej demokracji.

Strzał, który go zabił był najtraficniejszy w historii Ameryki, nie pozwolił mu bowiem „wygrać pokoju“ po wygraniu krwawej, czteroletniej Wojny Domowej między Północą i Południem Stanów Zjednoczonych. I tak po stu latach zrównanie białego z czarnym, „Kwestia murzyńska“ w Ameryce czeka ciągle na rozwiązanie godne myśli Lincolna.

Rocznicy i zagadnieniu poświęcimy obszerniejsze studium w numerze majowym.

PRZED NOWYM „PAŹDIERNIKIEM“

— Ofensywa „Zbowidu“ na ośrodki kombatanckie — Zadania berlińskiej „Polonii“ i Moczara — Płacz Berlinga — Katastrofa gospodarcza w Polsce

W GRUDNIU ub. r., pisząc artykuł do styczniowego numeru „Orla Białego“, położyłem nacisk na konieczność przygotowania się emigracji, a w szczególności jej związków kombatanckich do odparcia nowej ofensywy reżimu, przygotowywanej przez szefa bezpieczeństwa Mieczysława Moczara i kierowany przezeń ZBoWiD. Podkreśliłem przy tym, że reżimowy Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, o którym na emigracji mało kto w ogóle słyszał — otrzymał do wykonania ważne zadanie w sektorze emigracyjnym.

To ostrzeżenie przed szykującą się ofensywą wprowadziło w szal reżimowych politruków. Toteż reakcja ich była natychmiastowa. Już w początkach lutego spadły na moją głowę komunistyczne gromy. Zapewniając, że moje „prostackie“ podejście do sprawy nie podobało się nawet „redaktorom „Orla Białego“, zaprawionym od lat w zwalczaniu wszystkiego, co ma jakkolwiek związek z Krajem“, reżimowy wyrobnik komunistycznej propagandy nawet nie usiłował ukryć swej wściekłości. Pisał dosłownie („7 Dni w Polsce“ z 7 lutego br.):

„Paczyński nawołuje do odparcia „niebezpieczeństwa zarysowującego się na odcinku ściśle kombatanckim“, pisze na temat „zbowidowych agentów“ (...). To węszenie „agentów“ jest wysoce symptomatyczne. Ma ono na celu zastraszenie opinii polonijnej, stordedowanie zawczasu inicjatywy ZBoWiD-u, który wyciąga braterską rękę (...).“

Reżimowy propagandzista wie naturalnie, że jedynie w takim ustroju jak komunistyczny można opinię publiczną nie tylko zastraszyć, lecz także całkowicie zdławić. W wolnym świecie natomiast można ją tylko ostrzegać i przekonywać. Nic niżej. Nie przeszkadza mu to jednak dalej brnąć w błocie komunistycznego kłamstwa.

W jednym jednakże muszę mu oddać sprawiedliwość: istotnie dążyłem do stordedowania zawczasu tak zw. inicjatywy ZBoWiD-u. I to się w du-

żej mierze udało. Ilość ostrzeżeń, jakie się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ukazały na łamach niepodległościowej prasy — można już liczyć na dziesiątki. Dzisiaj czytelnik emigracyjny wie bardzo wiele i na temat Moczara i na temat ZBoWiD-u. Jest więc uprzedzony. I to na czas. A o to przecież przede wszystkim chodziło.

Przede wszystkim, ale nie wyłącznie. Będziemy bowiem nadal palcem wskazywać nie tylko na zbowidowych agentów, lecz także na ich emigracyjnych popleczników, na wszelkiego rodzaju emigracyjnych oportunistów i dwustokowców. Jest to bowiem nasz obowiązek. Emigracyjny czytelnik ma prawo od nas tego wymagać. I wymaga. Albowiem chce być wszechstronnie poinformowany, chce wiedzieć całą prawdę. Ułatwia to mu wyrobienie własnego sądu, powzięcie własnej decyzji.

Wracam do Moczara i ZBoWiD-u. a właściwie do nowego reżimowego planu.

Nie ma bowiem najmniejszej wątpliwości co do tego, że Moczar nie występuje jako solista. Co więcej — nie do niego należała decyzja „budowania mostów“ i „szukania dialogu“ z emigracją. W systemie komunistycznym nie ma miejsca na indywidualne inicjatywy. A prymat partii nad rządem jest niewzruszalnym kanonem. Otóż w hierarchii partyjnej Moczar wcale nie jest wielką figurą.

Istotnie, nawet po ostatnich przesunięciach, jakie nastąpiły w listopadzie ub.r., Moczara nie widzimy we wszechwładnym Politbiurze. Przypomnijmy tylko jego obecny skład i podział zadań: pierwszy sekretarz — Władysław Gomułka; premier — Józef Cyrankiewicz; głowa państwa — Edward Ochab; zagadnienia organizacyjne partii na Śląsku — Edward Gierek; sprawy doktrynalne i przygotowanie kadr — Zenon Kliszko; planifikacja gospodarcza — Stefan Jędrzychowski; związki zawodowe — Ignacy Loga-Sowiński; sprawy zagraniczne — Adam Rapacki; obrona narodowa — Marian Spychalski; spra-

wiedliwość i sprawy wojska i policji — Ryszard Strzelecki; sprawy gospodarcze (razem z Jędrzychowskim) — Eugeniusz Szyr i Franciszek Waniołka.

Moczara nie widzimy także ani wśród zastępców członków Politbiura ani też w ośmioosobowym Sekretariacie. W hierarchii partyjnej jest on zwyczajnym członkiem KC PZPR. Jakże więc mógł on samodzielnie opracować i wprowadzić w życie emigracyjne plany?

Prawda jest inna. Na podstawie szczegółowej analizy całego zagadnienia oraz kilkudziesięciu rozmów z rodakami z Kraju stwierdzam kategorycznie:

Plan „budowy mostów“ i „szukanie dialogu“ z emigracją został opracowany przez warszawskie Politbiuro i zatwierdzony przez Moskwę. Moczar, znany nad Wisłą jako dobry „aparatchik“ — jest tylko jego wykonawcą. Dysponując osławionym MSW 5, o którym wiele w swoim czasie pisałem w związku z aferą szpiegowską Bitońskiego, oraz stojąc obecnie na czele ZBoWiD-u — Moczar, w rozumieniu kompartii, wiele powinien zrobić zamieszania wśród emigracji, zwłaszcza że „karta kombatancka“ grana jest po raz pierwszy.

Ale ta karta od razu została za-grana fałszywie, po partacku. I żadnego myślącego emigranta nie zdoła wprowadzić w błąd. Jak się okazuje, w żadnej dziedzinie, nawet w dziedzinie walki z emigracją polityczną i jej organizacjami — reżim nie może odstąpić od wzorów sowieckich. A to znów od razu zdradza całe przedsięwzięcie.

Zbyt znana jest przecież na emigracji osławiona „Polonia“, polska sekcja sowieckiego sztabu w Berlinie wschodnim. Nosi ona oficjalnie nazwę „Towarzystwa Łączności z Wychodźstwem“. Otóż specjalna komisja ZBoWiD-u, której zadaniem jest „zmiękczenie“ emigracji — nazywa się „Komisją Więzi z Polonią Zagraniczną“. Tam „łączności“, a tu „więzi“. Wszystko na modłę sowiec-

kiego komitetu „swiazi“ z emigrantami, działającego w Berlinie wschodnim. Warszawskim politrukowi nawet innej nazwy nie wolno było wymyśleć. I jakże to ma chwycić? Przecież skojarzenie zbawidowej „komisji“ z „Polonią“ i sowieckim sztabem w Berlinie wschodnim narzuca się samo przez się.

Ale to nie wszystko. Sztab sowiecki podyktował zbawidowej „komisji“ Moczara nie tylko nazwę i program, lecz także taktykę działania. Działał przy tym, jak zwykle, za pośrednictwem swej polskiej sekcji — „Polonii“. Zbawidowym papugom — Zygmunt Berling, Franciszek Skibiński, Jan Mazurkiewicz, Jerzy Duracz, Michał Rusinek, Radwan, Sołtysiak itp. — w pierwszych dniach września ub. r. wkładano w Warszawie łopatą do głowy, co i jak mają robić i mówić. Ubrano to naturalnie w formę „spotkania“ z „czołowymi działaczami“ „Polonii“, którzy nie szczędzili zbawidowcom swych „sugestii“. W opisie tego „spotkania“ czytamy, m.in.:

„W ożywionej dyskusji zabrali głos dziennikarze specjalizujący się w polonijnej problematyce oraz czołowi działacze Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich i Towarzystwa „Polonia“. Przedstawiali oni swe wnioski i sugestie, podzielili się doświadczeniami z długoletniej pracy wśród Polonii zagranicznej“.

Gen. Z. Berling, „przewodniczący“ zbawidowej „więzi“, przez cały tydzień przeżuwał otrzymane „sugestie“. I jak widać, nie przeżuł ich dostatecznie. Jego pierwszy występ publiczny był mieszaniną nieporadności, zupełnej nieznamośności problemów emigracyjnych i bezgranicznej naiwności. Przyznając się prawie otwarcie, że nakazano mu „nawiązanie i utrzymanie kontaktu z organizacjami polonijnymi, a przede wszystkim z organizacjami kombatanckimi“, Berling skarży się, że w wykonaniu tego zadania „napotyka trudności, szczególnie ze strony kierownictwa tych organizacji“. Dziwi się temu, tym bardziej że — jak zapewnia — „my nie mamy zamiaru wszczynać ani prowadzić żadnej akcji ideologicznej“.

Rzeczywiście? Więc po co powstała zbawidowa „więź“? W jakim celu warszawskie Politbiuro za zgodą Moskwy wyciągnęło Berlinga z lamusa i kazało mu przemawiać do emigrantów po-

litycznych? Wstrzymuję się w tej chwili z odpowiedzią na te pytania — oddaję głos Berlingowi:

„Chcemy im (t.j. nam — przyp. mój) dostarczać informacji o tym, co się dzieje u nas, wykazywać im, że Polska jest rzeczywiście wolna i niepodległa, że rozwija najważniejszą podstawę niezawisłości państwowej, jaką jest siła ekonomiczna, materialna i kulturalna Narodu“.

Ręce opadają. I to ma być przekonująca emigrantów propaganda? Przecież każde emigracyjne dziecko wie, że twierdzenie o „wolnej i niepodległej“ jest wierutnym kłamstwem. Wystąpienie Berlinga jest klasycznym przykładem umysłowej tępoty. Z taką tępotą można byłoby ewentualnie coś wskórać wśród Papuasów. Ale wśród polskich emigrantów politycznych, którzy od dwudziestu kilku lat przebywają na Zachodzie — nie wskóra się nic a nic.

Zadajmy jednak sobie pytanie zasadnicze: dlaczego reżim właśnie teraz mobilizuje cały swój aparat celem przekonania emigracji, że Polska jest „wolna i niepodległa“?

Odpowiedź nie jest trudna. Oto „polska droga do socjalizmu“, o której tak wiele się mówiło w październiku 1956 — doprowadziła nasz Kraj do katastrofy gospodarczej. Półtora miliona młodych ludzi w Polsce nie znajduje dziś pracy. Jest to element zapalny, każdej chwili gotów do buntu, do wyjścia na ulicę. Nienawiść do ustroju komunistycznego rośnie z dnia na dzień. Wyzysk zatrudnionego robotnika, brak w ogóle pracy dla „wyżu demograficznego“ mogą łatwo doprowadzić do rewolucji. Reżim doskonale zdaje z tego sobie sprawę i na gwałt szuka środków zaradczych.

Szuka przede wszystkim możliwości zatrudnienia półtoramilionowej armii bezrobotnych. Jedynym środkiem prowadzącym do tego są inwestycje. Na to jednak potrzebne są kapitały, których Polska „ludowa“ nie ma, Sowiety zaś jej dostarczyć nie mogą.

W tym stanie rzeczy, mając nóż na gardle, reżim zwraca się do demokracji zachodnich, a przede wszystkim do zachodnich Niemiec. Liczy na ich kapitały. Nie tylko liczy: po prostu błaga. Przecież Bertholda Beitza, dyrektora generalnego zakładów Kruppa, witano w Warszawie z honorami należnymi głowie państwa, jak to z

przekąsem podkreśliły pisma francuskie.

Fachowcy niemieccy szybko obliczyli wysokość niezbędnych reżimowi kapitałów, które pozwoliłyby na zatrudnienie buntującej się masy bezrobotnych. Zależy ona od tego, o jakie inwestycje chodzi. Tworzenie nowych warsztatów pracy zgodnie z instrukcjami sowieckimi, t.j. w przemyśle ciężkim — wymaga dłuższego czasu i olbrzymich nakładów: zatrudnienie na stałe jednego robotnika kosztowałoby państwo 300.000 marek (400.000 franków, około £28.570). Przy konieczności stworzenia warsztatów pracy dla półtora miliona ludzi — dochodzimy do astronomicznej sumy 450.000.000.000 marek niemieckich. Takiej sumy żaden zachodni koncern zainwestować w Polsce „ludowej“ nie może.

Zupełnie inaczej sprawa się przedstawia, gdyby chodziło o inwestycje w przemyśle lekkim typu zachodniego. Każdy nowy warsztat pracy dla jednego robotnika kosztowałby zaledwie 3.000 marek (4.000 franków, czyli około £285). I taki pracochłonny przemysł można byłoby rozbudować w bardzo szybkim czasie.

Takie są obliczenia prawdziwych ekspertów. Wydawałoby się, że sprawa jest prosta: trzeba wybrać drugą alternatywę. Tak postąpiłoby każde państwo demokratyczne. Ale reżim ciągle jeszcze zastanawia się i waha: nie chce się opowiedzieć za rozwiązaniem „kapitalistycznym“.

Tymczasem w Kraju narasta bunt świata pracy. I reżim wie, że musi przygotować klapę bezpieczeństwa, którą podniesie w odpowiedniej chwili, by uniknąć społecznej eksplozji. Żadną gospodarczą klapą bezpieczeństwa reżim już nie dysponuje. Pozostaje mu jedna jedyna klapa, którą starannie przygotowuje — klapa polityczna. Innymi słowy — przygotowuje nowe polityczne oszustwo.

Raz mu się ono udało całkowicie. „Październikowa odwilż“ wprowadziła w błąd naród i mocno rozmiękczyła wiele emigracyjnych mózgów. Do emigracyjnej „odnowy“ przyczynił się wówczas w pierwszym rządzie PAX. Na zaproszenie tej sowieckiej agentury, jeden z emigracyjnych chadeków odbył nawet podróż do Polski, a po powrocie przekonywał Francuzów i polskich emigrantów, że w Kraju wkrótce odbędą się wolne wybory,

w których ruch chrześcijańsko-demokratyczny na uchodźstwie z pewnością będzie mógł wziąć udział. Konferencja prasowa Karola Popiela i Seweryna Eustachiewicza, zorganizowana w Paryżu dla Francuzów, odbyła się w dniu 8 października 1956, a więc na 11 dni przed „polskim październikiem“.

Od tego emigracyjnego złudzenia upłynęło lat już prawie dziewięć. W Polsce „ludowej“ wolne wybory się nie odbyły, a „drugi etap“ był stałym „odchodzeniem od października“. Mimo to w niektórych kołach politycznych na emigracji złudzenia wciąż trwają. Na nich wkrótce zagra cały komunistyczny aparat. Reżimowi bowiem zależy dzisiaj na emigracji bardziej niż w 1956 r. Bez jej poparcia przygotowywane w Kraju oszustwo polityczne udać się nie może. Już w 1956 r. część emigracji odegrała bardzo smutną rolę: nieświadomie współdziałała z kompartią w oszukiwaniu narodu, oklaskiwała Gomulkę, tępiła emigracyjną „reakcję“. I walnie się przyczyniła do zwycięstwa gomulkowego zamordyzmu.

Dzisiaj kompartia, przyciśnięta w Kraju do muru, dąży do powtórzenia emigracyjnego eksperymentu „październikowego“. I aby sobie z góry zapewnić w Kraju całkowite zwycięstwo, będzie grać na wszystkich emigracyjnych strunkach — narodowych, ludowych, chadeckich. Warszawskie Politbiuro może nawet wyznaczyć właśnie Moczara do odegrania roli Gomulki nr 2. Liczy się on prawdopodobnie z taką ewentualnością, skoro w swych wypowiedziach coraz większy kładzie nacisk na „narodowy patriotyzm“.

Rzecz charakterystyczna, główne uderzenie kompartii skierowane jest obecnie nie na odcinek emigracyjnych stronnictw politycznych, lecz na odcinek kombatancki, a w szczególności na SPK. Do walki ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów — Federacją Światową, ruszyły nie tylko cały aparat będący w dyspozycji warszawskiego Politbiura, lecz także sowiecko-reżimowa „Polonia“ i czysto sowiecki PAX. Widocznie jak najszybsze rozbitcie i zneutralizowanie tej organizacji jest sprawą dla kompartii niesłychanie pilną.

Milowymi krokami zbliża się nowy „polski październik“.

Stanisław Paczyński

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z CYKLU: OJCZYŻNA EUROPA

NIEMCY (II)

Dajemy drugą część wyjątków z rozdziału o Niemczech zachodnich z nowej książki Zbigniewa Grabowskiego p. n. Ojczyzna Europa. Rzecz ta ma się pojawić w druku pod koniec roku bieżącego. Pierwszy tom obejmuje cztery kraje Europy zachodniej: Anglię, Francję, NRF i Włochy — tom II kraje takie jak Hiszpania, Szwecja, Austria, Grecja, Szwajcaria.

W nrze majowym mamy wyjątki z rozdziału o Włoszech (część I), w nrze czerwcowym dokończenie uwag o Włoszech.

Zachowujemy oryginalną numerację podrozdziałów.

9. ZBIOROWY OBŁĘD HITLERYZMU

REWOLUCJA hitlerowska była przede wszystkim ruchem emocjonalnym, a jej ładunek intelektualny był wręcz znikomy. Ale przez to właśnie dynamika tego ruchu była tak niesamowita. Niedobory myślowe pokrywano krzykiem. Pisma partyjne polegały na olbrzymich nagłówkach, a wbijanie w mózgi najnajbardziej pospolitych hasel uznał Goebbels za najlepszy sposób opowania społeczeństwa. Ambicje tej rewolucji były olbrzymie: Trzecia Rzesza miała trwać tysiąc lat i miała stworzyć nową rasę ludzi przez ... naukowe skrzyżowanie czysto germańskich typów. Była pierszą w dziejach nowoczesnych prób hodowli stadniny ludzkiej. Te próby podejmowane były jeszcze w czasie wojny pomimo nacisku frontów: istniały rzeczywiste domy czy zakłady w których kojarzono młode a dorodne Niemki z młodzieńcami, uważanymi za ideał rasy nordyckiej. Był to eksperyment à la Łysienko, tylko że na ludzkich elementach, a złośliwa natura sprawiła, że większość nieślubnych dzieci urodzonych przez te ideały rasizmu znalazła się na pograniczu umysłowego niedorozwoju. Nikt nie słyszy po dziś dzień o geniuszach narodzonych w tych hitlerowskich stadninach. *)

Innymi słowy, hitleryzm miał ambicje równie wielkie jak komunizm, który w Rosji chciał stworzyć sowieckiego człowieka. Ale ideał hitlerowski był o wiele ciałniejszy od sowieckiego.

*) Jedno z pism amerykańskich zajęło się po wojnie losami tych dzieci i taki wydało osąd w sprawozdaniu, które opisywało koleje życia hitlerowskich „eksperymentów“.

go, albowiem komunizm wywieszał i wywiesza dalej hasła ogólne, podobnie jak rewolucja francuska. Hitleryzm był rodzajem kościoła narodowego, do którego prawo wstępu mieli Nordycy, pomimo zbyt oczywistego faktu, że sam Hitler nie wyglądał w żadnej mierze na Nordyka, a Goebbels mógł być śmiało wzięty za Żyda. Pod pewnymi względami rewolucja hitlerowska była ambitniejsza niż komunistyczna, albowiem chciała dokonać przemiany narodu niemieckiego w tempie o wiele szybszym aniżeli to sobie planowała rewolucja bolszewicka w stosunku do Rosji.

Rewolucja oparta na zasadach rasowych musiała być sprzeczna z tradycjami Europy, która jest terenem przemieszania się ras. Poszukiwanie rasowego mitu musiało się skończyć skrajnym okrucieństwem, albowiem trzeba było nałamać rzeczywistość do absurdałnej doktryny. Próba hitleryzmu była w pełni antyeuropejska: chodziło bowiem o stworzenie trzonu *Herrenvolku*, któryby panował nad ludami Europy sprowadzonymi do poziomu kolonialnego. Kto wie, czy w tych obłądnych marzeniach nie realizowało się stare pragnienie posiadania własnych kolonii, kolonii, których Europa stale Niemcom odmawiała? To co dostali oni w Afryce było ochlapem przy posiadłościach Anglii i Francji. Sen kolonialny i imperialny Trzeciej Rzeszy miał się zrealizować w Europie, a potem na terenie Rosji. Hitler nie tylko nie rozumiał tego, że era podbojów ze strony Europy już się skończyła, ale że nie może podbojów dokonywać kraj, który cofa wskazówki swojego kulturalnego zegara i zapędza się w zaulek barbarzyństwa. Niemcy hitlerowskie poniosły same szkody przez bojkot nauki w swoim wysiłku wojennym. Wiemy dzisiaj, że mogły mieć one bombę atomową o wiele wcześniej niż Zachód i że usunięcie uczonych pochodzenia żydowskiego przekreśliło tę możliwość.

Posiew hitlerowskiego rasizmu był fatalny: istny posiew smoczyczych zębów. Europa, która wchodziła w późnych latach trzydziestych w erę powolnego uspokajania się nacjonalizmów, wciążgnięta została na skutek presji hitleryzmu, a później okrucieństw okupacji, w nowy wir nacjonalizmu i szowinizmu. W hitleryzmie nacjonalizm europejski osiągnął szczyt swego obłądki i pokazał, że od samego początku był

ideą w gruncie rzeczy niszcząca. Wielkość Europy nie wyrosła na nacjonalizm, ale na patriotyzm, który jest stosunkiem miłości do własnego kraju, jego kultury i obyczaju. Parafrazując tytuł głośnej powieści angielskiej, możnaby powiedzieć, że nacjonalizm stoi pod hasłem „pride and prejudice“ i musi żywić się pogardą dla innych narodów.

Zagadką dla psychologa jest nie tylko obłęd rasizmu, który opanował Niemcy, ale i jakaś wola samozatrącenia, która występuje wyraźnie w miarę postępu wojny. Powstaje pytanie, czy instynkt samozatrącenia nie wziął wtedy góry w narodzie niemieckim nad instynktem samozachowawczym? Niemcy bowiem zdradzały coraz to bardziej objawy gromady, która pracuje na własną zglisnę. Zastanówmy się chociażby nad obłędem prowadzenia wojny na wszystkie fronty i przeciwko wszystkim: od Żydów do katolików. Od chwili wejścia Stanów Zjednoczonych do wojny nikt już chyba w Niemczech nie mógł marzyć o zwycięstwie. Wojna udowodniła, że Trzeciej Rzeszy brakowało mimo wszystko elementów mocarstwa pierwszej klasy: jej niedobory na morzu były wyraźne, a jeżeli chodzi o stan jej lotnictwa, to kurczyło się ono z każdym rokiem działań wojennych. Niemcy stać było na zwycięstwo na jednym froncie, ale nie na wszystkich.

Rzesza Hitlera zrobiła wszystko by wojnę przegrać. Od zrażenia sobie Zachodu, z którym inny polityk niż Hitler mógł się ułożyć w latach 1933-36, albowiem Zachód wojny nie chciał i wojny się bał (kto wie, czy inny polityk niż Hitler nie uzyskałby od Zachodu nawet wolnej ręki na Wschodzie); przez odstręczenie ewentualnych sojuszników w Europie Wschodniej w akcji przeciwko Rosji; przez zwalenie sobie na głowę całej koalicji Zachodu. W kontraście do tej amatorskiej polityki Hitlera Wilhelm II wygląda na tytana dyplomacji. Jego próba miała widoki powodzenia — Hitlera żadne. A jednak nie zapominajmy, że Hitler stał bardzo blisko zwycięstwa nad Rosją i gdyby nie kampania jugosłowiańska, która opóźniła jego marsz na Moskwę, i gdyby nie lekkomyślny brak przygotowania do kampanii zimowej, Rosja mogła być lec pod ciosami armii niemieckiej. Obłędna polityka stosowana wobec ludności Związku Sowieckiego, głównie Ukraińców, przypiętowała klęskę Hitlera w Rosji.

Do ostatniej chwili Rzesza Hitlera rzuca się jak człowiek opanowany obłędem — aby przypomnieć chociażby tłumienie Powstania Warszawskiego i palenie Warszawy. Instynkt samozatrącenia występuje na jaw w latach 1944-

1945. Ale już Rauschning w swojej proroczej książce o rewolucji Hitlera użył słowa „rewolucja nihilizmu“. W tym słowie zawarł on doskonale treść, a raczej brak treści ruchu masowego, który skończył się powszechnym kataklizmem.

Jak wytłumaczyć ten zbiorowy szal narodu wielkiego liczebnie, który w tak rekordowo szybkim czasie stał się powolnym narzędziem tyrańca? Nie zapominałmy bowiem, że całe panowanie Hitlera trwało zaledwie 12 lat i że już w przeciągu lat sześciu, a zatem między 1933 a 1939 dokonał on całkowitego rozbicia władz umysłowych swego narodu i sparaliżował wszelkie opory. Na pewno przemawiają tutaj względy historyczne, a zatem fakt, że Niemcy doszły do formy zjednoczonego państwa wówczas, kiedy Francja, Anglia czy Hiszpania dawno się już wyżyły jako okrzepnięte mocarstwa. Zjednoczona za Bismarcka Rzesza nabrała smaku do wojen i rozbojów, kiedy inne wielkie kraje Europy już się w tej dziedzinie wyszumiały. Niemcy trwały wiekami w stanie rozbicia jako teren przemarszu wojsk, jako kraj skąd czerpało się na olbrzymią skalę najemników i zaciężników. Kiedy Rzesza Niemiecka stała się mocarstwem, chciała w niezmiernie krótkim czasie odrobić wszystko co inne kraje rozłożyły na szereg wieków. Stąd dzikość agresji niemieckiej w pierwszej i drugiej wojnie, stąd uderzenie do głowy idei wielkości, stąd arogancja, która przede wszystkim była próbą przezwyciężenia kompleksu niższości wobec takich zasiedziały potęg jak Anglia. Niemcy zazdrościły Anglii tego, że rzekomo bez trudu i pracy panuje nad olbrzymimi obszarami świata i że Herrenvolk angielski robi to wszystko bez wysiłku. Olbrzymi trud niemiecki nie przynosił ani w części tych dywidend.

Oczywiście możnaby przeciągnąć tę analizę jeszcze dalej wstecz i powtórzyć nienową tezę, że wielka szkoda, iż legiony rzymskie stacjonowały w Niemczech tylko połowicznie. Możliwość cofnąć się do Tacyta i jego mistrzowskiej oceny plemion niemieckich, które znajdują dziką satysfakcję w nieustających wojnach. Na pewno związane Niemiec z Europą było słabsze aniżeli innych krajów i nie należy zapominać, że podniosły one bunt protestantyzmu przeciwko Rzymowi w formie niezmiernie brutalnej. Był to nie tylko bunt religijny, ale także bunt obyczaju całkowicie odmiennego od obyczaju Południa.*) Na pewno

*) Luther wygląda na prostaka na tle oglądanego Rzymu papieża. Kontrast ten uchwylił całkiem trafnie dramaturg angielski John Osborne w swojej sztuce o wielkim reformatorze.

Niemcy były outsiderem w stosunku do niejednego wielkiego ruchu europejskiego. Ale byłoby krótkowzrocznością twierdzić, że nie stanowiły one ostoi cywilizacji europejskiej i negować znaczenie elementu niemieckiego jako cywilizacyjnego wobec Europy Wschodniej.

10. WYCZERPANIE HITLERYZMEM

Bez względu na to czy cofniemy się do Tacyta, czy tylko do Goethego i Bismarcka, nie potrafimy wytłumaczyć zjawiska psychozy, która opętała Niemcy w latach trzydziestych. Względy historyczne nie wystarczają do wyjaśnienia tych orgii nacjonalizmu i rasowej arogancji — potrzebna jest tutaj nauka psychologii, która oświetliła ponure zakamarki psyche niemieckiej o wiele w gruncie rzeczy bardziej tajemniczej aniżeli sławetna dusza rosyjska.

Ale oto w roku 1945 strątowane Niemcy okazały się organizmem całkowicie wyczerpanym z uczuć nie tylko nacjonalizmu, ale nawet patriotyzmu. Do roku 1948 można było tym Niemcom narzucić rządy międzynarodowe i gdyby politycy zachodni byli prawdziwymi mężami stanu, za których chcieli uchodzić — byłibyśmy świadkami narodzięcia się zjednoczonej Europy Zachodniej. Niestety, — w momencie kiedy największa przeszkoda do zmontowania Europy ponad-narodowej: Niemcy, leżały w gruzach, Zachód wrócił do przestarzałych przesądów suwerenności. Zaprzepaszczone największą bodaj szansę wieku 20-go, powołania do życia zjednoczonej Europy Zachodniej.

Wyczerpanie ideologii i nacjonalizmem trwa w Niemczech jeszcze dalej i cała energia społeczeństwa obrócona jest ku podnoszeniu stopy życiowej. Ci, którzy straszą możliwością odrodzenia się nacjonalizmu niemieckiego nie zdają sobie sprawy z rozmiarów wyczerpania Niemiec ruchem hitlerowskim. Niebezpieczeństwo niemieckie nie leży dzisiaj w dziedzinie nacjonalizmu i polityki, ale na terenie potęgi gospodarczej. Fakt, że NRF wywindowała się od roku 1948 na stanowisko pierwszego mocarstwa Europy jeżeli chodzi o gospodarkę i siłę ekonomiczną — jest najbardziej zastanawiającą zmianą lat ostatnich. Polityka niemiecka będzie pochodną tej siły gospodarczej — a nie odwrotnie.

11. KULTURA ŚREDNIO-MIESZCZAŃSKA

Niemcy powojenne stały się krajem o wiele bardziej ujednoliconym, społecznie aniżeli za czasów Weimaru, a potem Hitlera. Klasa junkrów i wielkich obszarników zniknęła chociażby dlatego, że lwia część tej klasy zna-

lażła się po stronie wschodniej i padła ofiarą masowej ucieczki, albo akcji polskiej na ziemiach odzyskanych, albo akcji wywłaszczającej Republiki Wschodnio-Niemieckiej, NRD. Robotnik niemiecki przesuwa się coraz bardziej w stronę ideału mieszczańskiego — a to zjawisko wspólne jest wszystkim prawie krajom Zachodu. Proletariat zanika coraz to bardziej i robotnik jest już dzisiaj mieszczańskim, który chce mieć całą fasadę respectability i głosuje na wszystkie cnoty mieszczańskie. Egalitaryzm niemiecki wyraża się również w takich sprawach jak w powszechności podróży zagranicznych. Złośliwi powiadają, że Niemcy aby zwiedzać Europę nie potrzebują już robić wojen i podróżują dzisiaj jako pokojowi turyści.

Zamożne i coraz to zamożniejsze społeczeństwo niemieckie nie ma jednak spokojnego snu, albowiem w podświadomości tego narodu dalej jeszcze tkwi pamięć — usilnie zabijana na wszelkie sposoby — o tym niesamowitym okresie dwunastu lat, kiedy Niemcy stały się jak gdyby wycinkiem Afryki, i to najczarniejszej Afryki — w samym sercu Europy. W zestawieniu z terrorem sowieckim terror hitlerowski wychodzi na nieskończenie bardziej niehumanitarny, albowiem Niemcy Hitlera zaprzęgli do dzieła nie tylko psychologię jak Rosjanie, ale wszelkie wymyślne instrumenty tortury. Nastąpiła mechanizacja tej tortury i męcznienia człowieka, i wprowadzono moment naukowy do poniżania i okaleczania istot ludzkich. Jest to moment, który nie istniał zasadniczo w brutalnej popolitości więzień i obozów sowieckich. Niemcy doprowadzili sztukę tortury do poziomu niespotykanego w Europie od czasów średniowiecza i osławionej „Żelaznej Dziewicy“, którą oglądać można było jeszcze do niedawna w muzeum miejskim w Norymberdze. Do jakiego stopnia metody tortur niemieckich były przemyślane, tego dowodzą na przykład relacje francuskiego ruchu podziemnego. Jedna z tych relacji mówi, że do specjalnej tortury stosowanej przez Gestapo, a polegającej na ścisaniu czaszki badanego, używano stalowych obcęgow czy obręczy, na których widniał napis „made in England“. Oczywiście napis ten był wytłoczony przez samych Niemców, ale miał w torturowanym wzbudzić wrażenie, że te narzędzia pochodzą wprost z Anglii i wywołać przez to nienawiść do tego kraju za dostarczanie tak okrutnych narzędzi. Ten mały szczegół świadczy o niebywalej wprost perfekcji sadyzmu niemieckiego, o jakimś wyrafinowanym zamilowaniu do okrucieństwa, połączonego z obłudą, która stanowi może najbardziej odstręczają-

cą cechę zagadkowego charakteru niemieckiego.

Konsumpcja kultury w NRF jest ogromna: teatry kwitną i grają wszystkie sztuki zagraniczne, książki wychodzą tłumnie, a ilość tytułów jest rekordowa w Europie — bodaj ponad 25 tysięcy przy 22 tysiącach angielskich w roku, — czasopiśmiennictwo jest bogate. Ankiety na temat popularności książek stwierdzają, że największą poczytnością cieszą się książki poważne, a więc w roku 1963 wspomnienia byłego prezydenta NRF Heussa, nowe studium Fiedenthala o Goethem — przy czym te dwie książki pobili tylko popularnością Günther Grass swoją nową powieścią „Hundejahre“. Jeżeli jednak chodzi o tworzenie własnej kultury, a zatem nowej literatury, teatru, filozofii, to Niemcy Zachodnie mają jeszcze wiele do zrobienia. Odnosi się to także do dziedziny filmu. Tygodnik „Die Zeit“ zamieścił artykuł p. t. „Czy jesteśmy jeszcze narodem poetów i myślicieli?“ i dochodzi do wniosku, że nowy dobrobyt osiągnięty w rekordowym czasie przez NRF, ta nowa Ameryka na kontynencie europejskim, nie sprzyja całkowicie rozwojowi życia duchowego i kulturalnego, ale że trzeba mieć w tej sprawie wiele cierpliwości i że niebawem już może nadejść moment, kiedy NRF wyda swoich wielkich myślicieli i swoich wielkich prozaików.

28 — KONTRAST DWUCH EPOK

Kontrast między sytuacją kulturalną Niemiec Weimarskich a Niemiec Adenauera, między 1918 a 1945 był olbrzymi. Niemcy pokonane w pierwszej wojnie stały się ośrodkiem fermentów artystycznych, człowym chyba krajem jeżeli chodzi o teatr, gdzie świetne inscenizacje Reinhardta a potem Piscatora stanowiły atrakcję dla całej Europy, gdzie przedstawienia sztuk Brechta, okraszonych szelmowskimi piosenkami Kurta Weila były jak ataki gorączki, były przedmiotem rozmów, namiętnych sporów. Tego rodzaju przykładu wpływu teatru na życie współczesne trudno było znaleźć w Europie poza Polską i poza Rosją. Teatr w Niemczech po pierwszej klęsce stał się forum politycznym, trybuną, tętniącą częścią życia ogólnego.

W sztukach plastycznych ekspresjonizm — forma niemiecka ruchu awangardowego — dawał dzieła zaczepne, pełne goryczy, przypominające Goye (aby wymienić chociażby tylko Grosza). W rzeźbie pojawiały się nowe formy. Czasopiśmiennictwo kwitło, takie znakomite pisma jak „Querschnitt“ zaskakiwały nowością tragicznych rozwiązań. W prasie roiło się od dosko-

nale prowadzonych dzienników, aby wspomnieć chociażby tylko „Berliner Tageblatt“ oraz „Frankfurter Zeitung“. Tygiel kulturalny niemiecki kipiał: obok tradycyjnych wielkości jak Thomas Mann, jak Stefan George, jak Rilke, pojawiały się pełne dynamiki talenty w poezji i prozie. Był to doprawdy złoty wiek piśmiennictwa niemieckiego, teatru niemieckiego i zainteresowań kulturalnych społeczeństwa. Każda książka, każdy tom poezji, każda nowa sztuka teatralna stanowiły prawdziwe przeżycie dla zbiorowiska niemieckiego i to zarówno w Berlinie jak i w takich ośrodkach jak Lipsk, Drezno, Kolonia czy Hamburg. Niemcy w latach dwudziestych weszli odważną stopą w dziedzinę filmu i położyli właściwie podwaliny pod film nowoczesny. Mieli oni prymat na polu filmu przez długie lata zanim hitlerizm nie podciął żywotnych korzeni tej sztuki. Po dziś dzień pamiętne są obrazy Fritza Langa i liczne filmy wytwórni UFA, kreacje Janningsa, Veidta, Marleny Dietrich i Brigitty Helm.

Całe to olbrzymie bogactwo, od którego przelewało się w Niemczech Weimarskich jeżeli chodzi o kulturę, zostało wydenowane przez rządy hitlerowskie. Najlepsi pisarze wyjechali zagranicę i Niemcy hitlerowskie miały najpoważniejszą emigrację literacką wieku 20-go, by wspomnieć nazwiska Tomasza Manna, Brechta, Werfla, Feuchtwangera, nie mówiąc już o autorach w zasięgu języka niemieckiego jak Austriak Stefan Zweig. Ta emigracja była żywą, albowiem we Francji, w Ameryce Północnej czy Południowej, lub Szwajcarii powstawały bardzo wybitne dzieła niemieckie, z którymi — powiedzmy to otwarcie — żadna literatura wieku 20-go nie może się porównać jeżeli chodzi o pisarzy-exulów.

Spustoszenie dokonane przez hitlerizm da się tylko porównać ze spustoszeniem wyrządzonym kulturze rosyjskiej przez bolszewizm. Faszyzm włoski był okrutny dla dzieł literatury, ale jednak nie pogubił doszczętnie ani malarstwa ani rzeźby. Po wojnie Włochy wydały od razu poważną stawkę młodych pisarzy. W Niemczech po 1945 istniała próżnia, którą poczęły napępniać dawne nazwiska jak Karl von Zuckmeyer, którego sztuka „Teufels General“, osnuta na tle karier hitlerowskich, była przez długi czas jedynym bodaj oryginalnym dziełem złamanego teatru niemieckiego.

Najwięksi emigranci jak Tomasz Mann nie wrócił do Niemiec, nieufni wobec kraju, który ich zawiódł do głę-

bi. Brecht wrócił do Niemiec Wschodnich i tam założył znakomity teatr, który zyskał sobie sławę w całym świecie. Ale jak słusznie podkreślono, najlepsza epoka twórczości Brechta przypada na okres jego emigracji, a sztuki, które pisał po powrocie do Berlina Wschodniego nie mają już tej przebojowej siły i tej agresywności, która cechowała go w najlepszych jego latach. Jest poza tym rzeczą charakterystyczną, że sztuki swoje Brecht wystawiał tylko i wyłącznie we własnym teatrze, chroniąc się poza pancierz swojego prestiżu, którego komuniści nie śmieli naruszyć. Poza Berlinem Wschodnim nie grano sztuk Brechta w NRD. Przeżywały natomiast one nową falę popularności w NRF, gdzie Brecht stał się sztandarowym dramaturgiem, dopóki nie pojawili się młodzi z Peterem Weissem na czele.

W literaturze nie było długo dobrych nazwisk aż do momentu, gdy pojawił się na scenie Gunther Grass i Heinrich Böll, należący do tak zwanej grupy 1947. Grupa ta skupia najlepszych dzisiaj autorów NRF i związana jest zarówno nienawiścią do ustrojów totalnych jak i nastawieniem dużego sceptycyzmu życiowego. Na wieczorach tej grupy, czy raczej zebraniach wewnętrznych autorzy czytają swoje nowe utwory i oczekują krytyki — nieraz bardzo ostrej — od swoich kolegów. Jest to bardzo odrębna i swoista forma szkoły literackiej, która nie jest jednak szkołą, albowiem pisarze grupy 1947 różnią się od siebie swoim obliczem i swoją sztuką pisarską.

Niemcy Zachodnie z masowego konsumenta kultury, gdzie spożywa się wszystko — od wspaniale wystawianych oper aż po kosztownie wydawane książki, przy czym NRF dźwierży chyba prymat jeżeli chodzi o przekłady z literatur światowych — stają się powoli producentem kultury. Najbardziej ten renesans uderza w literaturze i w teatrze, o wiele mniej w sztukach klasycznych. Ale sztuki klasyczne poniosły tyle klęsk za czasów Hitlera, kiedy starano się wytrzebić wszelkie ślady modernizmu i zapędzono awangardę w zaułek tak zwanej sztuki wynaturzonej, Die entartete Kunst, (za Hitlera tej sztuce oddano do użytku jeden z gmachów w Monachium, gdzie pokazywano obrazy i rzeźby jako curiosa), że nie można się dziwić, iż malarstwo i rzeźba bardzo powoli wracają do pełnego życia. Niedalekie może od prawdy będzie twierdzenie, że sztuka plastyczna nigdy nie stanowiła forte kultury niemieckiej. Jakież ubogie jest malarstwo niemieckie w ze-

stawieniu z włoskim czy francuskim lub holenderskim, jak niewiele reprezentacyjnych nazwisk przytoczyć można z 19-go i 20-go wieku! Rzeźba przedstawiała się o wiele lepiej w Niemczech, a w okresie ekspresjonizmu przeżyła rozkwit, dając rzeczy śmiałe w stylu podjętym później przez angielskiego rzeźbiarza Henry Moore.

Trudno powiedzieć, jakimi drogami pójdzie kultura Niemiec Erharda. Dzieła Günthera Grassa, które są nadmiernie może okadzane i windowane w Niemczech dzisiejszych, nacechowane są szubienicznym humorem i niesamowitością, która wiedzie się z opowieści chyba Simplicissimusa okresu wojny 30-letniej. Kto wie nawet czy Günther Grass nie nawiązuje świadomie do tej tradycji tak jak Brecht nawiązywał kiedyś ostentacyjnie do prostoty protestanckiej „Hauspostille“? Nie brak jest dzisiaj już w Niemczech Zachodnich głosów, że Günther Grass jest przeceniony i przereklamowany, a poważniejsza krytyka zestawiając bogactwo ostatnich dzieł Manna z pierwszymi książkami Günthera Grassa skłonna jest mniemać, że ten wybitnie zdolny pisarz pozostaje daleko w tyle za autorem, którego niejeden uważa za największego pisarza 20-go wieku przez to, że w życiu swoim przeszedł od naturalizmu niemal swoich „Buddenbrooksów“ poprzez subtelności psychologiczne „Góry Czarodziejskiej“, aż po filozoficzne zamyslenia „Doktora Faustusa“. Żaden pisarz europejski nie ma tej rozpiętości myśli, żaden nie utrzymał diapazonu tak długo jak Mann i żaden nie zaszedł w mrok śmierci z taką świeżością umysłu i rozległością horyzontów.

Wydaje się, że młoda literatura niemiecka czy to w książkach Grassa, czy w utworach dramatycznych Petera Weissa czy w prozie Boella i innych młodych autorów, uderza w nutę bezsensu, ale i jego podstawowej brzydoty. Jest to nuta bardzo niemiecka, ta nuta macabre pomieszana z taedium vitae, graniczącym niemal z nihilizmem. Ta nuta rozlegała się po roku 1918 i to nie tylko w literaturze, ale i w malarstwie Ernsta i Grosza. To zafascynowanie brzydotą życia, to najgłębsze zwątpienie w sam sens istnienia, ta brutalna wola zrywania wszelkich zasłon i wszelkich iluzji, powraca dziś jakby w latach sześćdziesiątych do nowej kultury niemieckiej. Można by powiedzieć, że mamy do czynienia z niemieckim przejawem kierunku, któ-

ry zyskał sobie w Polsce ostatnio wcale trafne miano „turpizmu“. Ale wydaje mi się, że chodzi o coś innego: ten turpizm niemiecki spoczywa na o wiele solidniejszych jakby podstawach niż turpizm zachodni, jakkolwiek zbliżać się może do turpizmu pewnych krajów Europy Wschodniej. Te podstawy, jeżeli tak się można wyrazić, stanowi ogrom klęski nie tylko militarnej i politycznej, ale i duchowej — i tutaj rozchodzą się drogi turpizmu wschodnio-europejskiego i turpizmu niemieckiego. Albowiem Europa Wschodnia może czerpać zachętę i podniecie ze swojej woli walki z hitleryzmem, ze swojego oporu okazanego nie tylko hitleryzmowi, ale i stalinizmowi. Niemcy obecne nie mają tej satysfakcji wewnętrznej, chociaż starają się uciepić pewnych jasnych momentów swoich dziejów wojennych jak zamachu na Hitlera w roku 1944. Dlatego nazwisko hrabięgo von Stauffenberg jest tak szeroko rozstawione, dlatego istnieją ulice i place jego imienia, a cała akcja skupiona wokół jego osoby jest przedmiotem rozlicznych komentarzy i książek. Niemcy dzisiejsze pragnęłyby rozdmuchać swój ruch oporu, który jednak pozostał mizernym do końca w porównaniu z oporem stawianym chociażby przez Norwegię czy Danję. Ironia — ale może nie przypadkowa — jest fakt, że najbardziej wyraźny opór wobec Hitlera wyszedł z kół arystokracji i junkierstwa, dowodząc, że warstwa ta chociaż na pewno niesympatyczna i arogancka, miała najwięcej charakteru z całego społeczeństwa niemieckiego. Na pewno miał rację jeden z obserwatorów angielskich, który mawiał, że w Niemczech najbardziej lubi obcować z junkrami, albowiem wie z kim ma do czynienia: „reszta jest jak masło, które ustępuje pod lada naciskiem“.

Turpizm niemiecki zabarwiony jest całą ponurą pasją, która cechowała Niemcy w demaskowaniu okrucieństwa życia. Jest to teatr bez sensu, czy też teatr absurdu, który chwilowo panuje nad Europą, a umotywowany jest na pewno wizją grzyba atomowego wiszącego nad światem. Zestawienie utworów młodej generacji niemieckiej z utworami młodego pokolenia angielskiego czy polskiego, wykaże różnice w nasileniu tej pasji demaskującej u poszczególnych narodów i tej nienawiści do życia wybuchającej raz po raz w gromadach ludzkich. Przypomina się tu żywo okres po 1918 roku i być może, że dopiero wtedy gdy przesili się ta era mająca wszelkie cechy konieczności — dopiero wtedy pojawi się w kulturze niemieckiej jakiś bardziej harmonijny i optymistyczny czynnik.

Zbigniew Grabowski

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

SYTUACJA MAS PRACUJĄCYCH W KRAJU

GDY w ubiegłym roku zakończył się sezon urlopów, starałem się zasięgnąć informacji z pierwszej ręki od znajomych, którzy urlop spędzili w kraju. Chciałem się czegoś dowiedzieć o cenach za artykuły pierwszej potrzeby i o zarobkach, jednym słowem, w jaki sposób znakomita większość ludności pracującej wiąże koniec z końcem. Muszę jednak powiedzieć, że na ogół nie dowiedziałem się wiele. Większość zapytanych ograniczała się do przedstawienia mi strony sentymentalnej ich wizyty, sławiąc polską gościnność krewnych i znajomych. Wprawdzie w wielu wypadkach krewni przyznawali, że przed przyjazdem gościa z zagranicy gromadzili zapasy żywności, by niczego w domu nie zabrakło.

O cenach i zarobkach starali się nie mówić, aby gościa nie zrazić, bo mógłby sobie pomyśleć, że czekali na prezenty. O tym jednak jak oni tam wiążą koniec z końcem, najmniej potrafili powiedzieć.

Musiałem przeto zebrać te szczegóły z dostępnej nam tu prasy krajowej, m.i. z „Gazety Handlowej“, z Rocznika Statystycznego i prasy codziennej, by o sytuacji pouczyć i tych którzy tam już byli i tych którzy zamierzają tam wyjechać w tym roku. Cyfry podane tu są autentyczne, a porównanie cen płaconych w kraju z płaconymi na Zachodzie i z zarobkami nie wymaga nic więcej jak tylko prostych prawideł arytmetyki i są łatwiejsze do rozwiązania od skomplikowanych łamigłówek. Nagrodą będzie tu poznanie stopy życiowej polskich mas pracujących i ich walka o byt, której żyjący na Zachodzie Polacy tak mało, niestety, poświęcają zainteresowania.

W tabeli poniżej podanej umieściłem ceny, płacone z końcem 1964 roku, zarobki z końca 1963 r. oparte na cyfrach podanych w Roczniku Statystycznym i

objaśnione w prasie krajowej przez ludzi, którzy zagadnienie cen i zarobków opracowali niezależnie od cyfr ogłaszanych przez Główny Urząd Statystyczny, a zatem cyfry nie budzące żadnych wątpliwości.

CENY ARTYKUŁÓW ŻYWNOŚCIOWYCH

Artykuł	Ilość lub waga	Cena
Chleb	2 kg.	8 zł.
Cukier	1 „	12 „
Masło	1 „	70—72 „
Margaryna	1 „	40 „
Ser (nie biały)	1 „	36 „
Mięso wieprzowe	1 „	30—40 „
Mięso wołowe	1 „	24—50 „
Szynka	1 „	90 „
Kiełbasa	1 „	26—90 „
Ryby	1 „	18 „
Ziemniaki	100 „	100—120 „
Groch, fasola	1 „	6 „
Marmelada	1 „	8 „
Miód	1 „	40 „
Herbata	½ „	40 „
Czekolada	(tabl.)	20 „

INNE ARTYKUŁY

Piwo	butelka	2 zł.
Wino	„	40 „
Wódka czysta	¼ litra	25 „
Likier	½ litra	180 „
Papierosy, filter	paczka	10 „
„	najtańsze „	3 „
Ubranie męskie	—	1,500—3,000 „
Suknia damska	—	1,000—2,000 „
Trzewiki męskie	—	150—700 „
Koszula męska	—	300 „
Motocykl	100—250 cc.	6,000—24,000 „
Samochód	„Wołga“	140,000 „

Do cen podanych w tabeli dochodzą jeszcze dodatkowe dopłaty konsumentów z tytułu oszukańczych metod, stosowanych przez sklepy. Pisze o nich „Sztandar Młodych“ z 12 lutego br. pt. „Hurtem oszukani“. Pismo opisuje rezultat

dorywczej kontroli, przeprowadzonej przez tzw. kontrolerów społecznych w Warszawie, którym towarzyszyła ekipa reporterów tego pisma. W torebkach z mąką stwierdzono brak 10 gramów, przy 30 kilogramach kaszy gryczanej stwierdzono brak 370 gramów, w każdej półkilowej torebce cukru brakowało 55 gramów, ryżu 90 gramów, a w każdej torebce z landrynkami brakowało po 50 gramów. Jednym słowem, pisze pismo, oszustwo hurtem na wszystkich towarach. Do tego ziemniaki sprzedawane są oblepione ziemią i piaskiem, wprost z kopca, bez oczyszczenia, a w wielu wypadkach stwierdzono ziemniaki zgniłe oraz nienadające się do ludzkiej konsumpcji. A ludzie je kupują i płacą, bo innych nie ma.

Przeciętnie oszukuje się konsumenta o 5 do 10 procent na wadze.

ZAROBKI

Mały Rocznik Statystyczny na rok 1964 (str. 209) przynosi wysokość zarobków, płaconych w gospodarce społecznej w końcu roku 1963. Przeciętnie, według Rocznika, robotnik zarabiał wtedy 1,709 zł. brutto. Również według Rocznika, najliczniejsza grupa obejmowała ludzi zarabiających 1,500 do 2,000 zł. miesięcznie. W rzeczywistości najliczniejszą jest grupa zarabiających 1,200 do 1,500 zł. Od tego zarobku należy odliczyć podatek, składki do związku zawodowego, do partii (jeśli robotnik jest jej członkiem), składkę na fundusz odbudowy Warszawy oraz składki na różne okolicznościowe wydatki.

Jednak nie wszyscy ludzie, zatrudnieni w gospodarce społecznej zarabiają 1,200 do 1,500 zł. miesięcznie. Ekonomista Jerzy Chłopecki ujawnił w „Słowie Powszechnym“ z 19 listopada ub. roku, że wśród zatrudnionych w przemyśle jest jeszcze 7 procent robotników zarabiających do 600 zł. oraz 0,7 procent takich, którzy zarabiają tylko do 400 zł. na miesiąc.

Jak w tej sytuacji mogą ludzie żyć? Ekonomiści reżymowi upraszca-

ZA DUSZE OFIAR KATYNIA

Każdego roku odbywają się we wszystkich krajach naszego osiedlenia nabożeństwa żałobne za dusze kilkunastu tysięcy oficerów i żołnierzy polskich zamordowanych przez Rosjan w Katyniu i podobnych miejscach kaźni.

W maju ub. roku ówczesny Opiekun Emigracji arcybiskup J. Gawlina, przychylnie się do sugestii Federacji Europejskiej Polskich Kombatantów, zdecydował, że w r 1965 — w 25 ro-

cznicę tej potwornej zbrodni, nabożeństwa te powinny się odbyć tego samego dnia we wszystkich krajach.

Nawiązując do tej myśli, Zarząd Federacji Światowej SPK zwrócił się do ogniw krajowych SPK z sugestią, by w porozumieniu z miejscowym duchowieństwem polskim zorganizowały powszechne modły za dusze ofiar Katynia 25 kwietnia.

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W.11.
Tel. BAT 0879

ją sobie na to odpowiedź prostym twierdzeniem, że przecież, z reguły w rodzinie zarabia więcej osób. Nie biorąc zupełnie pod uwagę tych licznych wypadków, gdzie jedynym żywicielem rodziny jest tylko jedna osoba-ojciec, który ma na utrzymaniu kilka niedorośliwych osób, ani fakt, że zarobkujące dzieci mają swoje własne wydatki.

Podobnie niecisłe są cyfry podawane przez GUS, że zarobkujący wydają przeciętnie około 35 procent na żywność, kiedy jest faktem niezaprzeczalnym, że w grupach mało zarabiających, wydatek ten wynosi co najmniej 50 procent.

A jak się wtedy ci ludzie odżywiają, na to również odpowiada ten sam Chłopecki, gdy mówi, że rozpiętość między cenami a zarobkiem wywołuje zjawisko

pochodne, z punktu widzenia społecznego niepokojące. Twierdzi, że w ostatnich latach roczne spożycie mięsa wśród najmniej zarabiających spadło z 27 do 25 kg., tłuszczów z 16,9 do 15,8 kg., jaj z 92 do 89. W tym samym czasie spożycie mąki i przetworów mącznych wzrosło z 133 do 141 kg. na osobę i rok.

Te cyfry potwierdzają w całej rozciągłości, że ludność w niższych grupach zarobkowych odżywia się coraz gorzej. A nie ma żadnych widoków by sytuacja zmieniła się na lepsze, bo jednym z głównych artykułów eksportowych jest obecnie mięso i przetwory mięsne, wysyłane zarówno do krajów kapitalistycznych jak i „socjalistycznych“.

Jan Adamski

Najnowsze wydawnictwo Oficyny Poetów i Malarzy

J. Z. Kędziński

JEDNOROŻEC MUSI ŻYĆ I KOT W KALESONACH ORAZ INNE OPOWIADANIA, OPISY, NOWELE I ESEJE

z przedmową Zygmunta Nowakowskiego

Oto niektóre głosy o autorze i jego prozie:

Mieczysław Grydzewski, redaktor „Wiadomości“:

„Znakomite, bardzo śmieszne, choć okrutne. Najlepsze z cyklu. Wziąłem ze sobą na drogę do pociągu i nie mogłem opanować kilku „ryknięć“, choć nie jestem skłonny do głośnego manifestowania swoich wrażeń. Na szczęście wagon był pustawy“.

(„Z prochu powstałeś...“);

„Zygmunt Nowakowski z najwyższym uznaniem mówił o opowiadaniu Pana, a on rzadko co chwali“.

(„Na męża nieodpowiedni“);

„Opowiadanie doskonałe, pełne inwencji nawet w takich szczegółach jak nazwy domów. Przeczytałem je (jeżeli to wyrażenie jest tu właściwe) z prawdziwą przyjemnością“.

(„Ósmy dom“).

Irena Bączkowska, znakomita powieściopisarka, laureatka nagrody „Wiadomości“ za rok 1963:

„Pan Kędziński to magik, czarownik, czarnoksiężnik, on pisze tak jak jest. Wgrzył się i używa właśnie takich słów, których w każdym wypadku należy użyć żeby dać wierny obraz... Jestem olśniona, że jest ktoś kto tak bardzo „wie“ i zdawałoby się w krzywym zwierciadle daje obraz tak bardzo rzeczywisty“.

Zygmunt Nowakowski:

„...pisarz prawdziwy... wnosi nowy, oryginalny wysoce ton do naszej emigracyjnej literatury“.

Witold Chwałewik, wykładowca literatury angielskiej na Uniwersytecie Katolickim w Lublinie:

„W Panu nowelista nasza pozyskała obserwatora życia angielskiego, w jego prowincjonalnych przejawach, a zarazem pełnego inwencji humorystę, jakiego — takie mam wrażenie — w zespole naszych pisarzy na obczyźnie nie mieliśmy dotychczas“.

Prof. Waclaw Lednicki: „...niewątpliwie ma Pan wybitny talent satyryczny. Ponadto umie Pan wprowadzać czytelnika doskonale „in medias res““.

Stron 480

Cena 35/- lub 5 dolarów

ządać we wszystkich księgarniach lub wprost u wydawcy:

146, Bridge Arch, Sutton Walk, London, S. E. 1.

PIERWSZY po wojnie, a w ogóle trzeci Zjazd Polskiego Tow. Socjologicznego, w trzydziści lat po drugim (1935 r.), odbył się w Warszawie na początku lutego br. przy udziale około 300 socjologów, reprezentujących siedem krajowych oddziałów Towarzystwa (Warszawa, Poznań, Kraków, Łódź, Lublin, Toruń i Wrocław). Według miarodajnej opinii prof. Jana Szczepańskiego (Uniw. Łódzki) uczestnicy Zjazdu to w dziewięćdziesięciu kilku procentach młodzi socjologowie, którzy ukończyli studia akademickie po wojnie, a spośród siedmiu referentów zjazdowych dwaj tylko ukończyli studia przed wojną. Był to więc Zjazd młodych naukowców, kształconych już w warunkach Polski współczesnej, w której panujące ustrój i system polityczny zmierzają do ideowo-politycznego ujednoczenia społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży, w duchu komunistycznej doktryny i podporządkowania rządowi jednej partii.

I to był pierwszy powód, że Zjazd ten zbudził w społeczeństwie szerokie zainteresowanie. Ale był jeszcze drugi powód — ważniejszy. Mianowicie socjologowie obok historyków i przedstawicieli ośrodków twórczych, zwłaszcza pisarzy, stali się w ostatnich latach celem szczególnie gwałtownego ataku reżymu, który rozpoczął się w końcu 1961 roku napastliwymi wobec socjologów polskich artykułami prof. Adama Schaffa, przewodniczącego sekcji filozoficzno-socjologicznej komisji nauki komitetu centralnego PZPR, a więc ideologa marksistowskiego partii numer 1. A jego artykuł w „Polityce“ (21. IV. 1962), pt. „Ankietomania czyli o drogach rozwoju polskiej socjologii“ wywołał w świecie naukowym i politycznym w kraju i zagranicą żywe poruszenie, bo wyraźnie domagał się ograniczenia swobody badań naukowych w dziedzinie socjologii z tego po prostu

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Tom XCIX

Wincenty Witos

MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

ZJAZD SOCJOLOGÓW W WARSZAWIE

powodu, że wyniki tych badań, prowadzone metodą ankietową, np. wśród młodego pokolenia polskiego, ujawniały fakty, które świadczyły m.in. o nieskuteczności reżymowej propagandy politycznej i ideologicznej.

Punktem kulminacyjnym ataku partii na socjologów było przemówienie W. Gomułki na XIII plenum komitetu centralnego PZPR (lipiec 1963 r.), które poświęcone było „aktualnym problemom ideologicznej pracy partii“. Gomułka w swym, jak zwykle wielogodzinnym, referacie, omawiającym „naczelną zadania ideowe partii“, m.in. poddał ostrej krytyce uczonych polskich, a spośród nich na pierwszym miejscu właśnie socjologów za „schlebianie autorytetowi nauki burżuazyjnej, zarówno rodzimej jak i zagranicznej“, a „pomijanie literatury radzieckiej i nawet klasyków marksizmu“. Referat Gomułki poprzedził atak na polską socjologię w artykule ówczesnego kierownika wydz. nauki i oświaty komitetu centralnego partii, Andrzeja Werblana, pt. „O socjologii krytycznie“ („Nowe Drogi“ VII/1963), tego samego, który ostatnio z ramienia polskich komunistów (obok Z. Kliszki i J. Czesaka) wziął udział w „konsultatywnym spotkaniu“ partii komunistycznych w Moskwie.

Te więc dwa względy (wiek uczestników zjazdu i ich specjalność naukowa) wywołać musiały widocznie wielkie zainteresowanie Zjazdem w społeczeństwie, skoro cała prasa, także codzienna, podawała obszernie sprawozdania z jego przebiegu.

Również jednak i temat referatów, wygłoszonych na Zjeździe, zasługiwał na zwrócenie nań bacznej uwagi. Nie są nam dotychczas dostępne ani teksty tych referatów ani dokładne sprawozdanie z przeprowadzonej na plenum i w sekcjach dyskusji. Nie jest też naszym zadaniem omówienie przebiegu tego zjazdu z naukowego punktu widzenia. Natomiast w tym artykule, opierającym się na sprawozdaniach i ocenach zjazdu, zamieszczonych w prasie krajowej, pragniemy zwrócić uwagę naszych czytelników na momenty polityczne Zjazdu.

Ma swoją wymowę fakt, że właśnie nazwiska znakomitych socjologów Polski niepodległej, którym już nie dane było wziąć udziału w III-cim tegorocznym zjeździe, mianowicie prof. prof. Ludwika Krzywickiego, Stefana Czarnowskiego, Floriana Znanięckiego i Jana Stanisława Bystronia, zostały z okazji tego Zjazdu przypomniane, a pamiętać niedawno zmarłego prof. U. W.

Stanisława Ossowskiego, też znakomitego uczonego i b. prezesa P.T.S., który stanowczo przeciwstawiał się naciskom partii na swobodę badań socjologicznych, została przez Zjazd ostentacyjnie uczczona.

Na Zjeździe, którego obrady poświęcone były problematyce przemian społecznych Polski powojennej, wygłoszono 7 referatów, mianowicie: prof. Jana Szczepańskiego „Społeczne aspekty industrializacji w Polsce Ludowej“, prof. Stefana Nowakowskiego oraz doc. Janusza Ziółkowskiego „Społeczne aspekty urbanizacji w PL“, doc. Bogusława Gałęskiego „Przemiany społeczne wsi polskiej“, doc. Antoniny Kłoskowskiej „Kształtowanie się kultury masowej w PL“, doc. Marii Hirszowicz, dr Kazimierza Doktora, dr Jolanty Klupińskiej i doc. Aleksandra Matejki „Kształtowanie się socjalistycznego modelu przedsiębiorstwa w PL“ oraz doc. Jerzego Wiatra i doc. Włodzimierza Wesółowskiego „Kształtowanie się instytucji życia politycznego w PL“.

Nie bez słuszności stwierdza Jan Kopec w katolickim „Tygodniku Powszechnym“ (28. II), że w referatach tych ujęte zostały „najistotniejsze“ zagadnienia współczesnej rzeczywistości polskiej. Jeżeli dodamy do tego uwagę prof. J. Szczepańskiego zaznaczoną w artykule, zamieszczonym w warszawskiej „Kulturze“ (14. II), że o tych zagadnieniach mówiono na zjeździe „ręczowo, spokojnie, w kategoriach analiz technicznych, naukowych“, „obiektywnie i beznamiętnie“, to, oczywiście, treść problematyki poruszonej na zjeździe nabiera szczególnego znaczenia.

Prof. Szczepański na pytanie, „Czy na zjeździe wszystko przebiegało spokojnie, sprawnie, zgodnie“, odpowiada: „Nie wszystko. Nie było wprawdzie kontrowersji teoretycznych i ideologicznych. Nie ścierały się przeciwstawne szkoły, koncepcje badań, przeciwstawne hipotezy ani metodologie. Lecz w powietrzu ujawniał się nowy niepokój (podkr. red. „O.B.“), wynikający z przekształceń pozycji społecznej socjologa i jego funkcji w zmieniającym się społeczeństwie. Ujawnił się ten niepokój przede wszystkim w powracaniu do sprawy socjologów pracujących w przemyśle, w fabrykach, w niespokojnych pytaniach o ich pozycje, ich prawa i obowiązki(...). Podnosiły się głosy, aby rozpocząć starania o uznanie zawodu socjologa, aby zapewnić mu prawo do tajemnicy zawodowej (podkr. red. „O.B.“), aby otoczyć ten zawód ochroną prawną(...). Drugi

(niepokój) wyrastał z uświadomienia sobie wzrastającej odpowiedzialności społecznej socjologów(...). Wyniki badań socjologicznych zaczynają się liczyć w praktyce. Stąd głoszenie takich czy innych poglądów nie jest tylko akademickim zajęciem czy rozważaniem, prowadzonym w wieży z kości słoniowej. Socjologia wchodzi na rynek i zostaje poddana wielu próbom“ (podkr. red. „O.B.“).

Ważkie to, zaiste niepokoje... Kto miał kiedykolwiek do czynienia z badaniami socjologicznymi „w terenie“, ten wie, że socjolog je przeprowadzający jest narażony na pokusy i niebezpieczeństwa, a przede wszystkim słabości, które mogą się przejawiać w braku cywilnej odwagi ujawnienia prawdziwych wyników badań, aby się nie narazić czynnikiem sprawującym rządę w państwie lub choćby administracji na podległym im „terenie“.

A przecież nawet na omawianym zjeździe — stwierdźmy to z zadowoleniem — byli socjologowie, którzy nie wahali się mówić „to co jest common knowledge, lecz jest tylko ujęte w innych nazwach niż jesty potoczny“ (używając określenia prof. Szczepańskiego), a jednak wypowiedzieli poglądy o doniosłym znaczeniu.

Prof. A. Matejko „mówił o trzech progach hamujących proces uprzedmiotowienia (cytuujemy słowa L. Brodowskiego ze sprawozdania zamieszczonego w paxowskim „Słowie Powszechnym“) i o nienadążeniu poziomu fachowych kwalifikacji robotników za postępem technicznym, o sztywnych metodach kierowania przemysłem (podkr. red. „O.B.“), nie uwzględniających uzasadnionych aspiracji wysokich specjalistów, oraz o morale pracowników poniżej niezbędnego „socjominimum“, czyli poziomu układu stosunków międzyludzkich w zakładach pracy“.

Dr K. Doktor wyraził pogląd, że rząd „socjalistyczny“ w miarę umacniania się procesu industrializacji „przekształcać się będzie coraz bardziej z rządu politycznego na rząd gospodarczy, oparty na socjalistycznych managerach“, co na pewno politykom reżymowym pp. Schaffom, Kliszkom, Jarosińskim, Moczarom et consortes nie poszło w smak.

Doc. M. Hirszowicz, jak wynika z tego samego sprawozdania L. Brodowskiego, domagała się zerwania z „instrumentalną koncepcją robotnika“, jeżeli ma się „on stać współgospodarzem socjalistycznej własności, służącej rozwojowi dochodu narodowego oraz celom

społeczno-wychowawczym". Proces więc zmian w dziedzinie stosunków przemysłowych — zdaniem referentki — należy rozpatrywać w trzech zasadniczych aspektach: „postępującej integracji, rozwoju rzeczywistego (podkr. red. „O.B.“) samorządu robotniczego oraz racjonalizacji stosunków przemysłowych". Sprawozdawca (L. Brodowski) bardzo słusznie podkreśla, że „słabością polskiego samorządu robotniczego jest to, że rzeczywistość uczestnictwo pracowników jest ograniczone do pewnej (! uw. F. K.) tylko części załogi i podlega stopniowaniu". Wiadomo przecież, że po reżymowej „reformie" samorządu robotniczego w 1958 r. został on całkowicie podporządkowany partii i tak dalece ubezwłasnowolniony, że stał się właściwie parodią samorządu.

Rozmiary artykułu nie pozwalają na obszerniejsze omówienie wszystkich, a nawet tylko najważniejszych zagadnień, które stały się przedmiotem obrad zjazdu. Toteż usiłowaliśmy jedynie zwrócić uwagę na niektóre, z politycznego punktu widzenia najbardziej charakterystyczne.

Nie możemy jednak pominąć jeszcze referatów i dyskusji na temat panującego obecnie w Kraju systemu politycznego. Jak już wspomnieliśmy referaty na ten temat wygłosili docenci J. Wiatr i W. Wesołowski. Zwłaszcza poglądy pierwszego z nich zasługują na szczególną uwagę, bo spełnia on wśród socjologów podobną rolę, co Henryk Jabłoński wśród historyków, to znaczy naganiaacza swych kolegów po fachu na partyjne podwórko. Nie bardzo im się to udaje, jak o tym świadczyły omawiany tu Zjazd Socjologów czy dyskusja przeprowadzona niedawno przez historyków w redakcji „Współczesności" (nr 1/1965) na temat „II Rzeczypospolitej". Ale poglądy tych panów nie mogą być pominięte, bo wskazują na polityczne tendencje, jakie partia pragnie przezsześcić na grunt naukowych badań.

Z obiektywnego, naukowego punktu widzenia nie były widocznie oba wymienione referaty żadną szczególną wartością, skoro zostały one pominięte zarówno we wspomnianym powyżej artykule prof. J. Szczepańskiego jak i w sprawozdaniu ze zjazdu J. Kopia w „Tygodniku Powszechnym". O referacie J. Wiata dowiadujemy się jednak dość dokładnie z prawomyślnego „Słowa Powszechnego". Wynika z zamieszczonego w nim sprawozdania, że doc. Wiatr silił się przekonać uczestników zjazdu, że „wśród czynników, które ukształtowały polski system polityczny, należy wymienić następujące grupy przemian społecznych: przesunięcie hegemonii w całym życiu narodowym z burżuazji do

klasy robotniczej (! — uw. F. K.), socjalistyczna (? — uw. F.K.) industrializacja, rewolucja (? — uw. F. K.) kulturalna oraz głębokie przemiany, korzystne zmiany (sic! — uw. F. K.) naszego położenia geopolitycznego". Dalej referat wieścił „stopniowe przechodzenie od modelu państwa dyktatury proletariatu do modelu państwa ogólnarodowego, stanowiącego obiektywną przesłankę procesu demokratyzacji socjalizmu".

Zdaniem recenzenta ze „Słowa Powszechnego" referent „w sposób przekonujący uzasadnił odrębności polskiego systemu partyjnego od klasycznych modeli państwa wielopartyjnego". Na czym ten „sposób przekonujący" polegał, trudno ustalić, skoro w dalszym ciągu doc. Wiatr takie oto wygłaszał poglądy: „Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest partią — hegemonem (podkr. red. „O.B.“), która rządzi we współpracy z innymi siłami socjalistycznymi (? — uw. F. K.), natomiast wyklucza z areny życia politycznego siły antysocjalistyczne. Pod tym względem można scharakteryzować nasz system polityczny jako — pluralizm sił socjalistycznych bez politycznej opozycji". Bagatel!

Ale doc. Wiatr nie zapomniał w swym referacie i o Kościele. Omawiał mianowicie „funkcję polityczną Kościoła katolickiego jako organizacji sformalizowanej, shierarchizowanej i neutralizowanej, odgrywającej ważną rolę w życiu naszego społeczeństwa". Zdaniem doc. J. W. „Kościół katolicki jest trwale konkurencyjną wobec partii i państwa siłą ideologiczną. Nie akceptuje ideologii socjalistycznej. Jest on również aktualnie opozycyjną siłą polityczną (podkr. redakcji „O.B.“). Przy braku oficjalnych partii chrześcijańskich spełnia on wiele z ich funkcji". Jaki ma być wobec tego stosunek „hegemonia", to znaczy partii, do Kościoła, tego doc. J. W. nie dopowiedział, jak się zdaje, do końca, rozumując, że to już należy do pp. Gomułki, Kliszki i Moczara i ich referenta „wynaniowego", „ministra" Tadeusza Żabińskiego, zwolnionego w sierpniu 1956 r. ze stanowiska przewodniczącego prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach, za „kacykostwo, warcholstwo, bezduszny biurokratyzm i nadużywanie władzy", a w lipcu 1961 r. mianowanego — widocznie stosownie do tych kwalifikacji — „dyrektorem Urzędu do Spraw Wyznań".

Powracając jednak od tej „kościelnej" dygresji do samego zjazdu, trudno nie wspomnieć o jego ocenie napisanej przez M. Łuckiego i J. Waclawka we wspólnym artykule pt. „Szansę, osiągnięcia, potrzeby", zamieszczonym w o-

ficjalnej „Trybunie Ludu" (13. II. br.). Autorzy chwają i ganią socjologów polskich, Z jednej bowiem strony piszą oni: „pogłębiająca się metodologiczna samodzielność polskiej socjologii", „zda je się potwierdzać pogląd, że polska socjologia dojrzuwa do budowania teorii procesów społecznych, zachodzących w naszym kraju, i podejmowania węzłowych problemów teorii rozwoju społeczeństwa socjalistycznego"; z drugiej jednak strony stwierdzają, że „do oceny Zjazdu, oprócz miary dorobku socjologii, niezbędna jest także miara dojrzałości jej badań i realizacji zapotrzebowań, a pod tym względem należy odnotować liczne jeszcze braki i niedostatki". Łatwo się domyśleć o jaką „dojrzałość" i „realizację zapotrzebowań" autorom, piszącym na łamach „Trybuny Ludu", chodzi.

Z tego punktu widzenia oceniając „osiągnięcia" i „potrzeby" socjologii polskiej, trudno nam, oczywiście, z daleka osądzić jak się jej stan w rzeczywistości przedstawia. W tej dziedzinie opinie socjologów polskich, pracujących poza krajem, byłyby, rzecz jasna, szczególnie interesujące. Ograniczmy się więc tymczasem do powtórzenia słów wypowiedzianych na łamach „Tygodnika Powszechnego":

„Jak słusznie pisał w 'Kulturze' prof. Szczepański, na zjeździe zabrakło wielkich uczonych, którzy zarządzili poprzednim kongresem, i pod ich nieobecność prym wiodli ludzie młodzi stażem naukowym: grupa bliskich doktoratu magistrów, doktorów czy młodych docentów. Dzielni to i prężni ludzie, oddani walce o pozycję polskiej socjologii, jak i o własne w niej miejsce". Są wśród nich i parszywe owce na pewno, lecz znając młodych Polaków, możemy mieć zaufanie, że jest ich niewiele.

Feliks Królikowski

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Marynarka Stanów Zjednoczonych

ROCZNY budżet marynarki amerykańskiej wynosi ponad 14 miliardów dolarów, inaczej mówiąc każdy obywatel Stanów Zjednoczonych w wieku powyżej 21 lat płaci 126 dolarów na rzecz marynarki wojennej.

Rozwój techniki wieku XX-go nie odbił się w tym stopniu na wojskach lądowych, co na marynarce. Dzisiejszy marynarz jest raczej doskonale wyszkolonym technikiem, posiadającym nieraz średnie wykształcenie — w szczególności starszy podoficer — operujący przebieżnikami i komputerami, obsługujący radar i telewizję, gdzie już nie mięśnie, a tylko mózg odgrywa zasadniczą i nieraz decydującą rolę.

Jakież zadania stawia Ameryka swojej marynarce i czego od niej wymaga za cenę takiego budżetu? Zasadniczym zadaniem marynarki jest utrzymanie w skali światowej takiej proporcji sił, by ich przewaga była zawsze po stronie narodu, dążącego do pokojowego załatwiania narastających problemów — w myśl starej rzymskiej zasady: „si vis pax para bellum“. Z tych założeń wynika gotowość marynarki amerykańskiej do działania w każdej chwili i dosłownie w każdym punkcie globu ziemskiego.

Winna ona przeto posiadać dostateczną siłę, by mogła zademonstrować, a gdy zajdzie konieczność to i interweniować tam, gdzie wolność ludzka i godność człowieka jest zagrożona.

Patrolują więc okręty nawodne i podwodne, latają samoloty marynarki pod gwiazdzistą banderą nad oceanami i od bieguna Południowego aż po Północny, zapuszczają się łodzie podwodne pod grubą, od wieków narosłą skorupę Oceanu Lodowatego, badając czy z tamtej strony nie grozi niebezpieczeństwo, nie brak ich także na oceanie Indyjskim.

Marynarka dwudziestego wieku jest zachłanna i nie zadawała się tytułem „władczyni mórz“; nie ogranicza swego działania do powierzchni morza, lecz sięga w jego głębiny, jak również, mając wlane, niezależne lotnictwo, panuje w powietrzu w swoim obszarze operacyjnym oraz nad lądem. Stała się jakby odrębnym wojskiem, mogącym walczyć samodzielnie we wszystkich okolicznościach. Specjalny korpus piechoty morskiej tzw. Marine Corps jest jednym z najlepiej wyszkolonych jednostek lądowych, mający własną broń pancerną, artylerię, samoloty transportowe, a przede wszystkim najlepszą tradycję bojową.

Liczbowy stan marynarki amerykańskiej wynosi obecnie ponad 670 tysięcy oficerów i szeregowych oraz 870 okrętów różnych klas i przeznaczenia i 8.400 samolotów różnych typów.

Na potęgę marynarki składają się dwa zasadnicze czynniki: siła ognia i ruchliwość.

Jeżeli chodzi o pierwszy element, to najlepszym przykładem, który należy zacytować, są łodzie podwodne z pociskami jądrowymi typu „Polaris“. Każda łódź jest uzbrojona w 16 pocisków. Mogą one być wystrzelone na jeden cel, względnie na kilka lub nawet na szesnaście odrębnych celów.

Łączna siła ognia jednej łodzi typu „Polaris“ przewyższa swą siłą wszystkie bomby, jakie zostały zrzucone w czasie II wojny światowej. Trudno jest sobie wyobrazić ogrom tej potęgi, tym bardziej, że takich „Polaris“ów“ w służbie czynnej jest 41. Nie wiem, czy wyobraźnia ludzka jest zdolna przedstawić sobie to straszne piekło, jakie w każdej chwili może być rozpetane. Zasięg ostentownego typu „Polaris“ów“ wynosi 3.000 mil. W dodatku — ze względu na olbrzymi koszt produkcyjny — każdy strzał jest trafny.

„Polaris“y“ dzień i noc patrolują głębiny oceanów i mórz, nie wynurzając się przez dwa miesiące na powierzchnię morza. Nie mają prawa radiowego komunikowania się ze swoim dowództwem, za wyjątkiem nadawania w pewnych określonych terminach znaku życia.

Drugim potężnym źródłem ognia są lotniskowce, których amerykańska marynarka posiada w służbie czynnej piętnaście. Ilość załogi wraz z personelem lotniczym wynosi około 5.000 osób oraz 100 samolotów najrozmaitszego typu i przeznaczenia, poczynając od normalnych śmigłowców aż do odrzutowców typu Phantom II o szybkości 1.600 mil na godzinę.

Lotniskowce stanowią centrum grupy atakującej, w skład której wchodzi okręty innego typu z działami, wyrzutniami pocisków kierowanych, łodzie podwodne, jednostki kontrtorpedowe, piechota marynarki, statki zaopatrzeniowe i t.d.

Lotniskowce są nieomal zupełnie odporne na lotnictwo nieprzyjacielskie. Wskutek urządzeń radarowo-alarmowych każdy samolot czy też rakietą, startująca z baz nieprzyjaciela jest natychmiast dostrzeżona i lotniskowiec reaguje automatycznie. Posiada on na-

tomiast dużą wrażliwość na działalność łodzi podwodnych, stąd też dział obrony przeciw tym łodziom jest zasadniczą troską lotniskowca, który ma na swe usługi własne łodzie podwodne, lotnictwo, specjalne jednostki uzbrojone w rakiety.

Każdy lotniskowiec, wykonywujący pewne zadanie, otoczony jest stale krążącymi w powietrzu samolotami, (przez 24 godziny), które mogą lądować względnie startować na pokładzie w odstępach 1 minuty w nocy i 30 sekund w dzień. Samoloty te mogą być zaopatrywane w paliwo w locie.

Jeżeli chodzi o element ruchliwości to polega on na okrętach szybszych od okrętów innych narodowości. Polega to na tym, że różne okręty o napędzie atomowym nie muszą być często zaopatrywane w paliwo bezpośrednio na morzu bądź też w bazach, do których należałoby zawijać. Ruchliwość polega również na drobiazgowej organizacji: np. dywizja piechoty morskiej, stacjonująca w Kinawa, jest zdolna w ciągu 12 godzin być w transportach lotniczych łącznie z załadowaną artylerią i czołgami.

* * *

Organizacyjnie marynarka amerykańska dzieli się na dwa duże zgrupowania czyli floty: Flota Atlantycka i Flota Pacyfiku. Flota Atlantycka dzieli się na Drugą i na Szóstą Flotę. Flota na Pacyfiku na: Pierwszą i na Siódmą, której działalność coraz częściej przejawia się przez szpalty prasy w związku z wypadkami na Dalekim Wschodzie.

Druga Flota obejmuje swym zasięgiem zachodni Atlantyk i broni wschodnich brzegów amerykańskiego kontynentu. Swą kwaterę główną ma w Norfolk Virginia, gdzie jest również kwatera główna całej Floty Atlantyckiej. Baza w Norfolk jest największą bazą morską świata. Tu mieści się dowództwo lotnictwa morskiego, ośrodki wyszkoleniowe piechoty morskiej, załogi łodzi podwodnych itd.

W skład drugiej Floty Atlantyckiej wchodzi okręty „Northampton“ i „Wright“, wyposażone w najnowsze środki komunikacyjne. Oba okręty pomyslane są jako „Biały Dom“ dla prezydenta Stanów Zjednoczonych na wypadek zagrożenia atomowego.

Szósta Flota, o stanie liczebnym ponad 30 tys. ludzi, ma swoją kwaterę główną w Londynie, jest ona jednocześnie dowództwem sił morskich NATO. Stanowi trzon sił morskich Europy Za-

MARYNARKA STANÓW ZJEDN.

(Dokończenie)

chodniej. Zadaniem jej jest strzec wybrzeży Europy i zachodniej Afryki z morzem Śródziemnym włącznie. Flota ta nie posiada baz na wielką skalę, a jest zaopatrywana przez ruchomą służbę zaopatrzenia Floty Atlantyckiej. Francuski port morza Śródziemnego Villefranche odgrywa rolę portu macierzystego okrętu flagowego tej floty, na którym znajduje się dowództwo morskie tego obszaru Europy.

Floty Pierwsza i Siódma panują na Pacyfiku. Flota Pierwsza — od zachodnich brzegów Ameryki do wysp Hawajskich, gdzie znajduje się jej kwatery główna, zaś Flota Siódma obejmuje obszar od Hawaj na zachód. Jest ona najsilniejszą ze względu na najbardziej zagrożony odcinek i stan jej wynosi ponad 125 okrętów i 64 tys. marynarzy, w tym korpus piechoty morskiej w sile 24 tysięcy. Wspiera ją z lotniskowców ponad 650 samolotów. Odpowiedzialność jej rozciąga się na przestrzeni 30 milionów mil kwadratowych i sięga od morza Berynga do Antarktyki, ma bazy nawet w Nowej Zelandii. Floty Pacyfiku współpracują z sobą ściśle, są pod jednym dowództwem, uzupełniają się nawzajem jak również luzują jednostki bojowe.

Floty: Szósta i Siódma, działają zdala od brzegów ojezycznych i mają jako swe motto: „Siła — to pokój“. Obie są uważane za floty „dobrej woli“ i każdy marynarze jest jak gdyby ambasadorem swego kraju. W portach, w czasie krótkich postojów marynarze rezygnują z należącego im odpoczynku i w wolnym czasie budują boiska sportowe, odwiedzają szpitale, sierocińce, przynosząc z sobą siodyce, papierosy, zabawki dla dzieci, a nawet i lekarstwa. dostarczane za darmo przez amerykańskie firmy. Nic więc dziwnego, że w niektórych ubogich krajach każdorazowe odwiedziny wojennego okrętu amerykańskiego są oczekiwane z niecierpliwością.

Ambasadorstwo „dobrej woli“ kończy się tam, gdzie spotka się ze złą wolą, jak to np. miało miejsce w sierpniu roku ubiegłego, w zatoce Tonkińskiej, kiedy statki Północnego Viet Namu prowokacyjnie zaatakowały patrolujące międzynarodowe wody dwa okręty amerykańskie: „Maddox“ i „C. Turner Jay“.

Odwetowe uderzenie lotnictwa Siódmej Floty Amerykańskiej zniszczyło wtedy lub uszkodziło 25 statków patrolowych viet-namskich oraz unieszkodliwiło w 90% zaopatrującą je bazę.

Natychmiastowa reakcja podniosła repekt dla Ameryki w tej części świata.

Wacław Chocianowicz

Szwajcaria, kraj „wiecznego pokoju“, przeżywała ostatnio okres burzliwy, wskutek niespodzianych zająć na odcinku polityki wewnętrznej. Chodzi m.in. o rzecz niemałą i niezmiernie kłopotliwą, bo o wyodrębnienie nowego kantonu z zespołu istniejących dotychczas 22 względnie 25, wobec tego że trzy kantony zostały przepołowione i tworzą dzisiaj odrębne jednostki autonomiczne. Nowym tym kantonem miały być Jurajski, w większości zamieszkały przez ludność mówiącą po francusku, głęboko wrzynający się już w teren dzisiejszej Francji. Kiedy w r. 1815 Kongres wiedeński porządkował a często gmatwał, sprawy europejskie. znalazły się na porządku dziennym i zagadnienia związane z ustrojem Szwajcarii, którą, jak wiadomo, Napoleon Aktem Mediacji na swój sposób przekształcił. Weszła wtedy pod obrady sprawa potężnego kantonu berneńskiego, z którego wyłączono zajęty przez niego od XVI-go wieku kanton wodejski (Vaud), niezależniony w okresie Rewolucji francuskiej, oraz terytoria, którymi powiększono obszar nowopowstałego, dzięki Napoleonowi, kantonu Aargau. Jako kompesatę przyłączono do Berna kraj przynależny dawniej do biskupstwa bazylejskiego, zniesionego przez Reformację, powszechnie odtąd znany pod nazwą Jura berneńskiego. Łańcuch gór Jura otacza całą Szwajcarię od północy obejmując kilka kantonów, aż do Jeziora genewskiego. Pokojowe objęcie Jura berneńskiego przez kanton berneński, bez protestu ludności, zdawało się zapewnić zgodne współżycie w przyszłości. Pewne prawa zastrzeżone mu zostały w Konstytucji kantonu berneńskiego, przykrojonej zresztą do potrzeb większości niemieckiej tego państewka. Okazało się jednak, że małżeństwo to nie było rozumne (mariage de raison). Ludność mówiąca po francusku, w znacznej części katolicka, w dodatku ogromnie frankofilska, nie mogła na przestrzeni czasu, zwłaszcza w dzisiejszej dobie wybujałego nacjonalizmu, zgodzić się na supremację kantonu obcego jej mentalnością, językiem, wiarą. Na

Józef Garliński „Z I E M I A “

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

A. BRONARSKI

WALKA O SAMOSTANOWIENIE W SZWAJCARII

tym tle powstały nieporozumienia i tarcia, łagodzone początkowo bez większych trudności, tym bardziej, że kanton berneński należy do czołowych i cieszy się wielkim prestiżem jako siedziba władz federalnych, korpusu dyplomatycznego i innych instytucji międzynarodowych. Stolica Bern należy do największych miast szwajcarskich i jako centrum życia turystycznego znana jest w całym świecie. Walka o niezależność małego kantonu stała się walką Dawida z Goliatem. A jednak trwa ona od kilku lat i przybiera coraz większe rozmiary. Rozgorzała ona w prasie, która jedna z pierwszych hasła separatystyczne podjęła. Wyłoniła się następnie kwestia założenia gimnazjum francuskiego w Bernie, która znalazła pomyslnie rozwiązanie.

SEPARATYZM JURAJCZYKÓW

W dzisiejszych czasach, kiedy społeczności murzyńskie, jedna po drugiej, uzyskują samodzielność i organizują niezależne państwa, — trudno odmówić słuszności separatystom jurajskim, uważającym, że narzucone im przed 150 laty wiedeńskie postanowienia, powzięte poza plecami zainteresowanej ludności, nie mogą ich obecnie zobowiązywać. Analogiczna sytuacja zaistniała zresztą w kanadyjskim Quebecu domagającego się niezależności. Znamienne było oświadczenie angielskiej królowej, która niedawno w Parlamencie uznała konieczność zmiany Konstytucji. Z drugiej strony żadne szanujące się państwo nie może przykładać ręki do uszczuplenia swego terytorium, a każdy kanton, według Konstytucji szwajcarskiej jest niezależną, suwerenną republiką, z własnym kantonalnym rządem i sejmem. Argumentów natury prawnej nie brak więc Bernowi. Poza tym powołać się on może na analogiczną sytuację w innych kantonach, gdzie tego rodzaju problemy dotychczas nie wyłoniły się: np. fryburski i walezański, zamieszkałe częściowo przez ludność mówiącą po niemiecku, a czę-

ściowo po francusku. Niemniej interesy mniejszości jurajskiej przejął Komitet centralny pod nazwą „Rassemblement jurassien“, złożony z osobistości poważnych w tym kraju, i głoszący w granicach legalności hasła separatyzmu względnie autonomizmu. Przeciwnością się jemu Związek Patriotów Jurajskich z ramienia obozu przeciwnego, broniącego nienujarzalskości granic, dawnego kantonu. Istnieją jeszcze inne organizacje, jedna z nich tajna i terrorystyczna została zdemaskowana i rozwiązana. Jak więc pogodzić tak sprzeczne interesy? Wyłonił się projekt plebiscytu, który istotnie przeprowadzono w r.1959. Wynik jego okazał się korzystny dla Berna, separatyści uzyskali tylko 40 procent głosów. Lecz nie bez podstawy zarzucono, że wynik głosowania nie odzwierciedlił właściwego nastroju Kraju, bo w tym czasie cały aparat propagandowy pozostawał w ręku władz w niemieckiej części kantonu. Plebiscyt nie rozstrzygnął sprawy, zaostriżył tylko krytyczną sytuację. Trudność leży w tym, że istotnie znaczna część mieszkańców domniemanego przysięzłego kantonu nie życzy sobie wcale zerwania wiążących dotychczas ścisłych więzów z Bernem. Dotyczy to, przede wszystkim miasta Biel (Bienne), ważnego centrum przemysłowego, w którym ludność niemieckiego pochodzenia przeważa. Bez niego i innych miejscowości, podobnie negatywnie nastawionych, stworzenie odrębnego kantonu nie zdaje się możliwe. W rezultacie rzecz można ogólnikowo północna część Jura berneńskiego, francuska, dąży do separatyzmu, południowa pozostaje lojalna w stosunku do dawnego kantonu.

POLITYKA RZĄDU

KANTONALNEGO W BERNIE

Trzeba powiedzieć, że Rząd berneński nie zawsze miał szczęśliwą rękę w kierowaniu tą sprawą. W Sejmie kantonalnym odzywały się głosy zgoda nie sprzyjające zbliżeniu stanowisk tak bardzo przeciwnych. Nie pomogły wysiłki jurajskich deputowanych w łonie tego Sejmu i orzeczenia wydane przez przedstawicieli różnych stronnictw. Wobec takiego stanu rzeczy znalazł się mąż, który swym wpływem chciał sprawę na dobre sprowadzić tory. Był nim radca federalny, Wahlen, stojący na czele Departamentu spraw zewnętrznych, a więc szwajcarski minister spraw zagranicznych, z pochodzenia Berneńczyk, cieszący się ogólnym szacunkiem. W mowie wygłoszonej na terenie spornym wystąpił z inicjatywą, aby obie poróżnione strony nawiązały formalny „dialog“, który by mógł doprowadzić do porozumienia. Ale Bern przy-

jął tę inicjatywę bez entuzjazmu. O zaognieniu sytuacji świadczą zamachy, podpalanie budynków rządowych, znieważania pomników, a przede wszystkim namiętna opozycja ze strony Jurajczyków przeciw projektowi rządowemu stworzenia w ich kraju, nie wiadomo czy więcej z pobudek strategicznych czy politycznych, wojskowych fortów t. zw. place d'armes.

NASTROJE NIESPOTYKANE W SZWAJCARII

Pogorszył sytuację nieszczęśliwy pomysł Rządu berneńskiego urządzenia wielkiej manifestacji patriotycznej w miejscowości Les Rangiers 30. 8. 64. dla uczczenia zmobilizowanych żołnierzy w pierwszej i drugiej wojnie światowej, których 50-lecie i 25-ciolecie Szwajcaria w ub. roku obchodziła. Przygotowana nieprzezornie uręczystość, która bez wątpienia miała i cele polityczne na oku, miała przebieg fatalny. Dwaj oficjalni mówcy, którymi byli: radca federalny Paul Chaudet, stojący na czele Departamentu dla spraw wojskowych, czyli szwajcarski minister obrony krajowej, i towarzyszący mu radca stanu Virgile Moine, reprezentujący kantonalny Rząd berneński, nie tylko nie zostali dopuszczeni do głosu, ale i znieważeni — rzecz niesłychana w dziejach Szwajcarii. Wznoszono wrogie okrzyki, obnoszono plakaty z ubliżającymi dla władz napisami etc. Trzeba powiedzieć, że opinia publiczna szwajcarska potępiła bez zastrzeżeń niesłychane te wystąpienia, podobnie jak Rząd berneński i Sejm kantonalny. Zapowiedziane zostały dochodzenia sądowe i bardzo daleko idące zarządzenia rządowe. Nie dość na tym. We wrześniu miał odbyć się w Lozannie tzw. „Dzień berneński“ w ramach odbywającej się co lat 25, Wystawy krajowej. Dni takie organizowane były kolejno dla wszystkich kantonów. Rząd berneński w obawie wrogich wystąpień Jurajczyków na tym terenie porozumiał się z Rządem wodejskim, aby ich nie dopuścić do żadnych manifestacji separatystycznych. Wywołało to zrozumiałe rozgoryczenie i oburzenie. Przywódcy separatyzmu potępiłi to bądź co bądź niedemokratyczne zarządzenie, przenosząc gniew głównie na władze wodejskie izywając do bojkotu Wystawy. Oburzenie znalazło swój wyraz przede wszystkim na tzw. Święcie ludowym (Fête du peuple jurassien) odbywającym się od 17 lat, w tym okresie. W ub. roku uroczystość odbyła się w mieście Délémont i stała się manifestacją niezmiernie wymowną nastrojów panujących w tej części Szwajcarii, a które przejawily się zarówno w prze-

mówieniach publicznych jak w nader licznych udziałach przybyłych z różnych stron kraju manifestantów.

Tak przedstawia się sytuacja w Jura berneńskim, której nie należy lekceważyć. Niebezpieczeństwo leży w tym, że istnieją jeszcze inne problemy międzykantonalne, na pozór załatwione, lecz mogące wyłonić się znowu pod wpływem reklamacji jurajskich, co wywołałoby niepożądaną zamęt, który niewiadomo na czym by się skończył. Wszak w czasie zaburzeń jurajskich 'demonstranci odważyli się obnosić sztandary o barwach francuskich. Niebezpieczeństwo leży też w rozbiegu opinii publicznej. Podczas gdy duży jej odłam, zwłaszcza w Szwajcarii francuskiej wypowiada się za żądania mi jurajskich separatystów, inni — i to prawdopodobnie większość — stoi po stronie status quo.

NIEBEZPIECZEŃSTWA ZIMNEJ WOJNY W MINIATURZE

Sytuacja wymaga więc jak najprędszego rozwiązania. Jest zaś ono tym bardziej konieczne, że Szwajcaria, kraj zdecydowanie neutralny i potępiający wojny pod każdą postacią, nie może się zgodzić na przedłużanie pewnego rodzaju „zimnej“ wojny domowej. Próby dotychczasowe pojednania zawiodły, trzeba więc znaleźć inne wyjście z obecnego stanu rzeczy. Wyodrębnienie nowego kantonu, czy też szeroka autonomia w ramach dawnego kantonu? Coraz częściej słyszeć się daje konieczność porozumienia na podstawie federacyjnej w łonie dawnego kantonu, albo mediacji Konfederacji, a więc władz naczelnych. Sprawa znalazła już swój odgłos w Parlamencie Związkowym. Przypuścić należy, że Szwajcarzy obdarzeni wielkim doświadczeniem, z konieczności skłonni do kompromisów, twórcy państwa będącego arcydziełem rozumu politycznego, w którym umieli pogodzić w doskonałej harmonii nie dające się na pozór pogodzić sprzeczności, znajdują środek porozumienia i likwidacji obecnego konfliktu. Przemawiają za tym i kilkunastowieczne tradycje związane ze sławnym Sejmem w Stans, w r. 1481, w czasie którego pośrednictwo świętego pustelnika, dziś wyniesionego na ołtarze św. Mikołaja z Flue, pozwoliło pogodzić pokłóconych kilka kantonów i usunąć groźbę rozbięcia Związku szwajcarskiego. My zaś Polacy, możemy tylko sobie życzyć szybkiego uspokojenia umysłów w Kantonie, który w najdramatyczniejszych chwilach historii Polski stawał zawsze w obronie jej praw, choćby w ostatniej wojnie.

Alfons Bronarski



Komplet z dżerseju w kolorze „cassis“. Kreacja „BESS Art“, Paryż 1965.



Fryzura i makijaż Elizabeth Arden — Paryż 1965. Cop.

W PARYŻU skończyły się wielkie rewie mody na nowy sezon wiosenny i letni. Nie ma w nich żadnej rewolucji, żadnej atrakcyjnej nowości, która by zmieniła sylwetkę kobiety od góry do dołu. Paryż od pewnego czasu idzie po linii ewolucji, gdzie zmieniają się materiały, kolory i szczegóły w kroju i te właśnie szczegóły stanowią nową modę. Mówi się tu, że jest to triumf stylu „Coco“ Chanel, która na pierwszy rzut oka nie zmieniła swej mody od lat, ale w każdym sezonie jej modele wyglądają inaczej i trzeba starannie je oglądać, by wykryć na czym ta nowość polega. Wiele redaktorek mody, a nawet wysłanników wielkich domów konfekcji, którzy kupują w Paryżu modele, jest tym rozczarowanych. Bo ta konfekcja chciałaby coś zupełnie nowego, by cała garderoba jej klientek była do wyrzucenia, by kobieta po obejrzeniu nowej kolekcji musiała sobie powiedzieć: „teraz absolutnie nie będę miała co na siebie włożyć“. Ale paryscy kreatorzy mody, po doświadczeniach z „workami“, „trapezami“, „koszulami“, liniami „T“ czy „H“, gdzie toaleta wcale nie liczyła się z naturalną sylwetką kobiety i była abstrakcyjnym dziełem, które z powodzeniem można było pokazywać na wieszaku bez modelki, wrócili do podkreślania uroku linii kobiecego ciała — moda ma upiększać, a nie masakrować. Gdy kilka lat temu młody Yves Saint-Laurent u Diora pokazał linię o dwóch taliach, które przecięły sylwetkę kobiety na trzy części, redaktorki i fotografowie mody zachwycali się — „co za nowość“. Ale Dior na tej kolekcji poniósł ciężkie straty, bo za wyjątkiem pewnej elity o ekstrawaganckich upodobaniach, normalne klientki, nawet te które stać na płacenie toalet u Diora, poszły ubierać się u Chanelki, Balmaina czy Lanvin. Kobieta chce się podobać i moda powinna, więcej lub mniej dyskretnie, podkreślać, zaznaczyć to, co ona ma uroczonego, ponętne, a zasłonić pewne defekty. Młoda elegantka chce pokazać swą młodość w pełni czaru, starsza chce wyglądać młodziej i tu nikt nic nie pomoże.

Po obejrzeniu kolekcji Diora rozmawiałem z jej kreatorem Marc Bohan. Powiedział, że prasa często pisze głupstwa, mówiąc o paryskich dyktatorach mody, którzy narzucają kobietom, jak mają się ubierać. Domy mody nie narzucają, lecz starają się wyczuć, odgadnąć tendencję, jaka panuje, czego kobieta chce. W ciągu sezonu sprzedają wiele toalet i dokładnie widzą, że klientki ich wybierają np. krótsze sukienki, wolą modele z zaznaczoną talią i z podkreślonym biustem, porzucają spodnie i swetry. To jest tendencja i ona znajduje wyraz w najbliższych rewiach.

Nowa linia mody wiosennej i letniej stoi pod znakiem prostoty, czystości i wygody. Linia prosta oznacza, że toaleta podąża za naturalną linią ciała. Jest czysta, bez żadnych dodatków i farteluszków i wreszcie wygoda objawia się w obszerności toalet, a zwłaszcza spódnic i w lekkości materiałów. Toaleta nie krępuje, można się w niej swobodnie poruszać, biegać, wsiadać do samochodu czy wchodzić po schodach, materiały są leciutkie, nie czuje się ich, nie zabierają wiele miejsca w walizce, co jest ważne, bo nowoczesna kobieta podróżuje. Wielka amerykańska redaktorka mody, Eugenia Sheppard, którą trudno zadowolić, powiedziała o obecnych rewiach, że toalety robią często wrażenie małej, jedwabnej chusteczki.

Jacques Esterel, który w każdym sezonie występuje z jakąś nowością, która wszystkich zaskakuje, w tym roku całą swoją kolekcję podzielił na podróże, na dalekie wyspy. Przyjął, że kobieta leci samolotem na jedną z tych wysp, ma jedną walizkę i musi w niej zmieścić całą swoją garderobę. Garderoba ta składa się z 8—10 sztuk, ale można je między sobą tak kombinować, że

NOWA MODA PARYSKA

Szykowna, lekka i młoda

(Korespondencja własna z Paryża)

daje to razem 15 i nawet więcej toalet. Materiały oczywiście bardzo lekkie i to wszystko jest wyrazem tendencji — mody praktycznej.

Wyrazem wygody, jak zaznaczyłam, są obszerne spódnice. Nigdy w Paryżu nie widziałam tyle plisów i to we wszystkich możliwych wydaniach. Plisy zwykle dookoła całej sylwetki, plisy w plisach, czy „superplisy“, jak je nazwano, plisowanie bardzo drobne, lub w szerokie fałdy, plisy ukośne tylko z jednej strony spódnicy, lub tylko z przodu — albo z tyłu. Ale niemal wszystkie modele mają jedną wspólną cechę — te plisy nie rozpoczynają się od talii, ale od połowy biodra, albo nawet jeszcze niżej. Cel jest jasny, plisy od talii pogrubiają sylwetkę i mogą je bez szkody nosić tylko osoby bardzo szczupłe, a w tym kroju biodra pozostają wąskie i spódnica rozszerza się dopiero w dole — czyli łączy szczupłość z wygodą. Obok plisów kliny, marszczenia, fałdy, zakładki. Oczywiście przy zachowaniu i nawet podkreśleniu szczupłości talii, z kolekcji zniknęły zupełnie swetry i pullovery, bo te ją zakrywają i poszerzają.

Jak w poprzednich sezonach tak teraz wielkie domy wysilają się na modele pełne elegancji i szyku. Skończyła się i to zupełnie tendencja „niedbałości w elegancji“ z pewną domieszką stylu „chuligańskiego“ — co nazywano tutaj „młodą falą“. A więc razem ze swetrami zniknęły spodnie (u Diora na ponad 200 modeli nie pokazano ani jednego) i skórzane kurtki. Niektóre domy, jak Jacques Heim, ubierający panią de Gaulle, jeszcze zachowały coś w rodzaju spodni, ale to raczej pokazujące się spod sukni, najczęściej wieczorowej, majtki i to bardzo ozdobne. Kobieta w tym sezonie chce być w stu procentach kobietą, bez żadnych zapożyczeń z męskiej garderoby.

Inny szczegół tego sezonu to masowy powrót bluzek, niezbyt obszernych, najczęściej wpuszczanych do spódnic, w większości zapinanych z tyłu na plecach. U Diora, którego żakiety kostiumów są w większości bez kołnierzy, bluzka dochodzi pod szyję, gdzie jest czasami dyskretnie udrapowana. Bardzo często bluzka z tego samego materiału co turban, bo jedną z dalszych cech kolekcji Diora to turban zamiast kapelusza. Normalnie mały, dość obcisły, czasami jak chusteczka zawiązana nad czołem, ale pod wieczór ten turban robi się obszerniejszy, bogatszy, ozdobniejszy, naszywany kolorowymi kamykami lub perełkami. Jest to połączone z innym szczegółem — główka w tym sezonie jest mała, włosy dość krótkie, bardzo często czoło i uszy całkowicie odsłonięte. Z jednej strony nie ma wielkich puszystych głów, a z drugiej prostych długich kosmyków, które charakteryzowały właśnie ten porzucony styl „chuliganek“. Na tej nowej główce łatwo nosić kapelusz czy ten turban.



Kostium szantungowy SACHE. „Caracas“ —
Christian Dior, Paryż 1965. Cop.

A więc główka mała, powrót do bluzek, spódnice w dole obszerne i wszystko z materiałów bardzo lekkich, a więc tu uwaga — w tym trzeba umieć się poruszać, by te lekkie materiały nie wisały jak na kołku, lecz żyły, powiewały i tańczyły (niektóre spódnice Diora mają w sobie coś ze stylu cygańskiego, czy hiszpańskiej Conchity, która wiruje w tańcu z kastanietami). Kobieta pełna życia i temperamentu ma pełne pole do popisu, bo to nie jest moda dla dostojnej matrony, skupionej madonny, kobiety „fatalnej“, czy „vampa“ z długą cygarniczką i powolnych, wystudiowanych ruchach.

Idźmy dalej. Żakiety kostiumów w większości krótkie, z małym kołnierzem, często klasycznym z klapami, dwurzędowe, lub też bez kołnierza, nie zawsze zapięte z przodu, albo zapinane skośnie z boku. W ogóle jest tendencja do linii asymetrycznej — ale to było również w poprzednich sezonach. Obok tego widać żakiety dłuższe, luźniejsze, często tworzą „ensemble“ z sukienką.

W sukienkach dziennych dużo płótna lnianego, są one świeże i bardzo proste w kroju. Biust wyraźnie zaznaczony, co widać nawet u szczupłych modelek, które tego biustu prawie nie mają, a więc można powiedzieć, że w tym roku biust nabierze wartości, co tylko podkreśli kobiecy charakter mody. Talia u większości domów na swoim miejscu, czasami trochę obniżona, zwykle przewiązana (ale nie obciśnięta) paskiem. Pasków bardzo dużo, raczej wąskie, ale widzi się i szersze, częściej ze skóry niż z materiału, w większości zawiązane z przodu a nie zapinane na klamry. Kilka domów starało się obniżyć talię aż na biodra, co przypomina lata dwudzieste z okresu po pierwszej wojnie światowej — ośobiście wątpię, żeby to miało powodzenie, bo styl Diora, czy innych domów, w których ramiona są wąskie, biust wyraźnie zaznaczony, talia na swoim miejscu, wydłuża sylwetkę, robi ją wiotką, podczas gdy ta niska i szeroka talia ją skraca i robi przysadzistą. To pachnie trochę anachronizmem.

Spódnice dochodzą do kolan, niektórzy je nieco odkrywają, u innych kolana są ledwo zakryte, ale za to odsłaniają się w ruchu. Chociaż wielu kreatorów stale powtarza (między nimi nasza rodaczka Lola Prusac), że kolanka to słaby punkt kobiety, bo bardzo rzadko są rzeczywiście ładne i wobec tego moda powinna je raczej zakrywać — widocznie ich właścicielki mało się tym przejmują i chcą je mimo wszystko pokazywać. Będą mogły, bo tylko jeden dom zakrył je zupełnie i spódnice wyraźnie wydłużył — wbrew ogólnej tendencji. Tym domem jest Molineux, który po 15 latach bezczynności znów w tym sezonie otworzył swój salon. Ale do niego za chwilę powrócę.

Kostiumów jest bardzo dużo, od rana do wieczora, na każdą okazję, od kostiumów klasycznych z tweedu, poprzez lekkie jedwabne twille w krawatowy deseń i jeszcze lżejsze muśliny, do bogatej lamy, czy koronek w toaletach wieczorowych. Właściwe suknie wieczorowe wydłużyły się, a Dior wprowadził długość „między łydką i kostką“, ale to na „małe przyjęcia“, bo na „wielkie“ toalety są długie, do ziemi i czasami nawet z trenami.

Dekolty są przeróżne. Marc Bohan u Diora mówi, że w tym sezonie jego toalety nie odsłaniają, lecz są przezrocyste. Rzeczywiście, te leciutkie muśliny i organtyny ubierają, ale zakrywają dość problematycznie — naturalnie nie ma tu żadnej przesady. Ale głęboko wydekoltowana suknia, gdzie ten dekolt jest zakryty mgiełką pastelowego muślinu, ma wiele oryginalnego uroku.

Na śmiałe dekolty poszedł nowy kreator domu Niny Ricci, Gerard Pipart. Kilka modeli jego wieczorowych sukni, bardzo długich i bogatych, a właściwie tylko



spódnic, bo od talii w górę nie ma nic, za wyjątkiem albo bardzo wąskiej przepaski na piersiach, jak w bikini, albo też wąskich szali, wszytych z tyłu i z przodu jak skrzyżowane szelki. Widać pępek i wszystko powyżej. Obecny na sali panom oczy z głowy wyskakiwały, bo Pipart do tych sukien wybrał modelki o ładnych i wyraźnych piersiach.

Kilka słów o kolorach. Dominuje granatowy z białym, granatowy z innymi odcieniami, obok tego sam biały i beżowy. Mniej czarnego niż zwykle, a kolory są mniej żywe i jaskrawe niż normalnie na sezon wiosenny. Są raczej pastelowe, a w toaletach z drukowanego muślinu robią wrażenie pełnych światła akwarel — miałyby się ochotę taki model oprawić w ramki i zawiesić na ścianie.

„Captain“ Molineux zrobił w modzie wielką karierę po pierwszej wojnie światowej. Wszyscy nazywali go „captain“, bo ten Irlandczyk z pochodzenia miał ten stopień w czasie pierwszej wojny w armii brytyjskiej.

Był kiedyś jednym z największych domów paryskich, ale 15 lat temu nagle wszystko zamknął (za wyjątkiem perfum) i wycofał się ze sceny z jedwabną kurtyną. Zachorował na oczy i groziła mu ślepotą (pozostałość po ranie wojennej i nieudana operacja, podjęta dość późno). Wycofał się na Lazurowe Wybrzeże i tam zamieszkał wśród pola 40 hektarów goździków. Ale gdy teraz wzrok mu się poprawił — nie wytrzymał i otworzył swój salon w tym samym miejscu co dawniej, numer 5 rue Royal. Zapowiedział, że nie będzie przyjmować

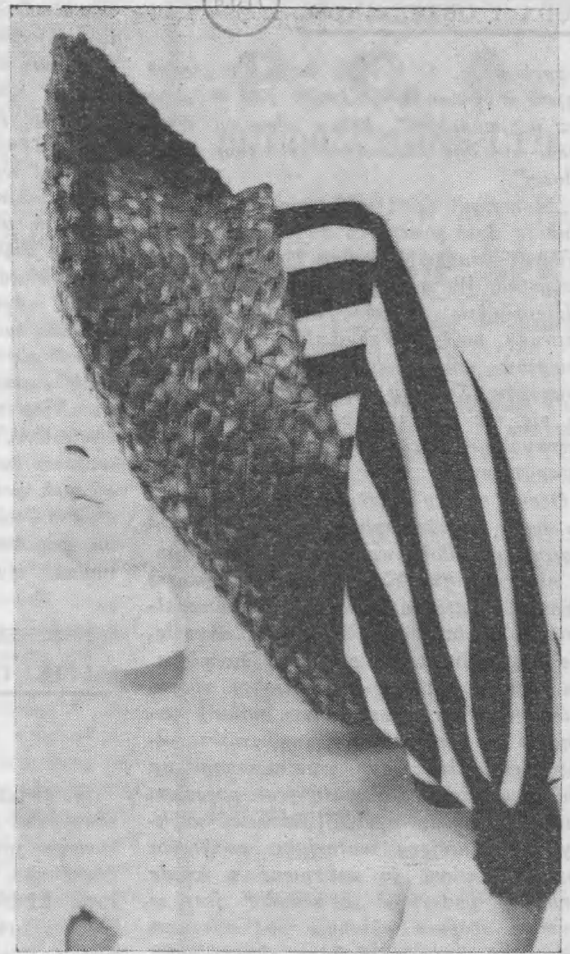
wać prywatnych klientek, jego modele są tylko na sprzedaż do domów konfekcji. Jest jedynym, który wyraźnie wydłużył spódnice, prawie do połowy łydki. Prasa dość chłodno opisała jego kolekcję i wydawało się że „Captain“ znowu będzie musiał się wycofać na z góry upatrzoną pozycję. Ale to nie pierwszy wypadek, gdy opinie redaktorów mody nie zgadzają się z oceną wysłanników domów konfekcji. Niemal wszystkie jego modele zostały wykupione, a prywatne klientki dobijają się do drzwi, by je ubrać. Molineux przyniósł ze sobą przedwojenne niesłychanie staranne wykończenie toalet, do najdrobniejszych szczegółów, co zawsze charakteryzowało wielką modę paryską, a o czym obecnie wiele domów zapomniało — za wyjątkiem jego starej przyjaciółki Coco Chanel, która przysłała mu wielki kosz kwiatów. Ten amator malarz (właśnie poleciał do Nowego Jorku dla otwarcia swej wystawy obrazów) ma wielki talent artystycznego dobierania kolorów i materiałów, a jego styl? „Nie uznaję kobiet-kotów, kobiet-kwiatów, kobiet-zawodniczek-sportowych — dla mnie istnieje jedna kobieta — kobieca“.

Wśród jego klientek figurowała niegdyś Marlena Dietrich, Greta Garbo, księżna Windsoru, księżna Kentu i niemal wszystkie miliarderki świata.

Jak widać „stara gwardia“ tak łatwo nie schodzi z pola walki — a jak schodzi, to czasowo, by znów powrócić. Molineux ma warunki, bo na perfumach zrobił majątek.



Kostium z futerka króliczego z nadrukowanym deseniem.
Kreacja Chombert, Paryż 1965. Cop.



Kapelusz „Pierścień Saturna“ —
Kreacja Jacques Esterel, Paryż 1965. Cop.
Fryzura Alexandre.

MODA, PRAWO I OBYCZAJNOŚĆ

NA czym polega różnica między „obyczajnym“ i „nieobyczajnym“ strojem kobiecym? Odpowiedzi na to pytanie jest mnóstwo i chyba żadna nie jest zadowalająca. Odpowiedzi zresztą ulegają zmianie w zależności od poglądów pokolenia. Prawo usiłowało nieraz iść w sukurs moralności wydając mnóstwo drobiazgowych przepisów, często równie kłopotliwych co całkowicie bezskutecznych. W różnych okresach historii zarządy miast, edykty monarchów, nakazy biskupów i uchwały parlamentów próbowały regulować długość sukni, kolor materiału, ilość koronek i cenę biżuterii, jakie przystało nosić kobietom różnego stanu i różnego wieku. Tyleż zresztą w tym było dbałości o „moralność“ co obawy, by ktoś się nie wylamał z więzów podziału klasowego.

Prawo zmienia się wolniej niż obyczaje i poglądy. Dlatego tak często przepisy prawa wydają się ludziom śmieszne i niepotrzebne. Jeszcze przed trzydziestu laty na niektórych plażach francuskich obowiązywały przepisy (gminy lub departamentu) zakazujące mężczyznom kąpać się w innym kostiumie niż tak zwany pełny, czyli zakrywający tors. Mężczyzna wyglądał w tym stroju idiotycznie. Niemniej „garde champêtre“ uganiał po piasku z szablą u boku, by aresztować każdego kto osmieleł się kąpać w spodenkach kąpielowych.

Oczywiście w tym czasie nikomu jeszcze do głowy nie

przychodziło, że kobiety będą się kiedyś kąpać i opalać w „bikini“. Nie mówiąc już o „monokini“, który zdaniem Włochów ma być plażowym „strojem przyszłości“.

„Monokini“ jest jak wiadomo, kombinacją dość prostą. Z dwóch cząsteczek „bikini“ usuwa się jedną (górną!). I to wszystko. W zeszłym roku pojawiły się gdzieś odważne adeptki nowego kaprysu mody. Wzbudziły trochę zachwyty, więcej oburzenia a najwięcej dowcipów. Znawcy zapowiedzieli, że moda się nie utrzyma ze względów estetycznych. A także z powodów obyczajowo-moralnych.

Ocenę strony estetycznej pozostawmy na boku, gdyż analizować ją zbyt dokładnie groziłoby uwikłaniem się w zgoła nieprzystojne klasyfikacje. Natomiast strona obyczajowo-moralna jednoczątkowych (właściwsze to chyba określenie niż „jednoczęściowe“) strojów plażowo-kąpielowych jest przedmiotem sporu, który w gruncie jest echem zmiany poglądów na „moralność“ czy „niemoralność“ ciała ludzkiego, wystawionego na widok publiczny. Nagość jest pojęciem względnym. Często strój, kawalek większy lub mniejszy materiału, podkreśla nagość zamiast ją zakrywać a każde formalne podejście „z urzędu“ jest w równym stopniu ukłonem pod adresem hipokryzji co dbałością o obyczajność.

O obyczajności stroju stanowi zdaniem wielu nie ilość użytego materiału lecz intencja noszącego strój.

A także intencja patrzącego.

Nietatwa to jednak sprawa osądzić intencję dziewczyny, która zjawia się na plaży z obnażonymi piersiami. Na pewno też do odgadywania intencji nie jest powołany policjant. Tak było w wypadku panny Claudine Durand na plaży w Cannes w sierpniu ubiegłego roku. Claudine wystąpiła w monokini. Gdyby wzorem wielu towarzyszek położyła się eicho na piasku, opalając plecy nie stałaby się przyczyną „cause célèbre“ w annałach sądownictwa francuskiego i być może w annałach mody plażowej. Lecz Claudine biegła po plaży, kąpała się i grała w ping-ponga. Policja przymykała oczy w nadziei, że się jej to znudzi. Po paru godzinach jednak, pod wpływem natrętnych zażaleń części publiczności i hałaśliwego entuzjazmu innej części tejże publiczności uznano, że „trzeba coś zrobić“. Wydelegowano więc dwóch statecznych policjantów na plażę. „Pani nie wolno biegać po plaży w tym stroju“ — powiedzieli policjanci. „Dlaczego“ — zapytała Claudine? „Bo to niemoralnie“. „Jestem innego zdania“ — powiedziała Claudine.

Cóż było robić? Pionierkę „monokini“ aresztowano pod zarzutem obrazy

moralności, Sąd pierwszej instancji. Sąd drugiej instancji. Grzywna i areszt. Wreszcie sąd apelacyjny w Aix-en-Provence. Rozprawie towarzyszyła długa dyskusja prawnicza. Powołano się na opinie znawców prawa. Prawo nie mówi przecież wyraźnie, że nie wolno „chodzić w monokini“. Nie mówi jakim ma być kostium plażowy i ile na jego uszycie należy użyć materiału. Nie mówi nawet co z ciała ludzkiego ma być zakryte. Mówi jedynie, że nie wolno obrażać moralności w miejscu publicznym. Więc sąd głowił się nad tym, co w obecnych czasach stanowi obrazę moralności. Profesor Rieg z Uniwersytetu w Strasburgu stwierdził, że „nikt nie może dziś poważnie twierdzić, iż widok piersi kobiecych jest czymś tak niezwykłym by stanowił obrazę moralności“. Sąd stanął na podobnym stanowisku: „Ponieważ nagość ciała ludzkiego sama w sobie

nie jest niczym zdrożnym nawet dla bardzo wyczulonego uczucia przyzwyczajenia i ponieważ monokini Claudine Durand osłaniało dostatecznie tę część ciała, która mogłaby być uznana za obrażającą moralność, gdyby nie była zakryta — sąd uznaje Claudine Durand za niewinną oskarżenia o obrazę moralności“.

A zatem sąd apelacyjny, a za nim prawo i policja, umyły ręce.

Signum temporis? — Zapewne. Precedens, którego skutki nie każą na siebie czekać. Obawa przed policją znika jako zaporą rozprzestrzenienia się mody „monokini“. Lecz nie jest to jedyna zaporą na pytanie czy obnażanie piersi jest tylko sprawą mody, czy też czegoś więcej będzie czekać dalej na odpowiedź bez względu na ilość zwolenniczek „monokini“ w tegorocznym sezonie wakacyjnym.

Eva d'Ervarth

MACIEJ CYBULSKI

PRZEZ BIOSKOP

W związku z chorobą Księcia Windsoru oraz wiadomościami na temat gotowego już filmu o jego życiu prasa francuska podała informację, że królowa Elżbieta II nie udzieliła zezwolenia na produkcję filmu o życiu swego pradziadka, króla Edwarda VII. Skrypt filmu miał być oparty na wydanej niedawno i cieszącej się dużym powodzeniem biografii, którą napisał wybitny historyk, Sir Philip Magnus.

Projekt nakręcenia filmu wysunął 72-letni Herbert Wilcox, senior brytyjskich producentów. Przypomnijmy, że to on wyprodukował w roku 1937 film o życiu królowej Wiktorii, przy czym tytułową rolę grała Anna Neagle, żona Herberta Wilcoxa.

Producent nie kryje swego rozczarowania, największego — jak powiedział dziennikarzom — w ciągu całej jego 45-letniej kariery filmowej. Poczynił był już poważne przygotowania do pracy nad tym kolorowym filmem. Reżyserem miał być Carol Reed, twórca „Odd Man Out“ i Trzeciego człowieka“. Na rolę króla Edwarda przewidziany był Peter Sellers, Laurence Olivier miał grać księcia Alberta, męża królowej Wiktorii. Sylwetkę premiera Disraeliego zgodził się pokazać Alec Guinness. Jose Ferrer miał powtórzyć swą sławną rolę malarza Toulouse-Lautreca, a Anna Neagle — rolę starej królowej.

W swym wywiadzie prasowym Wilcox przypomniał, że film o Wiktorii nakręcony był bez pozwolenia ówczesnego króla. Jerzy VI był nim do tego

stopnia zachwycony, że przy następnej produkcji Wilcoxa „60 sławnych lat“ pozwolił na dokonywanie zdjęć w pałacach Balmoral (w Szkocji), Windsor i Buckingham.

Tym razem jednak okoliczności ułożyły się inaczej. Autor biografii, Philip Magnus, pracował nad tą książką 5 lat, korzystając z archiwów rodzinnych domu panującego. Zobowiązał się do nieudzielania nikomu prawa przeróbki filmowej — bez pozwolenia królowej.

Powodem odmowy jest zapewne znana od paru pokoleń prawda, że Edward VII, jako następca tronu — nie był wzorem cnót wiktoriańskich.

* * *

Na marginesie filmu o życiu Churchilla „The Finest Hours“ — (Najświetniejsze godziny) wyszedł na światło dzienne nieoczekiwany aspekt prac przygotowawczych do tego filmu.

Oto reżyser, Jack Le Vien, miał duże trudności, gdy chodziło o dostęp do niemieckich filmów dokumentalnych z okresu panowania Hitlera i z lat wojny. Co więcej brytyjscy producenci musieli zapłacić zachodnio-niemieckiej firmie po 10 funtów szterlingów za metr taśmy, którą chcieli skopiować.

Jak doszło do takiej sytuacji? Przecież wszystkie filmy dokumentarne reżymu hitlerowskiego — a były tego tysiące kilometrów taśmy — zostały w momencie zaważenia się Trzeciej Rzeszy skonfiskowane przez wojska alianckie i wysłane do Waszyngtonu

i Londynu. Zarówno władze amerykańskie jak brytyjskie udostępniały te filmy producentom — za darmo, lub za zwrotem kosztów przesyłki.

Sytuacja zmieniła się, gdy przed kilku laty rząd Stanów Zjednoczonych oddał zdobyte filmy rządowi Niemieckiej Republiki Federalnej. Powstało wówczas w Niemczech towarzystwo pod nazwą „Transit Films“, które ma niemal wyłączność na eksploatację niemieckich filmów dokumentalnych.

„Transit“ w stosunkach z przemysłem kinowym innych krajów stawia sprawy na gruncie handlowym, wyznaczając wygórowane ceny. A niezależnie od tego — nie ułatwia cudzoziemcom dostępu do filmów opiewających erę Hitlera.

W tych warunkach jedynym łatwo dostępnym źródłem niemieckiej dokumentacji filmowej z lat 1933-1945 są taśmy pozostające w dyspozycji Brytyjskiego Muzeum Wojny w Londynie — które nie oddało ich Niemcom.

STAN LAUREL

Nie często się zdarza, by śmierć aktora, który od wielu lat już nie grał odbiła się takim echem w najszerszych kręgach kinomanów. W swoim skromnym domu w Santa Monica w Kalifornii zmarł 74-letni Stan Laurel. Był połową nierozłącznej pary komików — Laurel and Hardy. Jego partner, Oliver Hardy zmarł o 7 lat wcześniej. „Nigdy więcej nie wystąpię“ — powiedział wtedy Laurel.

Nazywał się naprawdę Arthur Stanley Jefferson, a urodził się w hrabstwie Lancaster w Anglii, w rodzinie

wędrownych aktorów. Mając 7 lat wystąpił pierwszy raz na scenie, w sztuce „Światła Londynu“, a jako 15-letni chłopak miał własny numer taneczno-wokalny angielskiego wodewilu w tournée po Europie. Do Stanów Zjednoczonych wyemigrował w r. 1910, załadowawszy się w Liverpoolu na statek przewożący bydło. Zobaczywszy go kiedyś na estradzie w Los Angeles, sławny już Chaplin namówił go, by zagrał w filmie.

Dopiero jednak spotkanie z Hardy'm przyniosło Laurelowi sławę. Podobno był to przypadek: Stan miał tylko zastąpić Olivera, który poparzył się w studio. Ktoś ich sfotografował razem — wielkiego grubasa z twarzą dziecka i zafrasowanego chudzielca o spóźnionej orientacji. I reżyser Leo McCarey od razu ocenił efekt komiczny tego kontrastu.

Laurel i Hardy występowali razem w ponad 200 filmach. Stan Laurel był autorem skryptów i reżyserem wielu z nich. Cały świat śmiał się z ich przygód. Filmy jak „Big Business“, „Mistrzowie tańca“, „W Legii Cudzoziemskiej“ i — bodaj najśmieszniejszy — „Fra Diavolo“ — są dziś klasykami komizmu. Ciągłe pojawiają się na ekranach i w telewizji. Wciąż mają swą publiczność. Ostatni ich film nazywał się „Atol K.“ i nakręcony był we Francji. Doskonały paryski miesięcznik krytyki filmowej „Cahiers du Cinema“ poświęca sławnej parze dużo miejsca i kilka ilustracji.

Obok nazwisk takich jak Max Linder, Chaplin, Harry Lloyd, Buster Keaton; jak bracia Marx i Jaques Tati — tandem komiczny Laurel i Hardy pozostanie w historii kina podwójnym uosobieniem śmiechu. Komizmu, przed którym nie ma obrony.

Maciej Cybulski

Czytaj książkę polską

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

P. C. A.
PUBLICATIONS LTD.

PROWADZI WŁASNĄ
KSIĘGARNIĘ SPK

- bogato zaopatrzoną w prasę, wydawnictwa emigracyjne i krajowe,
- posiadającą skład główny (na zasadzie wyłączności) wszystkich wydawnictw: INSTYTUTU IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO,
- POLSKIEGO TOW. HISTORYCZNEGO W WIELKIEJ BRYTANII,
- POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- zaopatrzoną we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych.

★

Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

BOGATY w treść i obszerny czwarty tom „Estetyki“ *) jest zarazem ostatnim. Jak wyjaśnia Komitet Redakcyjny, na czele którego znajduje się Władysław Tatarkiewicz, w 4 tomach, które ukazały się od roku 1960 do 1963 został „przedstawiony obraz studiów i poglądów w Polsce w zakresie estetyki i teorii sztuki“. „Stanowi to zamkniętą całość“. O rozpiętości wydawnictwa, którego zamknięcie należy przyjąć z zalem, świadczą następujące cyfry: w 4 rocznikach ogłoszono 13 rozpraw z zakresu estetyki ogólnej, 11 z zakresu ogólnej teorii sztuki, 11 z teorii sztuk plastycznych, 3 z teorii literatury, 3 z teorii muzyki, 3 z teorii teatru, 15 rozpraw z historii estetyki i teorii sztuki, nie licząc artykułów informujących o prądach estetycznych w kraju i zagranicą. Niemniej wymowne są informacje dotyczące współpracowników wydawnictwa, których większość rekrutowała się z Warszawy i Krakowa (7). Odnoszą się one również do ośrodków naukowych Łodzi, Torunia, Wrocławia i Lublina. Trzech uczonych zagranicznych oraz trzech polskich estetyków zamieszkałych na obczyźnie dopełnia całości obrazu.

Celem zorientowania się w charakterze wydawnictwa przyjrzyjmy się treści IV tomu. Jest ona poniekąd trójczłonowa, bo składają się na nią rozprawy, informacje i recenzje. Oczywiście trzonem rocznika są rozprawy oryginalne, lecz zarówno dział informacyjny, w którym znajdujemy m. in. sprawozdanie z Czwartego Kongresu Estetyki w Atenach w r. 1960, jak i dział recenzji dzieł estetycznych polskich i obcych świadczą o dużym wysiłku w kierunku obiektywnego poinformowania czytelnika o tej doniosłej gałęzi nauk filozoficznych.

Czwarty rocznik otwiera artykuł Harolda Osborne'a p.t. „Zagadnienie definicji w estetyce“. W rozprawie tej angielski estetyk przeciwstawia się poglądom współczesnych filozofów, którzy uważają, że szukanie ogólnych zasad w estetyce jest przedsięwzięciem jałowym i grozi pominięciem różnorodności twórczości artystycznej i zubożeniem estetycznych przeżyć. Ostrze jego krytyki zwraca się przede wszystkim przeciw tym, którzy jak np. Paul Ziff twierdzą za Wittgensteinem, że terminy ogólne jak „dzieło sztuki“ mogą być wyjaśniane jedynie poprzez wyliczenie „podobieństw rodzinnych“ pomiędzy ich różnymi zastosowaniami.

*) „Estetyka“ — Rocznik IV. Komitet Nauk o Sztuce P. A. N., Warszawa 1963, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 312.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

Z zagadnień estetyki

Genezę tego rodzaju poglądów widzi on u pisarzy angielskich XVIII w., a w szczególności u Dugalda Stewarta, który pierwszy wysuwał podobną koncepcję.

Opiernie jednak zasad w estetyce na przyzwyczajeniach językowych nie jest rzeczą właściwą, bo słowa są używane dowolnie, a obiegowe zwroty językowe mogłyby co najwyżej służyć wskazówką w jakim kierunku należałoby pójść. Przeciwdziałając się bezkrytycznemu przyjmowaniu przyzwyczajzeń lingwistycznych, autor wskazuje raczej na ustalone powszechnie społeczne zwyczaje, które wyróżniają naszą postawę wobec sztuki od postawy wobec innych pokrewnych działalności. W krytycyzmie naszym wobec prób definicji w estetyce nie powinniśmy się posuwać za daleko i twierdzić, że systematyczna estetyka jest tylko złudzeniem.

Estetyka jako nauka empiryczna wymaga zasad stosowności, które nadawałyby jej kierunek, określałyby ich pole i nasze zainteresowanie w obrębie tego pola. Gromadzenie bowiem jedynie przypadkowych empirycznych danych prowadziłoby do chaosu. Zasady jednak, na których należy oprzeć estetykę, są pragmatyczne, służące naszemu celowi i różnią się w sposób istotny od przedwczesnych apriorycznych definicji. Aby przewodnia zasada stosowności w estetyce mogła spełnić swą rolę, musi ona odpowiadać dwu warunkom. Pierwszym z nich jest, że ma się ona odnosić do całego zakresu rzeczy, którym chcemy przypisać cechy estetyczne, a drugim, że musi ona wskazywać na te własności, które przejawiają się w wyższym stopniu w przedmiotach, którym przypisujemy estetyczną wartość.

Po tym czołowym niejako artykule angielskiego estetyka wspomnieć należy choćby w krótkości o innych rozprawach, składających się na bogatą treść Rocznika. Najobszerniejszą rozprawą jest praca Stefana Morawskiego p.t. „Trojaka funkcja wychowawcza sztuki“. Twierdzi w niej autor, że zamiast mówić o wychowawczej funkcji sztuki należałoby raczej podkreślić jej trzy zasadnicze motywy wychowawcze, którym odpowiadają trzy mity ludzkości — o Orfeuszu, o Prometeuszu i o Filoktecie. Pierwszy z nich uwytkła kojącą i orzeźwiająca moc muzyki i poezji, przywracającą poczucie równowagi i harmonii z otoczeniem. Drugi, motyw Prometeusza, związany

jest ze wstrząsem, z budzeniem sumienia. Trzeci zaś uwydatnia prawdę, że sztuka jest rzeczą praktycznie niezbędną. Wzajemny stosunek tych motywów jest uzależniony od warunków społecznych i historycznych.

Zagadnieniom bardziej wyspecjalizowanym poświęcone są następujące rozprawy: B. Dziemidok „Radzieccy estetycy o komiźmie“, Z. Lissa „Film a opera“, Z. Geblewicz „Z zagadnień estetyki walki“, W. Marciszewski „Dzieła sztuki jako znaki“. Do tej kategorii należy również praca niedawno zmarłego w Kanadzie Józefa L. Zajęca p.n. „Przestrzeń w obrazach van Gogha“.

Na czoło rozpraw z dziejów estetyki wysuwa się praca autora „Historia Estetyki“ Władysława Tatarkiewicza p.n. „Sztuka klasyczna a dwie filozofie“. Uwytkła w niej znany uczony wyjątkowo silną zależność sztuki od filozofii w epoce klasycznej Grecji (V w.), która utrzymała się do końca starożytności. Jest to zależność z jednej strony od kosmocentrycznej filozofii pitagorejczyków, za którą poszedł w rozumieniu piękna i sztuki również i Platon, a z drugiej zależności sztuki od antropocentrycznej doktryny sofistów, sformułowanej głównie przez Protagorasa i Gorgiasza.

Wpływy obu tych filozofii stwierdza Tatarkiewicz poprzez dokładną analizę sztuki klasycznej. Ideologia pitagorejska, głosząca, że zasadą wszechświata jest harmonia, wyraziła się w stosowaniu t.zw. „kanonów“ t.zn. form, a w szczególności proporcji obowiązujących artystę. Kanony te zarówno obowiązywały w architekturze, w rzemiośle artystycznym, jak i w rzeźbie, a należy również przypuszczać, że i w malarstwie, które się nie zachowało — z wyjątkiem malowideł na wazach. Kanon ten „fizjometryczny“ t. zn. zaczerpnięty z natury formułowany był matematycznie. Choć podlegał on modyfikacjom, podstawą jego były obserwacja i pomiary istot żywych w myśl założeń pitagorejczyków, że twórczość ludzka musi się trzymać doskonałych proporcji istniejących we wszechświecie.

Wpływem zaś filozofii sofistów zawdzięcza sztuka klasyczna uwzględnienie natury człowieka, praw wzroku i perspektywy. Świadczą o tym źródła literackie, jeśli chodzi o malarstwo. W dziedzinie rzeźby rzuca światło na te tendencje szczegół z życia Fidiasza. Oto otrzymano zamówienie na posąg

Ateny, który miał stanąć wysoko na kolumnie, dał jej głowie wymiary większe niż przewidziane przez kanon. Spotkało się to z wrogą reakcją ludu ateńskiego, który dopiero zrozumiał rzeźbiarza, gdy posąg został ustawiony na kolumnie. Podobne tendencje ujawniają się i w klasycznej architekturze jak świadczy o tym np. fakt poszerzenia kolumn zewnętrznych portyków, bo stojąc w silniejszym świetle wydają się cieńsze od kolumn środkowych, na które pada cień.

„W ten sposób w klasycznej sztuce Greków odbiły się dwie teorie piękna i sztuki, konkluduje Tatarkiewicz, będące wyrazem dwu filozofii: kosmośrodkowej filozofii pitagorejskiej i antropocentrycznej filozofii sofistów“.

Dwie sprzeczne filozofie umiał pogodzić takt artystyczny Greków, którzy łączyli podległość powszechnym regułom z indywidualną swobodą.

Z innych prac z dziejów estetyki znajdujemy w Roczniku: Alicji Kuczyńskiej „Teorię piękna Marsilia Ficina“, Marii Rzepińskiej „Doktrynę i wizję artystyczną w rozprawie L. B. Albertiego „O Malarstwie“, Jana Białoostockiego „Potęgę piękna — o utopijnej idei L. B. Albertiego“ i Elidy Marii Szaroty „Poglądy estetyczne Jamesa Harrisa“. Ostatni rocznik „Estetyki“ świadczy wymownie o wysokim poziomie badań estetycznych w kraju i o rozległości zainteresowań pięknem i sztuką.

Wiesław Strzalkowski

KAZIMIERZ SCHLEYEN

WYWIAD I JEGO PSYCHOLOGIA

HISTORIE fałszuje się od wieków. Tendencyjnie przekazuje się albo przemilcza fakty lub się je przeinacza. Wydawałoby się, że w nowoczesnej epoce, w dobie filmów i telewizji, radia i aparatów podsłuchowych, prawdę ukryć trudniej. A jednak tak nie jest. Za kulisami wydarzeń działy się i działają rzeczy, które się nikomu nie śniły i z jedynymi świadkami schodzą do grobu. Nieraz drobne szczegóły decydują o wypadkach o dziejowym znaczeniu. Ileż wyczynów Armii Krajowej pozostało nieznanymi, czynów, które wspięły się na szczyty bohaterstwa, inwencji i intuicji tam gdzie rozumowanie oparte na doświadczeniu sprostać nie może.

Na dowód znaczenia intuicji zacytuję charakterystyczny wypadek z własnego doświadczenia. Przed wkroczeniem Niemców do Rumunii byłem w kontakcie z agentem wywiadu angielskiego. Był to Rumun, który ukończył uniwersytet niemiecki i świetnie władał tym językiem. Miał powierzone zadanie zbierania informacji o działalności niemieckiej na terenie Rumunii. Uczęszczał stale do ogródka „piwnego“ t. zw. berarii, gdzie zwykle, zbierali się Niemcy. Oddaję mu głos:

— Wczoraj, jak zwykle, udałem się do swojej berarii i zastałem przy stolikach tłumy. Okazało się, że był to zjazd delegatów hitlerowskich z całej Rumunii. W pewnej chwili otwierają się drzwi parterowego budynku w głębi ogrodu i w drzwiach staje atletycznej postawy hitlerowiec, bez żenady ubrany w brązową koszulę z poprzecznym skórzanym paskiem. Tubalnym głosem zaprasza: „Bitte, meine Her-

ren“. Wszyscy wchodzą do sali, jest ich może setka, ja wchodzę z nimi. Za ostatnim wchodzącym hitlerowiec zamyka drzwi na klucz i chowa go do kieszeni. W sali ustawione rzędy krzesel a na stole stopy druków propagandowych i tajnych instrukcyj. A więc to o czym marzyłem. Zajmuję miejsce przedostatnie w szóstym rzędzie. Od pierwszego rzędu począwszy kolejno każdy podchodzi do stołu przewodniczącego, z pozdrowieniem hitlerowskim prezentuje swoją legitymację, otrzymuje stos druków i wraca na swoje miejsce. Wymknąć się nie można i mowy nie ma, żeby nie pójść. Zauważą, że nie mam druków, wszystko się wyda i bez pardonu utłuką. Kiedy przychodzi do mnie kolej wstaję i zmierzam do stołu przewodniczącego. Jestem spokojny, ale w głowie pusto. Zupełna pustka i pojęcia nie mam co powiedzieć.

W tym momencie warto przerwać opowiadanie, by czytającemu dać możliwość zastanowienia się na zimno, jak należałoby się zachować w takiej sytuacji. Zważyć trzeba, że indagacja: jak się nazywa, gdzie mieszka, kto go zna, prowadzić może do dekonspiracji i najprzykrzejszych skutków. Wracam do opowiadania.

— Podchodzę do stołu „hitleruje“ i z usmiechem wyciągam rękę po druki, przewodniczący zdziwiony, że się nie legitymuję pyta: „A co z wami?“ „Ja jestem oszust“. Hitlerowiec ryczy ze śmiechu i daje mi broszury z uwagą: „Na drugi raz nie zapomnijcie legitymacji“. Ot i udało się.

Żaden fachowiec takiej niespodziewanej odpowiedzi nie wymyśli. To może

poddyktować tylko wyczucie, że właśnie temu człowiekowi, właśnie w tej chwili, takie wyznanie prawdy wyda się zbyt fantastyczne i wywoła wybuch śmiechu.

Służba wywiadu ofensywnego, działalność szpiegowska na obcym terenie wymaga najwyższych walorów. Nie bez racji angielska nomenklatura brzmi „Intelligence Service“. To co wywiad dokonał, zwłaszcza w czasie wojen, często nie wychodzi na jaw i powiązanie przyczyn i skutków za kulisami bardzo ważnych wydarzeń umknie na zawsze kronikarzom i badaczom. W Polsce służba wywiadowcza nie ciężła się ani należnym uznaniem ani odpowiednim szacunkiem. Trudno się temu dziwić, bo trwało jeszcze wiekowy uraz do szpiegów, którzy wyłącznie reprezentowali rządy zaborców. Gdziekolwiek udział w służbie wywiadu dla własnego kraju był poczytywany za honor, jak np. w Imperium Brytyjskim.

Tematy wywiadowcze zawsze fascynować będą najszersze rzesze, bo nieraz prześcigają najśmielsze fantazje powieściopisarza. Rąbek tajemnicy uchylają pamiętniki czynnych świadków historii, jak ostatnio inteligentnie napisana książka Allana Dullesa, b. szefa amerykańskiego wywiadu. W r. ub. ukazała się książka Vernona Hinchley'a, pika wywiadu angielskiego pt. „Odślonięcie tajemnic szpiegowskich“. Nas interesuje ta ciekawa książka dlatego, że jest wybitnie antykomunistyczna i przybliża się do zdemaskowania zbrodniczej działalności stalinowskiej jak i dlatego, że wykazuje wielką sympatię dla Polaków i sprawy polskiej, rzadko w tak demonstracyjny sposób okazywaną przez Anglików a przede wszystkim dlatego, że poświęca cztery osobne rozdziały sprawom polskim.

ZBRODNIA KATYŃSKA

W poprzednim rozdziale pik. Hinchley opisuje działalność „wędrownych katów“ zorganizowanych w sekcję OS2 sowieckiego wywiadu. Jest rzeczą zdumiewającą z jaką precyzją działała ta machina przez wiele lat w różnych krajach Europy i Ameryki i to zupełnie bezkarnie bo sprawców nigdy nie odnaleziono. Cytuje dość znane wypadki których liczba sięgała nie setek, lecz tysięcy. Ofiarami padali wszyscy, którzy narazili się Stalinowi i jego reżymowi. Trocki, jego syn, trockiści, generałowie carscy walczący z komunizmem, a przede wszystkim agenci sowieccy, którzy wyłamywali się spod dyscypliny, zdradzali lub stali się niewygodnymi. Nawet ci, którzy znaleźli azyl w wolnych krajach Europy i Ameryki, mimo opieki i najdalej posuniętych ostrożności, w wielu wypadkach nie uszli mściwej ręki Stalina, która się-

gała wszędzie i szybko. Technika oprawców unikała zabójstw i najczęściej ofiary znikaly bez śladu lub popełniały „samobójstwo“.

Samą zbrodnią katyńską autor nie zajmuje się obszernie, opisuje ją jednak dokładnie, przyjmując ją jako fakt ogólnie znany i udowodniony, tak jak my znamy. Zajmuje się głównie naczynymi świadkami zbrodni, jak Iwanem Krzywożercowem, Kisielewem i innymi, którzy złożyli Niemcom zeznania. Iwan uszedł przed postępującą Armią Czerwoną do Berlina, później do Bremy. Z nadejściem Amerykanów zgłosił się, by złożyć szczegółowy raport o Katyniu. Nie zorientowali się o co idzie i chcieli go przekazać Rosjanom. Uszedł i wraz z sąsiadem Chomiakiem znalazł się w Anglii, gdzie dopiero mógł zeznać, co wie. Gdy przebywał w Slough w barze niespodziewanie wpłątano go w bójkę i poraniono w głowę. Uznał to jako ostrzeżenie i przeniósł się w inne strony. Żył w panicznym strachu pod przybrzany nazwiskiem Michała Łobody. W grudniu 1947 znaleziono go powieszzonego w stodole pod Bristolem. Sędzia śledczy uznał to oficjalnie jako samobójstwo. Nie ulega wątpliwości, że dosięgła go niezawodna, mściwa ręka OS2.

ŚMIERĆ GENERAŁA SIKORSKIEGO

Ten rozdział brzmi bardziej rewelacyjnie i opiera się rzekomo na ujawnionych po wojnie notatkach gen. Erwina von Lahousen, zastępcy szefa wywiadu niemieckiego admirała Canarisa. Opowiadanie obfitujące w nazwiska i szczegóły czyni je bardziej prawdopodobnym.

Wywiad niemiecki w Hiszpanii posiadał dobrze zorganizowaną sieć agentów kierowaną przez dra Hansa Hoebberleina z Madrytu. Przedmiotem ich specjalnego zainteresowania był Gibraltar. W czasie jego chwilowej nieobecności przybył specjalny wysłannik, niejaki Weber, ze zleceniem z Berlina na wiadomość o zamierzonym lądowaniu samolotu wiozącego gen. Sikorskiego z Środkowego Wschodu. Zlecenie wykonania zamachu wymagało precyzji i dokładnego obliczenia w czasie. Sugestia berlińska podawała wsypanie cukru do benzyny. Dostęp był utrudniony, bo mała przestrzeń lotniska była w wyłącznym posiadaniu wojsk brytyjskich i amerykańskich. Weber porozumiał się z miejscowym agentem, jakimś Brochem, i jako fachowcy uzgodnili plan odmienny od berlińskiego, polegający na zagwożdżeniu elewatora przy sterze kłobnymi kawałkami metalu. Do wykonania tego planu pozyskano odpowiedniego mechanika, Hiszpana Gradosa, mieszkającego w pobliskiej Al Linea a pracującego w Gibraltarze. Jego

siostra była kochanką żołnierza amerykańskiego, który spędzał u niej wolne noce. Grados udał się w jego mundurze na lotnisko nie wzbudzając podejrzeń. W odpowiedniej chwili zrzucił mundur amerykański pod którym miał strój mechanika RAF i wraz z innymi dostał się do samolotu i wykonał w pół minuty plan, który z precyzją niemiecką wypróbowano kilkakrotnie, po czym nie zatrzymywany przez nikogo, wrócił bezpiecznie do Al Linea. Weber, obserwując wypadek samolotu przez lornetkę z odcinka hiszpańskiego zraportował wykonanie planu do Berlina. Katastrofa nastąpiła zbyt szybko i nie mogło jej spowodować dłuższe działające zanieczyszczenie benzyny. Nie wiadano jednak, że Weber zmienił uprzedni plan.

Podana rewelacja nie koliduje z wynikami oficjalnych dochodzeń, które zajmowały się jedynie stroną techniczną wypadku.

ZAMORDOWANIE HR. ŁUBIEŃSKIEJ

Rozdział ten nie wzbudza zaufania. Autor cytuje wprawdzie dokładnie szczegóły zamordowania na platformie kolejki podziemnej przy stacji Gloucester Road w Londynie, doskonale charakteryzuje sylwetkę hr. Łubieńskiej z podaniem jej numeru z Oświęcimią wytatuowanego na ręce, jej działalność niepodległościową w obozach i Anglii, lecz opowiadanie ujęte jest nowelistycznie bez podania argumentów, które przemawiałyby do przekonania.

Zamordowanie miało być dziełem mściwej ręki OS2 za to, że hr. Łubieńska za wiele wiedziała o porwaniu działaczy niepodległościowych Armii Krajowej. Wykonawcą miał być niejaki Wołkow, który wylądował w szpitalu dla umysłowo chorych. Opowiadanie to jest mało przekonujące. Ani ofiara nie była tak ważną dla OS2, ani nie wiedziała więcej od innych. Poszlaki nie powinny były umknąć starannie prowadzonym dochodzeniom policji londyńskiej ani reporterów prasowych. Prawdopodobieństwo wypadków jeszcze bardziej podważa cytowany na końcu wyrzut skierowany do Wołkowa, że zabił inną osobę niż zlecono. Znajac personalie londyńskiego wychodźstwa trudno doszukać się innej Polki w starszym wieku, którą komuniści zamierzaliby zgładzić.

Podana teza jest dalszym rozbudowaniem groźby, jaką przedstawiała stalnowska machina zemsty.

ZNIKNIĘCIE KS. BORYŃSKIEGO

Zastrzeżenia co do podanej interpretacji polegają głównie na tym, że ujawniają szczegóły i postaci dotychczas

nieznane, które nie wyszły na jaw w skrupulatnych dochodzeniach policji i polskich parafian. Zniknięcie proboszcza pozostało owiane gęstym mrokiem tajemnicy. Podana przez autora teza jest pierwszą, która posiada jednak logiczne uzasadnienie i nosi cechy prawdopodobieństwa, choć autor zastrzega — z niewiadomych przyczyn, — że podane nazwiska są fikcyjne.

W Bradford mieszkał lotnik polski, nazwiskiem Stanisław Orawa. Dzielnym żołnierz odczuł boleśnie potworną zbrodnię, jakiej dopuszczono się wobec Polaki, która pierwsza stawiała opór Hitlerowi. Takie ujęcie sprawy przez Anglika świadczy o sympatii do Polaków. W Orawie wzbudził się kompleks żalu do świata za niezasłużone krzywdy i choć nie był z gruntu złym człowiekiem, pod wpływem dziewczyny wszedł na drogę bezprawia, by mścić się na społeczeństwie. Połączył się z szajką włamywaczy na czele której stanął brutalny typ przezwany Dolly. W latach 1952 i 1953 brał udział w rabunkach domów i fabryk. Kiedy szajka operowała w Leeds, Dolly zabił kobietę, która wszczęła alarm. Orawa, nie mając skrupułów przy popełnianiu kradzieży, teraz doznał wtrząsu i wyrzutów sumienia. Przy spowiedzi wyznał ks. Boryńskiemu, który pogłębił jego wyrzuty, namawiając do odkupienia grzechów przez wyznanie swych czynów władzom. Z tej spowiedzi Orawa niebacznie zwierzył się szefowi szajki. Wkrótce ks. Boryński otrzymał telefon, którym Stanisław prosił go o spotkanie w umówionym miejscu. Po tej rozmowie telefonicznej ks. Boryński wyszedł z domu i więcej go już nie widziano. Zdaniem autora na miejscu czekał Dolly, który zabił go uderzeniem żelaznego drąga. Trup księdza i Orawy spławił w głębokich wodach kamieniołomu pod Dewsbury.

Ta fantastyczna hipoteza jest pierwszą, która posiada jakiś związek logiczny. Nie nosi ona cech tendencyjności i wbrew ogólnym przypuszczeniom nie posiada podłoża komunistycznego, które przewija się przez inne opowiadania.

* * *

Książka obejmuje wiele innych ciekawych rozdziałów, jak znaną rehabilitację straconej Mati Hari, która nigdy nie była szpiegiem i wiele innych niespodzianek z obydwo wojen. Najbardziej przekonującą jest krytyka nieprawdopodobnej nieudolności władz angielskich w aferze dra Fuchsa i fałszywego informowania opinii publicznej w sprawie ucieczki do Moskwy dyplomatów Burgessa i Macleana, której szczytem był rozgłaszany przez radio i telewizję nakaz ich aresztowania z chwilą przyjazdu do Anglii po latach, kiedy im się nie śniło wracać.

Wartość książki Hinchley'a umniejsza to, że autor — zamiast relacjonowania faktów, wyłuskiwania bezspornej prawdy co jest naczelnym zadaniem wywiadu — bawi się w „literaturę“ i nowelistycznie cytuje wymaginowane dialogi, które mogły mieć miejsce. Niemniej wielką zasługą autora jest udowodnienie, jak groźny jest aparat agentów komunistycznych grasujących bezkarnie w wolnym świecie, którego opinia nie zdaje sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa. Nas interesują zwłaszcza cztery rozdziały polskie. Nie można się było spodziewać dostatecznych dowodów, bo znalazłyby oddźwięk w akcji oficjalnej. Rzucają jednak nowe światło w mroki bolesnych tajemnic i o tym polski Czytelnik powinien być poinformowany.

Kazimierz Schleyen

EWOLUCJA

ZMIANY mogą się dokonywać albo gwałtownie w wyniku kataklizmów w świecie (np. trzęsienie ziemi) i rewolucji w stosunkach ustrojowych i społecznych, albo też w drodze ewolucji, gdy zmiany odbywają się stopniowo i powoli bez wstrząsów. Jest wielka i zasadnicza różnica między tymi procesami. Rewolucje i kataklizmy są zjawiskiem rzadkim i sporadycznym — ewolucja postępuje stale, często w tempie tak wolnym, że istotne zmiany można dostrzec dopiero po upływie długiego czasu. Niemniej jednak proces trwa i „zab czas“ robi swoje.

Czytając broszurę Juliusza Mieroszewskiego, będącą przedrukem jego artykułów w paryskiej „Kulturze“ pt. „Ewolucjonizm“*), trudno oprzeć się wrażeniu, że wbrew tytułowi książki, nie chodzi mu o rozważanie istoty ewolucji, której pozornie przypisuje wielkie znaczenie, lecz raczej o obronę status quo, wyrażającego się w zacofaniu i zastoju. Jest to tym dziwniejsze, że nawołuje ogół uchodźstwa do „otrzeźwienia“ i poparcia jego tezy, a nawet do akcji zmierzającej do zatrzymania wskazówek zegara dziejów.

WEDŁUG klasyfikacji i terminologii Marksa, w zamierzonych czasach istniał pierwotny komunizm, który ustąpił miejsca feudalizmowi. Po feudalizmie nastąpił kapitalizm, który, według proroctwa Marksa, miał być w przyszłości zastąpiony przez „naukowy“

komunizm. Dotyczyło to kapitalistycznych krajów na Zachodzie o wysokim poziomie uprzemysłowienia. Co do Rosji i w ogóle Wschodu, gdzie kapitalizm nie istniał, Marks zajął stanowisko, że nie mogą one przeskoczyć przez fazę uprzemysłowienia i kapitalizmu i dlatego muszą długo czekać zanim powstanie tam kapitalizm i stanie się przeżytkiem jak to się stało na Zachodzie, aby móc wprowadzić ustrój komunistyczny. Do „obszeczyny“ i „artelu“, będących formą prymitywnego komunizmu, nie przywiązywał, wbrew sugestiom i nadziei rosyjskich rewolucjonistów, wielkiej wagi.

Wbrew proroctwom Marksa grupa rosyjskich intelektualistów wprowadziła w drodze rewolucji i przemocą kulawy i „nienaukowy“ komunizm, dla którego właściwą nazwą jest bolszewizm i który został narzucony m.in. także Polsce. Kraje Zachodu wytworzyły zaś, w drodze ewolucji, nowy system, który nie jest ani kapitalizmem, ani komunizmem. Mieroszewski pisze, że bolszewizm, eufemistycznie zwany przez niego socjalizmem, ma pozostać na zawsze nie tylko w Rosji lecz i w Polsce, jak gdyby cokolwiek na tym świecie było wieczne. Wobec tak fatalnej i bez wyjścia sytuacji można jedynie w drodze ewolucji uczynić ten nieśmiertelny „socjalizm“ bardziej ludzkim, demokratycznym i postępowym. Czyli oswoić zwierzę, które jednak pozostanie tym samym zwierzęciem. To także jest zadaniem emigracji, która nie wiadomo w jaki sposób, ma działać w tym kierunku.

Mieroszewski głosi tezę, że w Polsce nie będzie powrotu do kapitalizmu. Trudno pojąć jak on sobie wyobraża powrót do kapitalizmu, którego nigdy w Polsce nie było na miarę godną uwagi. Przecież aby do czegoś móc wrócić coś musiało kiedyś istnieć. Nie ma więc do czego powracać.

Rzecz jasna, że obecnie jest już za późno „budować“ kapitalizm w Polsce, który w przeszłości tak bardzo przyczynił się do wzbogacenia krajów zachodnio-europejskich i Ameryki. Nie ma jednak powodu do nieprzyjęcia gotowych i już wypróbowanych form organizacyjnych gospodarki z wysoko uprzemysłowionych i bogatych krajów na Zachodzie, zwłaszcza że sami, jak dotychczas, nie nowego nie wymyśliliśmy. W gruncie rzeczy obojętne jest czy byłby przyjęty system zwany przez Erharda „ekonomią społeczną“, czy też system „kolektywizmu demokratycznego“, stosowany w większości krajów zachodnio-europejskich. Oba systemy są o niebo lepsze od „socjalizmu“ Mieroszewskiego. Ze względów praktycznych wydaje się, że lepszy jest system „ekonomii społecznej“, gdyż daje najlepsze

wyniki, co widać na przykładzie Niemiec zachodnich, gdzie produkcja wzrosła w ubiegłym roku na nieznana dotąd skalę, tj. aż o 9.2 procent, podczas gdy w W. Brytanii tylko o 2 procent, co po uwzględnieniu przyrostu naturalnego ludności nie jest postępem. We Francji produkcja wzrasta szybciej niż w W. Brytanii, ale daleko jej do osiągnięć niemieckich.

Fałszywe statystyki komunistyczne są astronomiczne jeżeli chodzi o wzrost produkcji. Ale aby traktować je serio trzeba mieć znacznie więcej niezłomnej wiary niż zmysłu analitycznego. Ustawiczny stan niedostatku w krajach komunistycznych świadczy, że produkcja wzrasta bardzo powoli, a przy uwzględnieniu olbrzymiego przyrostu naturalnego ludności raczej się kurczy. Przecież przydział obywatelom sowieckim po jednym kilogramie mąki na Nowy Rok uważano w Sowietach za hojność i niezwykle szczodry dar rządu! Chodzi o dobra konsumpcyjne... Na pewno, ale one tylko wyznaczają wartość ustroju gdy go oceniać od strony gospodarczej.

ZDAJE się, że wbrew mniemaniu Mieroszewskiego w krajach wysoko uprzemysłowionych nie mają obecnie wpływu na gospodarkę żadne „izmy“, ani żadni doktrynerzy. Gospodarką kierują trzeźwi i wyrachowani ekonomiści i „manadżerzy“ zgodnie z oceną doświadczeń praktyki i teorii ekonomicznych. Po objęciu władzy w Anglii, Wilson pomimo obietnic wyborczych, że będzie postępował zgodnie z doktryną jednego z „izmów“, niczego w gruncie, jak dotychczas, nie zmienił.

W krajach komunistycznych ludzie bardziej wykształceni, a przede wszystkim ekonomiści, już zdają sobie sprawę z tego, że nie można dłużej opierać się na doktrynerstwie metafizycznym, jeżeli się chce uniknąć katastrofy gospodarczej. Do nich między innymi należy profesor Lieberman. Lieberman zaleca wprowadzenie „motywu zysku“ dla przedsiębiorstw państwowych i uważa, że należy uniezależnić ich dyrektorów, aby mogli konkurować ze sobą na wolnym rynku. Jest to bardzo kapitalistyczny pogląd i, na stosunki sowieckie, świadczy o postępach ewolucji. Powstaje tylko pytanie czy zysk sowieckich przedsiębiorstw, który byłby wpłacany do kasy państwowej, będzie dostatecznym bodźcem do wzmocnienia produkcji przez dyrektorów.

Niemniej można stwierdzić, że kierownictwo sowieckie bierze ostatnio pod uwagę (na stosunki sowieckie) nowe prądy nurtujące wśród ekonomistów i ludzi myślących. Świadczy o tym chociażby powiększenie działek przyzagrodowych kolchoźników. Posunięcia te jednak nie

*) Juliusz Mieroszewski. „Ewolucjonizm“. Paryż. 1964.

przyczyniają się do „budowy“ komunizmu, lecz wręcz przeciwnie wprowadzają do niego rozkładowy pierwiastek kapitalistyczny.

Jeżeli Krupp wybuduje fabryki w Polsce, na co się zanoszą, na pewno nie będzie ich eksploatował zgodnie z metafizyczną doktryną „socjalistyczną“, aby szybko zbankrutować i stracić pieniądze. Wpuszczenie jednak tego rekina „kapitalistycznego“ między rybki „socjalistyczne“ na pewno wywoła poważne wśród nich spustoszenie. Sam fakt, że góra komunistyczna rozważa możliwość zawarcia w tej materii układu z Kruppem jest dowodem, że sytuacja jest bardzo poważna i trudna, przy czym nie rokuje wielkich nadziei na jasną przyszłość „socjalizmu“. Jest to jednak prawdziwa ewolucja.

MIEROSZEWSKI jest wielkim zwolennikiem demokracji, ale tylko dla partii „socjalistycznych“, które winny mieć absolutną wolność i moc na zasadach demokratycznych walczyć o władzę i w razie zwycięstwa sprawować ją nieskrępowanie, spychając inne „socjalistyczne“ partie do roli opozycji. „Niesocjalistyczne“ partie nie mogą mieć głosu.

Swoista to demokracja. Wyraża się ona tym, że „socjalizm“ ma być zachowany nawet jeżeli ogromna większość społeczeństwa jego nie pragnie i żywi do niego wstręt i nienawiść. Może to wydać się reductio ad absurdum, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że według p. Mieroszewskiego „socjalizm“ musi być zachowany nawet w wypadku gdy go absolutnie nikt nie będzie chciał. Trudno sobie wyobrazić bardziej reakcyjny pogląd.

Mieroszewski nie wymienia partii

„socjalistycznych“ godnych tej nazwy. Dowiadujemy się tylko że Polska Partia Socjalistyczna nie jest socjalistyczną w tym wydaniu i dlatego skazana jest na zagładę.

Można stąd wysnuć wniosek, że według Mieroszewskiego partiami „socjalistycznymi“ są takie partie jak leninowska, trockistowska, titowska, maowska, oraz — niedawno — chruszczowska i wiele innych sekt marksistowskich. Mieroszewski jest przeciwnikiem zasady „cuius regio, eius religio“, którą stosuje się dotychczas w świecie komunistycznym. Lecz nie zgadza się na oddanie władzy w ręce „pogan“, to znaczy

nie — „socjalistów“, chociażby stanowili oni przygniatającą większość. Polska ma na wieczne czasy pozostać w świecie bolszewickim bez względu na to jakie wydanie partii „socjalistycznej“ będzie sprawowało rządy w Związku Sowieckim, czyli być kolonią rosyjską z „rządem“ podobnym do „Government of India“ za czasów Disraeli'ego...

Mieroszewski nie twierdzi, że tak jest najlepiej, ale mówi wyraźnie, że inaczej być nie może. Skoro być nie może, to także być nie powinno. Nie wydaje się by znalazł wielu entuzjastów swej koncepcji.

Aleksander Stambrowski

NAGROBEK I PRZEŻYCIA LUDZI SPOTKANYCH

Jedenaście opowiadań Zbigniewa Grabowskiego wydanych niedawno przez Oficynę Poetów i Malarzy w zbiorze pod tytułem „Nagrobek“, ma posmak trochę staromodny. Ogromna większość opowiadań datuje się z końca lat pięćdziesiątych, więc są one napisane względnie niedawno; mimo to technicznie należą one do stylu epoki Maughama. Podkreślam: technicznie, bo tematyka jest całkowicie współczesna. Aż dziewięć nowel pisanych jest w pierwszej osobie, przy czym narratorem jest sam autor, opisujący przeżycia osób trzecich, z którymi się bezpośrednio lub pośrednio spotyka. Czasem bohaterkami nowel są jego stare znajome, spotykające się z nim po dłuższym niewidzeniu i wtajemniczające go w wypadki, które je tymczasem spotkały; czasami są to przygodnie spotkane w hotelu czy restauracji osoby, które z tych czy innych powodów zapoznają go z wydarzeniami swego życia. Wszystko odby-

wa się na tle szczegółowego opisu miejsca, w którym się spotkanie autora z bohaterem (czy też ludźmi, dostarczającymi mu o bohaterze wiadomości) odbywa, oraz podbudowane jest solidnie psychologicznym i fizycznym portretem osoby, której dotyczy akcja opowiadania. Ta, znana nam doskonale z nowel Maughama, technika zmniejszająca psychiczną odległość między autorem, a opisywanym przez niego wydarzeniem (I ja tam byłem, miód i mleko piłem...) przy zbyt częstym stosowaniu staje się nieco irytująca dla czytelnika. Mam wrażenie, że nieosobiste ujęcie wielu opowiadań podniosłoby w oczach czytającego prawdziwość fizyczną i psychologiczną opisywanych zdarzeń i przeżyć. Maugham bazował swoje nowele na bardzo egzotycznym geograficznie gruncie, zupełnie obcym przeciętnemu czytelnikowi, który skłonny był do akceptowania akcji jego nowel, jako egzotycznych wydarzeń, opowiadanych przez podróżnika. Akcja opowiadań Grabowskiego rozgrywa się w Europie, która dla europejskiego konsumenta literatury nie jest czymś odległym i znanym tylko ze słyszenia. Dlatego większy dystans osobisty między autorem a wydarzeniami ułatwiłby raczej czytelnikowi przyjęcie do wiadomości opisywanych wypadków.

Jak już nadmieniałem, zarzut staromodności (o ile będziemy to uważać za zarzut, nie znając intencji autora) nie dotyczy w najmniejszym stopniu tematyki opowiadań, która nawiązuje do problemów zawsze aktualnych. Grabowski nie ogranicza się do prostej narracji wydarzeń, ale stara się pokazać czytelnikowi ich powody psychologiczne i zamknąć każdą nowelę komentarzem. Możemy się z jego ujęciem nie zgadzać, możemy je uważać za niewłaściwe, ale musimy mu być wdzięczni za uniknięcie rozpanoszonej obecności w literaturze łatwizny „nie zajmowania stanowiska“



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S. W. 7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNENT.

POPIERAJ FIRMY POLSKIE

Grabowski nie chce poprzestać tylko na zajęciu nam swą książką kilku godzin czasu, wolnych od brydza czy telewizji, ale chciałby nas pobudzić do zastanowienia się nad sobą, nad życiem i nad dziwnym nieraz tokiem wydarzeń. Podkreślam rozmyślnie ten „tok wydarzeń“, bo w opowiadaniach Grabowskiego istotnie coś się dzieje, jest pewna akcja, jest początek i koniec zdarzenia i noweli. Być może, że to jest również objaw staromodności autora, ale wielu z nas pogodzi się chętnie z takim niedomaganiem.

Czytając książkę Grabowskiego, czytelnik ma często wrażenie, że tę samą treść autor potrafiłby wyrazić lepiej, pełniej i trafniej, że wiele ustępów jest raczej pierwszą próbą ujęcia niż wykończoną pracą. Tak np. słabość au-

tora do ciągłego wtrącania obcych słów czy zwrotów doprowadza w zgrabnie pomyślanym „Pocałunku na Dobranoc“ do posługiwania się angielskimi wyrazami i wyrażeniami w rozmowach, które — jak to wynika z treści — prowadzone są po angielsku. Przypomina to niektóre produkcje B. B. C., w których cudzoziemcy rozmawiający między sobą (naturalnie, rzekomo w swoim własnym języku) mówią po angielsku z silnym akcentem cudzoziemskim! Tego rodzaju poślizgnięć można było na pewno uniknąć.

Grabowski jest pisarzem inteligentnym i zdolnym i „Nagrobek“ z pewnością zasługuje na przeczytanie. Szkoda tylko, że nie jest tak dobry, jak się nam tego było wolno spodziewać.

Wojciech Stefański

ŚWIADEK PRAWDY TAK POWAŻNY

— „Pamiętnik Sybiraka“ Edwarda Czapskiego

Ubogą jest polska literatura pamiętnikarska. Przyczyn — wiele. Może warto wskazać na jedną, która więcej niż inne tłumaczy. Jest nią bardzo długo trwający brak rynku wydawniczego. Rynku co by dawał nadzieje, że co ktoś w ciągu życia zaobserwował trafi przed oczy czytelnika. Nie stworzył takiego rynku wiek dziewiętnasty. A był to przecież okres bujnego rozkwitu pamiętnikarstwa na zachodzie Europy, a także w Ameryce. Z dorywczych prób spisywania własnych przeżyć pamiętnikarstwo przekształciło się wtedy właśnie w naukę pomocniczą historii. Edward Czapski, którego pamiętnikom te uwagi poświęcam, ujął sprawę kapitalnie w pierwszych zdaniach swojej książki: „Na wolności kiedyś pisałem pamiętniki, sięgały one wstecz z przerwami rozmaitymi, roku 1841. Podróżując sporo po Niemczech i Włoszech, książkę sporą napisałem, ale ta praca w Bukowcu u siostry mojej Michaliny złożona, zaginęła. W r. 1860 na nowo rozpocząłem, długi czas przerwane, spisywać wspomnienia, ale moje książki przepadły w roku 1863 razem ze szczęściem domowym i z tym co najdroższe po kraju dla męża i ojca... Przed trzema laty czytając w więzieniu w Kownie Macaulaya, zadziwiony byłem mnóstwem pamiętników, które przywozili znakomity historyk Whigów. Pisząc to myślę o najdroższej mojej Antosi (chodzi o żonę autora), o dzieciach naszych, ale także o późniejszym naszym jakimś Macaulayu, który może niejeden znajdzie szczegół nowy w moich wspomnieniach dla siebie“.

Mamy tu wszystko i wszystko jest typowe. W tym lub innym nieszczęściu

narodowym giną dokumenty, giną rękopisy. Nie wiele zachęca do pisania pamiętników. W okresie tak doniosłym dla naszej historii społecznej i narodowej, w czasach między Powstaniem Listopadowym i Styczniowym, szansa wydania drukiem jakiegokolwiek książki polskiej była na ziemiach polskich znikoma. Szansa wydania czegokolwiek co by zawierało krytykę obserwowanych stosunków i z obserwacji takiej wyciągało swobodne wnioski — była żadna. Po roku 1866 sytuacja miała się poprawić, lecz tylko w zaborze austriackim. W zaborze pruskim a tym mniej w rosyjskim poprawy nie było. A tam przecież żyło najwięcej Polaków, co by byli przygotowani intelektualnie do czynienia i spisywania obserwacji i do przelewania swych myśli na papier. „Sobie a muzom“ piszą twórcy literatury pięknej, dla których tworzenie jest potrzebą i sensem życia. Ale i im potrzebna jest swoboda twórcza i potrzebny jest wydawca, który by pracę ich rozpowszechnił. Ostatecznie, lwia część literatury polskiej w wieku XIX, aż po czas pozytywizmu powstawała poza granicami Polski.

Pamiętnikarstwo nie jest literaturą piękną w ścisłym znaczeniu. Jeśli nawet niektóre z pamiętników zaliczamy do literatury pięknej — niech nam starczy przykład Samuela Pepysa czy naszego Paska — to jest to sprawa uboczna, sprawa przypadku. Wartość pamiętnika polega na wierności obserwacji i na szczerości komentarza. W tym względzie Edward Czapski kwalifikuje się bardzo wysoko. Szczerość jest bezwzględna, retuszu żadnego. Może dlatego tak się stało, że nie mógł liczyć

na ogłoszenie „Pamiętników“ drukiem. Pisał je — jak słyszeliśmy w zacytowanych zdaniach — dla dzieci i dla owego przyszłego „polskiego Macaulaya“. To znaczy dla historyka czy historyków, którzy kiedyś, już po jego śmierci, o brzołę dostarczony im przez Czapskiego materiał na pożytek nauki. Nie musiał się więc Czapski liczyć z nikim z żyjących, nie musiał i nie chciał nikomu schlebiać. Przydaje to dodatkowej wartości jego pracy. To nie tylko dokument historyczny, nie tylko świadectwo bogactwa i ubóstwa zarazem umysłowego i jego samego i jego klasy społecznej. To także doskonały i barwny reportaż dziennikarski, opisujący czasy i ludzi z którymi się stykał.

Teren obserwacji Czapskiego jest bogaty. Wylaniają się jak gdyby zupełnie różne światy. Jednym jest dzieciństwo i pierwsze kroki stawiane w szkole pijarskiej w Warszawie, oddychającej jeszcze przedrozbiorową atmosferą „Collegium Nobilium“ Stanisława Augusta i wielkiego Konarskiego. W nim, w gimnazjum pijarskim, przeżywa jedenastoletni chłopiec dni rewolucji listopadowej i wojny z Rosją po dzień kapitulacji Warszawy. Krajobraz się zmienia: Czapski uczy się dalej w Berlinie, wśród Niemców. Toczy tam psychiczną walkę z pruskim reakcjonizmem — prądy liberalne z przed Wiosny Ludów ledwo o niego zaczepiają — w oparciu o polski, ziemiański patriotyzm, wspomagany bezkrytyczną wiernością wszystkimu co głosi i co praktykuje Kościół katolicki. Lecz trzeźwość litewska, Czapski pochodzi z ziemi mińskiej, chroni go przed mistycyzmem. Każę patrzeć na życie oczami ostrożnego wielbiciela ładu. Tęsknota do ładu nie łączy się wszakże z cierpliwym pogodzeniem się z „taską najjaśniejszego Pana“, nie zakłada bierna na oczy wobec wszystko obejmującej i wszystko w społecznej historii Polskiej tłumaczącej krzywdy chłopskiej. To jest dla Edwarda Czapskiego rzeczywistość, z którą się nie godzi lecz na którą nie znajduje środków zaradczych. Jakże trafne i dociekliwe są jego uwagi o bezsensie i amoralności układu społecznego na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, rządzonych przez carskiego zaborcę. Jak żywa i trafna obawa, by układ ten nie był narzędziem w ręku zaborcy. Lecz obok nich przyznanie się do bezsilny i zachowawczy pogląd, iż chłop jest niedojrzały do reformy społecznej. Uwłaszczeniu Czapski się nie sprzeciwia i dąży do niego. Szczery jest jego podziw dla odważniejszych od niego ziemian, którzy przeprowadzają reformę rolną nie oglądając się na przeszkodę ze strony zaborców i na niechęć ze strony sąsiadów i dobrze na tym w

dotadku wychodzą. Gospodarując w radziwilłowskich niegdyś Kiejdanach Czapski wyteża siły, by przybliżyć chwilę dojrzałości chłopskiej. Nieporadne to poczynania, lecz zasługują na podziw gdy się widzi jak lekceważył sobie niełaszkę potężnych Rosjan. Naraża się im i w Wilnie i w Petersburgu, traktuje ich z chłodną pogardą, w której tak podobny jest Wielopolskiemu, którego raz czy dwa w życiu widział. Jest kuratorem szkół kilku powiatów żmudzkich. Rozpacza nad niskim stanem uczniów i nauczycieli i idzie pod prąd rusyfikacji. Tak skutecznie, że nie wiedząc nawet o tym, pozostaje jako podejrzany pod nadzorem policji. Tu występuje tragizm niezrozumienia sytuacji na ziemiach etnicznie litewskich. Czapski nie dostrzega mocy podziemnego nurtu litewskiego nacjonalizmu. Podniesienie poziomu chłopca żmudzkiego i obronienie go przed psychicznym zrusyfikowaniem widzi... w porządnym nauczaniu go po polsku. Jest obywatelem dawnej Rzeczypospolitej, wielonarodowej, w której określenie „Rusin“ jest jednoznaczne z określeniem Mazur czy Wielkopolanin. Zetknięcie się z powstańcami na zesłaniu sybirskim nie podważa tego poglądu: przeciwnie wzmacnia go niejako i potwierdza. Cenne są spostrzeżenia Czapskiego na ten temat. Tym cenniejsze, że w aktualności swojej jak gdyby ostatnie. Powstanie Styczniowe, owa Korona, Litwa i Ruś w jedną połączona Polskę, to nie było marzenie garstki zapaleńców, lecz hasło zrozumiałe dla wielu. Zwłaszcza dla tychże nie umiejących po polsku żmudzinów, którzy z takim zapalem poszli pod wodzą Sierakowskiego do walki w Powstaniu Styczniowym.

Czapski powstania się nie zaparł, powstańcom pomagał i za powstanie spotkała go ruina majątkowa, nieszczęście rodzinne i zesłanie na Syberię. Lecz był powstaniu przeciwny a jego wodzów nie szanował. Przerazało go ich „farmazoństwo“, ich płytki jak mu się zdawało liberalizm, ich deklamacje i przede wszystkim ich całkowite oderwanie od rzeczywistości. To znaczy ich nieporadność i naiwność. Przyjrzał się im bliżej i nie polubił na zesłaniu. Brak miłości był, jak wynika z pamiętników, wzajemny. Niemniej, umiał rozdzielać rzeczy istotne od teorii; poglądy od praktyki a sympatie czy antypatie od zwykłej ludzkiej życzliwości i obowiązku solidarności narodowej.

Zesłanie na Sybirze zajmuje pokazną część książki i część najżywszą, gdyż pisaną na gorąco a nie ze wspomnień. Ta część też dała tytuł książce. Nie jest to zbyt słuszne. Gdyż choć jest to

część najlepsza reportersko, wnosi mniej do naszej wiedzy od innych okresów życia Czapskiego. Wniosek, który jest już banałem, że pomimo cierpień fizycznych na Sybirze, zsyłka i katorga carska była sielanką w porównaniu z tym co łagiernikom zgotować potrafił ustrój sowiecki, znajduje plastyczne potwierdzenie. Cenne są też spostrzeżenia o naturze ludzkiej w warunkach nienormalnych, obojętnie czy ludźmi są Polacy, czy Rosjanie. A także Polacy na służbie carskiej na niskich i na wysokich stanowiskach. A jednak więcej dowie się historyk nowego, gdy przeczyta o tych cichych i skazanych na niepowodzenie wysiłkach międzypowstaniowych, by uratować co się da ze spuścizny narodowej i z narodowej substancji w oparciu o tak zwany „legalizm“. Tu postać Turkuła, carskiego sekretarza stanu dla spraw Królestwa Polskiego, wybija się na czoło opowieści Czapskiego. Był u niego urzędnikiem, polubił go i docenił. Czy słusznie — trudna sprawa do rozstrzygnięcia. Popęnia wszakże wielki błąd autor przedmowy do „Pamiętników“ Stanisław Vincenz, gdy się stara wyczytać w nich jakąś mądrość polityczną przydatną i na dzisiaj, a z ich autora uczynić przedstawiciela idei antypowstańczej i mianować go wyrazicielem ugodowości. To „niewłaściwy płaszcz na ramionach Czapskiego. Niewłaściwy wobec zimnej i logicznej nienawiści do rosyjskiego sposobu myślenia, którego wyrazem jest bezduszne samoderżawie obojętnie jakiego pokroju. Czapski widział Polskę w Europie — nie w symbiozie z Rosją i wcale się z tym nie kryje.

„Pamiętniki Sybiraka“*) ukazały się w Londynie drukiem prawie po stu latach od daty ostatnich zapisków. Jedynie uporowi i staranności redaktorki

*) Edward Czapski. „Pamiętniki Sybiraka“. Opracowała do druku Maria Czapska. Wyd. B. Świdorski. Londyn, 1964.

książki — jest nią Maria Czapska — zawdzięczamy, że nie podzieliły losu wielu podobnych pamiętników, które poginęły w zapomnianych skrzyniach na strychach domów, lub spłonęły w jednej z niezliczonych pożóg jakie nawiedzały ziemie polskie. To wszystko co napisał Edward Czapski nim się zabrał do „Pamiętników“ zginęło, jak stwierdza w cytowanych przeze mnie zdaniach. Także tekst, który mam dziś przed sobą bliski był podobnego losu. Wyjaśnia to Maria Czapska, Bardzo to typowe dla polskiej literatury pamiętnikarskiej losy. W r. 1938 Maria Czapska otrzymała trzy zeszyty „Pamiętników“. Przygotowała je do druku. To znaczy sporządziła maszynopis i opracowała go. W r. 1939 Niemcy rozstrzelali Edwarda Ponińskiego, właściciela rękopisu, niszcząc całe archiwum jego posiadłości Kościelec w Poznaniu. Co się stało z maszynopisem? Posłuchajmy co mówi Maria Czapska: „Zaraz po Powstaniu Warszawskim, zdołała dziś nieżyjąca Helena Morawska, dotrzeć do niespalonego jeszcze domu przy ulicy Czackiego i odnaleźć, w zwałach dla złodziei bezwartościowych przedmiotów, trochę książek, a w piwnicy teczkę z maszynopisem Pamiętników wraz z przypisami... Maszynopis schowany przed rewizjami UB przeleżał dalszych piętnaście lat, aż wreszcie zdołano mi go przekazać do Francji w nadziei wydania w 1963 roku. Warunki przechowania w wilgotnym schowku spowodowały zniszczenie ostatnich stron maszynopisu, które nie udało mi się w całości odczytać“.

Strata ta wydaje się stosunkowo niewielka wobec całości ocalonego materiału, który z przypisami, indeksem i wstępem obejmują 370 stron druku. Jedyną wadą techniczną opracowania Marii Czapskiej jest operowanie niczym nieuzasadnionymi skrótami pisarskimi w przypisach.

Paweł Zaremba

LWÓW
1782
WIEDEN

J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak
Kontuszówka
Krupnik

Malinowa
Starka
St. Bernhard

Tea-Rum
Wiśniówka
Wiśniak

Przedstawiciel
J. A. BRUCE & CO. . .
9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808
(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)



„EPOKA CHIŃSKA“? TROCHĘ HISTORII I CHWIŁA ZASTANOWIENIA

Z WIOSNĄ Roku Pańskiego 1965, inicjatywa dyplomatyczna i wojenna, w pewnym „nieregularnym“ czy partyzanckim znaczeniu tego terminu, należy do Chin. Pytanie, kto jest prawdziwym i prawnym rządem, czy Mao i jego czerwoni „chunchuzi“ w Pekinie czy Chang, otoczony drugim pokoleniem mandarynów Kuomintangu na Formozie, posiada oczywiście istotne znaczenie dla dziś żyjących Chińczyków, ale jest sprawą raczej drugorzędą dla Chin historycznych. Motyw bandytyzującego cesarza-wygnanca oczekującego, na odludziu, szczęśliwego wyroku Niebios jest jednym z elementów stale przewijających się poprzez tysiąclecie dzieje Państwa Środka.

Tak czy inaczej, posunięcia dyplomatycznych kancelarii i ośrodków dyspozycyjnych wielkiego przemysłu są dziś stale dostosowywane do zmiennej i zamazanej krzywej chińskiej doktryny politycznej, chińskich możliwości, chińskiej demografii (czy „eksplozji przyrostu ludności“) na sześciu kontynentach i siedmiu oceanach świata. Niemal dokładnie przed pół wiekiem, w r. 1916, państwa zachodnio-europejskie, Japonia i Stany Zjednoczone ogłosiły w stosunku do Chin, powalonego i bezsilnego olbrzyma, tzw. Doktrynę Otwartych Drzwi. Oznaczała ona — po odświeżeniu szezki słownej — zasadę swobodnego szarogęsienia się białych na terytorium chińskim z wyłączeniem mocarstw centralnych: te zastąpiła Japonia. Po pokonaniu cesarstwa rosyjskiego, „Japoszy“ (których nie udało się zatłamsić zwałą czapek rosyjskich „soldatików“) chodzili w glorii w Europie: Puccini pisał o nich opery a Pierre Loti i Claude Farrère powieści, uchodzące wówczas za nieprzyzwoite. Poza tym historiozofowie od siedmiu boleści ze Spenglerem na czele, głosili teorię o wyższości „Europy“ nad „Azją“. Było to z poprawką na „Anglików wschodu“ czyli Japończyków... bardzo interesujące, napełniało Europejczyków i dumą i zaufaniem a opierało się na zupełnym nieporozumieniu i nieznajomości historii. Oraz na krótkowzroczności.

★

Przypomnijmy więc sobie, iż od 4-eh tysiącleci Chiny, Indie i, w mniejszym stopniu Japonia, stanowiły ośrodki cywilizacji powstałych i rozwijających się zupełnie niezależnie od cywilizacji, niesłusznie i ogólnikowo zwanej „Zachodnią“. Wywodzi się ona bowiem z

Doliny Nilu, z Egiptu w tejże mierze co z Palestyny z gór Armenii i wysp Dodekanazu, a już najmniej z zimnych, ponurych i wilgotnych lasów północnej Europy, z kamienistych fjordów Skandynawii i zarośli Szwarewaldu. Przy wprowadzaniu tej oczywistej poprawki, „cywilizacja zachodnia“ jest równie stara, jeżeli nie znacznie starsza od cywilizacji chińskiej. Na istotny ten szczegół, najczęściej niedostrzegany na Zachodzie, pomimo wydawnictw na temat „Dziedzictwa Starożytności“, w wielu językach europejskich zwrócił uwagę prałata Świętego Kościoła Rzymskiego chiński „monsignore“ na podwórzu św. Damazego w Rzymie.

Przez dobrych kilka tysięcy lat, sprawność techniczna cywilizacji chińskiej stała na znacznie wyższym poziomie aniżeli odpowiedniki jej gdziekolwiek indziej na świecie. Czy była ona skutkiem czy przyczyną „sinocentryzmu“ chińskiej filozofii państwa i prawa jest zagadnieniem zbyt złożonym by porównać się na zbycie go paru ogólnikami w dziennikarskim artykule. Należy ograniczyć się do stwierdzenia, iż Chińczycy od tysięcy lat uważali nie-Chińczyków, a tym bardziej nie-Chińczyków o odrażającym dla nich zapachu i kolorze niedopieczonego prosięcia, czyli „białą rasę panów“, za barbarzyńców. Cesarz, pośrednik pomiędzy Niebem a Ziemią mógł co najwyżej łaskawie przyzwolić na złożenie sobie czołobitnego holdu przez ich przedstawicieli.

★

IDEAŁ państwa konfucjańskiego, zamykającego w swoim kształcie doskonałość cnót rządzących i rządzonych narastał powoli. Chiny przechodziły okresy gwałtownych wojen domowych i rozprzężenia. Cesarstwo kurczyło się i rozszerzało okresowo. Powodzie, epidemie i klęski głodu następowały po czasach spokoju i dobrobytu, i znów ustępowały im. Podobnie ale znacznie regularniej, zmieniały się pory roku w wiekiustym porządku. Ale nic nie wskazywało, by podstawy filozoficzne i polityczne Cesarstwa Niebios — jak brzmiała urzędowa nazwa Chin — nie odpowiadały rzeczywistości, nie zapewniały Chinom i Chińczykom prymatu moralnego i technicznego na całym świecie. Efekt psychologicznego nacisku czy zastraszenia był znacznie ważniejszym składnikiem aniżeli faktyczna możliwość wymuszenia posłuchu przemocą. Zasada ta, w karykaturalnej formie, przetrwała do upadku cesarstwa w r. 1912.

A właściwie pokutuje do dziś dnia; cesarscy gubernatorzy chińscy wydają rozporządzenia podwładnym, nie nastawali, nie rozkazowali i nie grozili: oni tylko przypominali, iż są włodarzami w imieniu Syna Niebios. I to wystarczyło dla zapewnienia sobie natychmiastowego posłuchu. To, i doskonała policja polityczna, przewór współczesnych łapsów wszelkiej maści, oraz naukowe podręczniki tortur jako techniki rządzenia.

W połowie wieku XV-go Chiny zlikwidowały marynarkę wojenną, rozbroiły arsenały i zabroniły swoim podwładnym nie tylko ekspansji zamorskiej, ale w ogóle wyjazdu zagranicę: podobnie jak dziś w imperium sowieckim, przekroczenie granicy państwowej z którejkolwiek strony stało się przestępstwem.

Motywy edyktu zamykającego są raczej niezrozumiałe dla „zachodniego barbarzyńcy“. Z grubsza rzecz biorąc, był on wynikiem zażartej walki o władzę na dworze cesarskim pomiędzy mandarynatem, hierarchiczną administracją „zawodową“, przesiąkniętą ideałami konfucjańskimi a potężnym i wpływowym klanem dworskich enuchów.

Tak czy inaczej, Chiny wycofały się z zapowiadających się bardzo interesującą masowych kontaktów ze światem zachodnim i z możliwości politycznego opanowania Afryki. Pycha w tejże mierze wpłynęła na tę decyzję, brzemieną w nieprzewidywalne wówczas skutki odległej przyszłości, co estetyczne obrzydzenie na myśl utrzymywania bliższych stosunków z kimś i czymś niezrozumiałym, prymitywnym i mało ciekawym.

★

POCZYNAJĄC od końca XVII wieku fikcja doskonałości konfucjańskiej formuły politycznej załamała się. Barbarzyńcy ze Wschodu i Zachodu zaczęli coraz szybciej i wyraźniej wyprzedzać Chiny we wszystkich dziedzinach. W połowie XIX wieku proces ten został zakończony zupełnym pogięciem Państwa Środka. Niestety „wojna opiumowa“ obciążała „Zamorskich Diabłów“ moralnie, a nie tylko technicznie czy politycznie. Wielka Brytania zmusiła administrację cesarską do otwarcia portów (przy okazji zagarnęła Hong-Kong), nie dla rozszerzenia obrotu międzynarodowego (z mniej lub więcej dającej się usprawiedliwić chęci zysku), nie dla oficjalnego zbawiania dusz, co było rozgrzeszeniem kolonializmu hiszpańskiego i portugalskiego. Nie. Zmurszałe Cesarstwo Chińskie zostało ostatecznie poniżone w oczach własnych

i obcych po to, by zapewnić swobodny dostęp opium do Chin. Narkotyk ten był wytwarzany w wielkich ilościach na terytorium Indii Brytyjskich. Rząd chiński uważał, że zagraża on życiu i zdrowiu milionów Chińczyków. Wwóz opium był zakazany na teren Państwa Środka. Ale w Londynie wyznawano wówczas doktrynę nieograniczania procesów gospodarczych żadnymi nakazami moralnymi.

★

NA ZACHODZIE najczęściej zapomina się, że dynastia mandzurska, czyli Czin, panująca w Pekinie od roku 1640 do 1912 roku była uważana przez całą inteligencję chińską, a nawet przez służący jej mandarynat za zniechędzonych i pogardy godnych cudzoziemców. Cesarze mandzurscy jak najbardziej na serio przejęli się rolą Synów Niebios. Sztuka, nauka, administracja, rytuał i ceremoniał praktykowany przez nich były stylizowanym dalszym ciągiem odwiecznych chińskich wzorów. Mandżurowie stali się z całego serca Chińczykami, duchowymi członkami rasy Han, ale nigdy nie zostali przyjęci przez nich jako „młodszy“ bracia; pozostali śmierdzącymi parweniuszami. Tego rodzaju złożone procesy psychologiczne zdarzały się zresztą nie tylko w Chinach. Podobny stosunek łączył i dzielił np. tzw. Fanariotów, tzn. grecką, „bizantyjską“, arystokrację Konstantynopola i władców Cesarstwa Otomańskiego, którym służyli jako dyplomaci, bankierzy i namiestnicy Mołdawii i Wołoszy.

Na przełomie XX wieku stało się jasne, że dynastia mandzurska utraciła „mandat Niebios“ w oczach i sercach swoich poddanych. Cesarstwo leżało w gruzach, konfucjańska doktryna prawa i państwa podobnie. Na skutek ułomności natury ludzkiej a szczególnie tzw. „sporu o kult przodków“ w Kurii Rzymskiej w XVIII wieku. Chrześcijaństwo w Chinach, w tym okresie, było obciążone serwitutem europejskich i amerykańskich powiazań. Katedra katolicka w Pekinie jest wybudowana w ohydny pseudo-gotyku. Jaka szkoda, że nie wybudował jej był pierwszy katolicki arcybiskup Pekinu. Działał on około roku 1360-go i był mile widzianym gościem na dworze dynastii Yüan, spadkobierców Dżyngis Chana.

★

Z CHWILĄ upadku Domu Mandzurskiego powstała nie tylko próżnia państwowa w Pekinie ale, co gorsza, próżnia ideologiczna wśród chińskiej elity intelektualnej. Pocucie zranionej dumy narodowej zaciemniło obraz, tym bardziej iż „okres wojujących księstw“ — powtarzający się co kilka stuleci w historii Państwa Niebios — zmienił się w szczególnie okrutny najazd japoński.

Doktryna nacjonalistycznego idealizmu Sun Yatsena, entuzjastycznie sławiona przez misjonarzy amerykańskich, nie potrafiła stać się namiastką konfucjonizmu. W próżnię wlał się marksizm i powtórna fala, sowiecka dywersja.

Czy chiński komunizm zastąpił konfucjonizm? Na pewno nie. Ale zaraził się nim, przynajmniej w sensie absolutnej pogardy do wszystkiego co nie-chińskie.

Stąd nie ulega już dziś wątpliwości, iż sowiecko-rosyjski i maoistyczno-chiński imperializm i komunizm znaczą co innego. „Co innego“ nie znaczy, że jeden jest „lepszy“ a drugi „gorszy“...

★

NA WIOSNĘ roku 1965, np. w Dar es-Salam, w Tanzanii, sowieccy agenci i eksperci pijają gin z kropelkami, usiłują grać w tenisa i podtrzymywać kolonialne stosunki towarzyskie z Europejczykami i Amerykanami. Dwustu przeszło Chińczyków (bez Chi-nek) mieszka pod kluczem i za zasiekami z drutu kolczastego w tymże samym mieście jako niezłomni i bardzo sprytni rewolucjonści. Miejscowym murzynom, a szczególnie miejscowym murzyńskim politykom zawiedzionym w swoich ambicjach, imponują bardzo i płacą wiele. To samo zjawisko można zaobserwować, w różnym stopniu na terenie całej „Afro-Azji“ i w satelickiej „Azjopie“. Ale stąd do „niezwalczonych złotych zastępów“ jakie wykombinował nieboszczyk cesarz Wilhelm II jest jeszcze dość daleko.

Maoizm jest zjawiskiem chińskim a nie wszechświatowym, jest funkcją tysiącletniej historii Chin i mało ma wspólnego ze szczególnym układem Europy w połowie XIX wieku i uniwersalistycznymi ciągłotami Marxa. Pomiedzy światem chińskim a nie-chińskim przepaść istnieje jak istniała.

Nie oznacza to, naturalnie, jakiegokolwiek „niższości“ Chińczyków. Istnieją dziś chińscy chirurdzy o światowej sławie, laureaci Nagrody Nobla, niestety w dziedzinie fizyki teoretycznej, i, jeszcze bardziej niestety, „powrotowicze“ do Pekinu. Fu-Tsong jest jednym z subtelniejszych pianistów-wirtuozów chwili obecnej, ale np. poezje Mao Tse-tunga są niedostępne dla zachodniego czytelnika: nawet w tłumaczeniu. Musimy na słowo przyjąć, iż są wysokiej klasy. Podobnie musimy na słowo przyjąć cały szereg pojęć o Chinach, nawet po obejrzeniu wybranych sektorów ich życia przez „bezpiecznych“ z pekińskiego punktu widzenia obserwatorów. „Sinocentryzm“ Chin wykluczający pojęcio-wo nawet równość międzyrasową czy międzypigmentową ludzkości wyklucza, jak dotychczas powstanie chińskiego internacjonau, naprawdę internacjonalnego. Do tego dochodzi jeszcze dziwna

niezdolność Chińczyków absorbowania w skali narodowej techniki, wywodzącej się z nie-chińskich przesłanek filozoficznych. Japonii udało się to wspaniale. Arabowie, Hindusi, Persowie, Syjamczycy, wybierając przykłady na chybił trafił, też zdołali w różnym stopniu sprawności technicznej dokonać u siebie rewolucji technologicznej i przemysłowej. Chiny, jak dotąd i na szczęście, nie. Chińskie wybuchy bomb atomowych niczego nie dowodzą poza tym, że we wszelkich dziedzinach poszczególni Chińczycy mogą wspiąć się na najwyższe szczyty osiągnięć.

Wszelkie przewidywania w polityce międzynarodowej, a tym bardziej w ideologicznej jej odmianie są nad wyraz niepewne, ale nie wydaje się bliska chwila osadzenia chińskiego gubernatora w Kairze, Sydneyu, Moskwie i... Warszawie. Mogą się kłócić z Sowietami, lecz jak się zabrać do ich wygryzienia, Chińczycy nie wiedzą. I wcale nie jest pewne czy chcą wiedzieć.

Czesław Jeśman

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

ZJEDNOCZENIE POLSKIE W WIELKIEJ BRYTANII

Tegoroczny Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii potwierdził ponownie słusność zasady, iż obrady muszą trwać dwa dni, jeśli chce się w atmosferze spokojnej i poważnej przedyskutować najważniejsze — choć nie wszystkie — problemy społeczne. Pierwszy dzień formaliza się zwykle do spraw raczej formalnych i reprezentacyjnych, bo w szybkim tempie załatwia się otwarcie Zjazdu, które w tym roku było szczególnie krótkie, a następnie uczestnicy Zjazdu wysłuchują sprawozdań występujących władz. Na to wszystko wystarczy około 4 godziny, by następnego dnia zabrać się, od wczesnych godzin rannych, do właściwej roboty. Taki system pracy jest możliwy i dlatego, że przed Zjazdem ukazują się zwykle w całej prasie odpowiednie artykuły w których poruszone są najpilniejsze problemy społeczne, a następnie uczestnicy Zjazdu otrzymują na czas pełne sprawozdanie z rocznej działalności władz, ogłaszane w biuletynie Zjednoczenia „Przeglądzie Społecznym“.

Co było przedmiotem głównego zainteresowania drugiego dnia Zjazdu?

BIBLIOTEKA POLSKA

Niewątpliwie sprawa dalszego losu Biblioteki Polskiej w Londynie i Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, w którym mają się znaleźć wszystkie polskie instytucje naukowe, biblioteki, biura dla organizacji, słowem Ośrodka w którym ma się skupić całe polskie życie społeczne.

Zagadnienie Biblioteki Polskiej nabrało na tym właśnie Zjeździe szczególnego znaczenia. Albowiem tego samego dnia (6 lutego) wpłynęła na ręce płk S. Zamoyskiego oczekiwana od dawna odpowiedź władz brytyjskich w sprawie dalszej pomocy finansowej nie tylko dla Biblioteki, ale także dla Polish Research Centre i Instytutu im. gen. Sikorskiego. Jak dotąd władze brytyjskie płaciły 10.000 funtów rocznie na Bibliotekę. Od pewnego czasu jednakże dawano do zrozumienia, iż dotacja się skończy albo będzie musiała być oparta na innych zasadach: władze brytyjskie dadzą np. 7.000 funtów rocznie, a Polacy mieliby dopłacać ze swoich funduszy taką samą sumę rocznie. Projektów było wiele. Ostatecznie we wrześniu ub. r. liczna reprezen-

tacja polska odbyła z czynnikami brytyjskimi konferencję w ministerstwie skarbu, wysuwając postulat zwiększenia dotacji do ok. 14.000 rocznie z czego 10.000 przeznaczonoby w dalszym ciągu na Bibliotekę, a resztę na Instytut gen. Sikorskiego i Polish Research Centre.

Odpowiedź, jaką władze brytyjskie przesłały na ręce płk. Zamoyskiego w dniu rozpoczęcia Walnego Zjazdu Zjednoczenia, stała się wielkim zaskoczeniem i niespodzianką. Władze brytyjskie postanowiły dotację roczną obniżyć dla Biblioteki do 7.000 funtów i wypłacać ją jedynie przez najbliższe dwa lata. A potem — koniec. O decyzji tej powiadomił płk Zamoyski natychmiast władze Zjednoczenia i to dosłownie na kilka minut przed rozpoczęciem Zjazdu, prosząc o zajęcie się tą pilną sprawą przez Zjednoczenie. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, iż społeczeństwo polskie stanęło dość niespodziewanie (przynajmniej dla niektórych kół) przed nową, trudną sytuacją. Decyzja władz brytyjskich wywołała wielkie poruszenie i oburzenie a zwłaszcza sugestia końcowa, by centra biblioteczne przenieść na peryferie Londynu albo nawet poza Londyn, gdzie — jak wiadomo — nigdy nie spełniłyby tej roli, jaką obecnie spełniają.

Liczyć się należy, że w najbliższym czasie podjęte będą w obronie Biblioteki Polskiej, Instytutu Sikorskiego i Polish Research Centre dalsze kroki ze strony zainteresowanych czynników polskich. Na Zjeździe Walnym natomiast przyjęta została następująca uchwała:

„Walny Zjazd ... zwraca pilną uwagę na zagrożenie bytu Biblioteki Polskiej w Londynie i zaleca Zarządowi Zjednoczenia dalsze prowadzenie i wzmocnienie akcji dla zapewnienia Bibliotece Polskiej możliwości kontynuowania jej tak cennej i koniecznej działalności.

Walny Zjazd stwierdza, że zmniejszenie czy odmowa dalszej pomocy finansowej przez rząd brytyjski byłaby głęboko krzywdząca dla społeczeństwa polskiego w W. Brytanii i przeciwko takim decyzjom Zjazd jak najmocniej protestuje“.

„OSRODEK POLSKI“ W LONDYNIE

W świetle powyższej sprawy szczególnie pilna staje się sprawa powołania do życia Ośrodka w Londynie. Rozumieją to liczne organizacje — zwłaszcza te, które nie mają własnego dachu nad głową — i coraz liczniej deklarują swoje przystąpienie do Ośrodka. Gdy jeszcze w styczniu br. nieco ponad 20 organizacji zgłosiło swój akces, dziś liczba ich dochodzi do 30, a liczba osób

indywidualnych zapisujących się na członków dochodzi do 100.

Oczywiście wiele jeszcze wody upłynie zanim Ośrodek istotnie powstanie, nie ulega jednak wątpliwości, że potrzeba jego powstania jest coraz większa i pilniejsza. Dano temu także wyraz na Zjeździe gdy w czasie dyskusji n. t. Ośrodka zgłaszały nowe organizacje swój akces a nawet tuż po otwarciu Walnego Zjazdu szereg osób podpisywało deklaracje członkowskie. Uczniowcami Ośrodka stali się już gen. Wł. Anders, gen. T. Bór-Komorowski, amb. E. Raczynski, gen. S. Kopański i wiele innych czołowych osobistości z życia społecznego, zawodowego i gospodarczego. Jest także rzeczą zrozumiałą, że niektóre organizacje wahają się z przystąpieniem czy z przekazaniem części swego majątku na rzecz Ośrodka. Miejmy jednak nadzieję, że i ten okres wahania minie, zwłaszcza z chwilą gdy władze Ośrodka, którym przewodniczy prof. inż. R. Wajda, znajdą odpowiedni obiekt, który mógłby się stać centrum polskiego życia społecznego i kulturalnego.

Walny Zjazd ocenił dotychczasowe wysiłki pozytywnie w formie poniższej uchwały:

„Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii wyraża uznanie dla organizacji i osób, które podjęły inicjatywę stworzenia Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Walny Zjazd zdaje sobie sprawę, że jest to olbrzymie przedsięwzięcie, ale nie przekraczające naszych możliwości przy powszechnym, solidarnym wysiłku.

Zjazd ... apeluje do społeczeństwa polskiego w W. Brytanii tj. do wszystkich instytucji, organizacji i do każdej osoby indywidualnie o szybkie włączenie się do akcji.

Ośrodek ten powinien się stać ogniskiem polskiego życia społecznego-kulturalnego i winien być trwałym dorobkiem, który przekazemy potomności“.

* * *

Zjazd otworzył prezes Zarządu Zjednoczenia P. Hęciak, witając licznych gości wśród których byli m. in. amb. E. Raczynski, gen. T. Bór-Komorowski, przewodniczący RJN dr T. Bielecki, przewodniczący Egzekutywy A. Ciołkosz, ks. inf. B. Michalski, wiceprzewodniczący Rady Głównej SPK Z. Szadkowski, sekretarz gen. Zarządu Gł. SPK S. Lis. Do uczestników Zjazdu przemówili gen. T. Bór-Komorowski, ks. inf. B. Michalski. Sekretarz gen. Zjednoczenia S. Kolańczyk odczytał telegramy z życzeniami, które nadesłali:

(Dokończenie na str. 36)

JEST rok 1820. W Edynburgu mieszka grupka Polaków, przeważnie na studiach, z braćmi Zamoyskimi na czele. Wśród grupy tej rej wiedzie Konstanty Zamoyski. Jest również Karol Sienkiewicz, który poza uczęszczaniem na niektóre wykłady zajmuje się skupem wartościowych książek dla biblioteki Czartoryskich. Oni też pokrywają koszt jego pobytu w Edynburgu. A zakupił ich sporo: raz wraz pełne skrzynie z książkami szły drogą morską z edynburskiego portu Leigh do Gdańska. Skupywali również cenniejsze książki Zamoyscy, sprzątając je Sienkiewiczowi sprzed nosa. Karol Sienkiewicz podczas pobytu w Edynburgu nie ograniczał się do słuchania niektórych interesujących go wykładów i skupu książek dla swych moco dawców — chciał poznać cały kraj. Robił on częste wypadki do najdalszych i trudno dostępnych zakątków Szkocji, odwiedzając nawet rozsiane, zwłaszcza od strony Atlantyku wyspy. Zebrał bardzo wiele ciekawych spostrzeżeń, które zużytkował w swej książce „Dziennik Podróży po Anglii“, wydanej z rękopisu w roku 1953 przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Wrocławiu.

ZJEDNOCZENIE POLSKIE (dok.)

gen. W. Anders, ks. biskup dr W. Rubin, ks. inf. W. Staniszewski, gen. S. Kopański, ks. prał. K. Sołowiej płk. Cwiakalski z Oxford i Stow. Marynar ki Wojennej.

Sprawozdanie w imieniu ustępujących władz składali: inż. N. Krupowicz — przewodniczący Rady, P. Hęciak — prezes Zarządu, inż. A. Rynkiewicz — skarbnik, sędzia K. Welin — przewodniczący Obywatelskiej Komisji Orzekającej, L. Słomnicki — przewodniczący komisji rewizyjnej. Ustępującemu Zarządowi udzielono jednogłośnie absolutorium z podziękowaniem. W wyniku wyborów prezesem nowego Zarządu został po raz szósty P. Hęciak. Nadto do Zarządu wybrani zostali: Z. Bieńkowski, J. Biliński, S. Kolańczyk, I. Mydlarzowa, J. Płowski, A. Rynkiewicz, A. Sławecka, A. Urbański, J. Wawrzekiewicz i R. Zakrzewski.

Do komisji rewizyjnej: F. Bissinger, S. Borczyk, S. Kaczmarczyk, L. Słomnicki i H. Witkowska.

Zjazdowi przewodniczył K. Sabbat. Nadto do prezydium wyszli: przedstawiciele zjednoczeń lokalnych: S. Kipp z Bradford, J. Guze z Derby, A. Dąbrowski z Leicester i A. Marchand z Manchester.

(p. h.)

SZKOCKA BIBLIOTEKA NARODOWA WYSTAWIA POLONIKI DLA UPAMIĘTNIENIA TYSIĄCLECIA POLSKI

Przed powrotem do kraju Zamoyscy postanowili pozostawić po sobie w Edynburgu pamiątkę. Z zakupionych książek, prawdopodobnie duplikatów, stworzyli bardzo piękny i cenny zestaw, w czym im dopomogli i inni zamieszkali wówczas w Edynburgu Polacy, i ofiarowali go Bibliotece Adwokackiej, która wówczas była największym księgozbiorem w Szkocji. W zestawie tym znalazły się książki należące dzisiaj do bardzo rzadkich okazów. Prawie wszystkie ofiarowane książki były w językach obcych (łacina, niemiecki, francuski), ale dotyczące spraw polskich.

Książki te przeleżały w zapomnieniu ponad 100 lat. Przypomniano sobie o nich, gdy wybudowany został nowy gmach dla National Library of Scotland. Do narodowej szkockiej biblioteki zaczęto ściągać co się tylko dało i co było wartościowego. Biblioteka Adwokacka bez wahania przekazała darowiznę braci Zamoyskich i innych Polaków do National Library of Scotland, gdzie zestaw ten stał się podwaliną pod dział polski w tejże bibliotece. Stało się to w 1962 roku.

W dwa lata później zamieszkały w Edynburgu dr W. Tomaszewski wystąpił z projektem, aby dla uczczenia Millenium zebrać wśród Polonii edynburskiej 1.000 książek i ofiarować je National Library of Scotland dla wydatnego zasilenia działu polskiego. Pomysł uznany został za bardzo szczęśliwy i natychmiast przystąpiono do jego realizacji. W stosunkowo szybkim czasie książki zostały zebrane, uporządkowane i uroczystie przekazane National Library of Scotland. Znalazło się sporo duplikatów, bo ponad 350 tomów, które przekazane zostały Polonii w Glasgow, aby i tam przeprowadzono zbiorke książek i takż dar przekazano tamtejszej bibliotece. Nic z tego jakoś dotychczas nie wyszło.

Trzecim kolejnym darem dla działu polskiego w National Library of Scotland w Edynburgu był zestaw książek ofiarowany przez Jana Tarnowskiego. Niezależnie od tego biblioteka zakupiła zbiorowe wydania: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, Reymonta, Prusa i innych czołowych polskich pisarzy. Wysłunęło to wszystko dział polski na czoło wszystkich działów w językach obcych.

O darze Polonii edynburskiej dla National Library of Scotland dowiedziała się Biblioteka Narodowa w War-

szawie i wyraziła gotowość uzupełnienia działu polskiego duplikatami, prosząc jednocześnie o przesłanie wykazu książek już ofiarowanych. Wykaz taki został naturalnie sporządzony i wysłany. Uplywa już trzeci rok, a Biblioteka Narodowa w Warszawie nie dała o sobie znaku życia. Widocznie jakieś czynniki nadrzędne orzekły inaczej.

Mając już dość potężny dział polski, dyrekcja National Library of Scotland zdecydowała pokazać cenniejsze druki w salach bibliotek. Wystawa ta została otwarta 11 marca, przy udziale przedstawicieli wszystkich polskich organizacji. Uroczystość otwarcia wystawy odbyła się z całym ceremoniałem.

Na wystawie rzeczywiście pokazano to, co biblioteka w dziale polskim miała najcenniejszego. Uczestnicy uroczystości z miejsca obścąpili gablotę, w której widniało pierwsze wydanie dzieła Mikołaja Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium“. Dzieło to zostało wydane w Norymberdze w 1543 roku. W innej znowu gablocie „Historia Polski“ Jana Długosza, wydana w 1711 roku w Lipsku, Jest i „Sarmatae Bellatores“ Szymona Starowolskiego, wydane w Kolonii w roku 1631. Trudno było by wyliczyć wszystkich pisarzy, których dzieła znajdują się na wystawie. Nie można jednak pominąć książek, których autorami są Szkoci, którzy odwiedzili Polskę, lub też osiedlili się w niej na stałe. Wymienić tu należy: William Bruce, Patrick Gordon, John Johnson, Charles Wogan, który przyczynił się do ucieczki z Wiednia Klementyny Sobieskiej po aresztowaniu jej przez cesarza austriackiego, William Lithgow i kilku innych.

Bardzo starannie został wydany katalog wystawy. Na okładce widnieje poczet królów polskich i napis POLAND. Tego samego motywu użyto do wydrukowania afisza, który został rozkolportowany po całym Edynburgu. Wystawa została urządzona — jak głosi w swej przedmowie w katalogu kustosz Biblioteki, William Beattie — dla uczczenia tysiąclecia Państwa Polskiego i tysiąclecia przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa. Trudno nie przyznać, że forma uczczenia Millenium przez czołową szkocką placówkę kulturalną jest bardzo szczęśliwa.

Wystawa zostanie zamknięta w dniu naszego święta Narodowego — dnia 3-go Maja.

Stanisław Błaszczak

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

„WIECZORY POD DĘBEM“

Ogół czytelników polskich w Kraju i za granicą pamięta Zygmunta Nowakowskiego jako znakomitego pisarza i publicystę, a przede wszystkim jako autora niezrównanych w swej krasie, i błyskotliwości felietonów.

Gdyby natomiast ktoś chciał mówić o Nowakowskim jako historyku, na pewno wywołałby zdziwienie u zwykłego zjadacza chleba i grymas u niejednego zawodowego dłubacza na polu dziejopisarstwa. A jednak ... Nowakowski posiadał wiedzę historyczną w stopniu równie głębokim jak w zakresie literatury pięknej. W rezultacie pozostawił w swej spuściźnie pisarskiej rzecz, która zachwyci każdego swym wdziękiem i przemówi zarówno do serca jak i rozumu.

Są to jego gawędy historyczne, które opracowywał przez szereg lat i wygłaszał przez Rozgłośnię Radia Wolnej Europy. Za życia marzył o tym, by trafiły do rąk młodych i niemłodych czytelników, by mogli popatrzeć na polską przeszłość jego oczyma i przywiązać się do niej jego gorącym uczuciem.

Urzeczywistnienia tej myśli wielkiego pisarza podejmuje się Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, które jesienią bieżącego roku wyda „Wieczory pod Dębem“ jako swój wkład do wysiłku upamiętnienia Tysiąclecia Polski.

50-LECIE KAPŁAŃSTWA KS. INFULATA MICHAŁSKIEGO

Protonotariusz Apostolski Ks. Bronisław Michałski Naczelnik Kapelan Ośrodków Polskich w W. Brytanii, Naczelnik Kapelan SPK, b. wikariusz Generalny Biskupa Polowego Polskich Sił Zbrojnych, obchodzić będzie 50-lecie święceń kapłańskich 20 czerwca 1965 r. 26 lutego zawiązał się w Londynie Komitet Organizacyjny Jubileuszu pod przewodnictwem Ks. Infułata Stanisławskiego (adres: 2, Devonian Road, London, N.1).

W programie uroczystości przewiduje się mszę świętą Jubilatą w Kościele Polskim przy Devonian Road oraz okolicznościową akademię w St. Pancras Hall, Euston Road, N. U 1.

ZNACZEK „MILLENIUM POLSKI“

SPK w Stanach Zjednoczonych wydało specjalny znaczek dla upamiętnienia Tysiąclecia Polski. Znaczek projektował Dan Jarra z Francji, a styloryt płytki wykonał Czesław Słania ze Szwecji. Drukowany jest w znanej firmie De la Rue w Anglii.

Komitet znaczka (adres: P. O. Box 166 — Cooper Station, New York, N.Y. 10003, USA) wysyła arkusze znaczków na zamówienie, prosząc w zamian o ofiary na budowę Domu Kombatanta w Nowym Yorku.

Ze względu na swą wartość pamiątkową znaczek będzie, niewątpliwie, poszukiwany przez filatelistów.

PRZECIW UZNANIU ZBRODNI ZA PRZEDAWNIONE

Na zalecenie Zarządu Federacji Światowej ogniwa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w 20 krajach przesłały przedstawicielom dyplomatycznym Niemieckiej Republiki Federalnej protest przeciw zamiarowi uznania zbrodni hitlerowskich za przedawnione.

Wielka debata na ten temat w Bundestagu była dowodem, że wśród większości posłów parlamentu niemieckiego przeważał pogląd za koniecznością przedłużenia ustawy o ściąganiu winnych przestępstw przeciw ludzkości.

Ambasador niemiecki w Waszyngtonie w swej odpowiedzi na protest, przesłany przez SPK w Stanach Zjednoczonych, powołał się na swój artykuł w nowojorskim czasopiśmie niemieckim „Der Aufbau“, pt. „Ściganie nazistów winnych masowych mordów nie może i nie skończy się w maju bieżącego roku“. Protesty odbiły się szerokim echem w całej prasie światowej.

Z WIZYTĄ DO SZCZURÓW

Generał Kopański, b. D-ca Brygady Karpackiej, następnie 3 Dyw. Strzelców Karpackich, a w końcu szef sztabu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, udał się do Australii na zaproszenie tamtejszego Związku Karpaczków.

Wizyta gen. Kopańskiego będzie pierwszą od zakończenia wojny okazją do zetknięcia się polskich „Szczurów Tobruckich“ ze swoim dowódcą. Odległość Australii od Europy, a w większym jeszcze stopniu wysokie koszty podróży praktycznie uniemożliwiają częste kontakty osobiste. Toteż będzie to prawdziwa podróż sentymentalna, pierwsza i może ostatnia po tylu latach, chwila odnowienia wzajemnych uczuć i przywiązania, jakie łączyły dowódcę i żołnierzy w bojach na piaskach afrykańskich i we Włoszech.

Generał Kopański zatrzyma się po drodze w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Program jego pobytu w Australii obejmuje wizyty: w Tasmanii od 1 do 10 kwietnia; w Melbourne od 11 do 15 kwietnia; w Sydney i Canberze od 16 do 25 kwietnia. Generał, który jest członkiem honorowym SPK odwiedzi również niektóre ośrodki kombatantki w Australii.

W DWUDZIEŚTOLECIE JAŁTY

ZEBRANIE PUBLICZNE W WESTMINSTER HALL

Rada Jedności Narodowej wybrała 20-lecie układu jałtańskiego, do odbycia zebrania w całej pełni publicznego. Wyraziło się to w podaniu do wiadomości o posiedzeniu przez ogłoszenia w prasie i odbyciu go w sali Westminster Hall, mogącej pomieścić paręset osób. Normalnie o zebraniach RJN powiadami się tylko członkowie i odbywają się one we własnej sali domu na Emperors Gate, gdzie dla gości jest miejsc niewiele.

W Westminster Hall dnia 13 marca (po miesiącu od ścisłej daty krymskiej konferencji, aby manifestacja ta nie przypadła tuż po pogrzebie Churchilla), uroczyste przybraną salę zapelnili członkowie władz Zjednoczenia Narodowego na estradzie obok prezydium RJN i w poprzednich rzędach sali członkowie Rady, dalej publiczność, która wypełniła ją niemal całkowicie.

20-lecie Jałty było okazją rzadką, ale nawiązywanie kontaktu z szerszymi kołami uchodźczego społeczeństwa przez jego polityczne kierownictwo wydaje się metodą w zasadzie słuszną i nadającą się do stosowania. Było by to z pożytkiem dla żywotności naszej akcji politycznej i utrzymania jej możliwie najszerszej, kontrolowanej przez opinię polską i niezależnej podstawy.

* * *

Na wstępie zebrania prezes dr T. Bielecki powitał członków Rady Trzech, gen. W. Andersa, gen. T. Bora-Komorowskiego i amb. E. Raczyńskiego oraz EZN z prezesem A. Ciołkoszem na czele, po czym wygłosił pośmiertne wspomnienie o śp. Edwardzie Górnaczu, którego pamięć uczcili zebrani przez powstanie.

Zagajając obrady dr Bielecki przypomniał okoliczności narzucenia Polsce układów jałtańskich, gdzie „Roosevelt, Stalin i Churchill postanowili odciąć wschodnią połowę naszego terytorium i oddać nas na łaskę i niełaskę Rosji Sowieckiej. Od żywego ciała Rzeczypospolitej odrąbano jednym cięciem ziemię, które od 600 z górą lat stanowią integralną część państwa polskiego i obejmują dwa ogniska kultury polskiej, wierne miasta Lwów i Wilno. Jeżeli chodzi o postanowienia polityczne, włożono nas — wbrew naszej woli — w strefę wpływów rosyjskich i narzucono siłą ustrój sowiecki“.

W dalszym ciągu mówca przypomina protest koalicyjnego rządu polskiego,

który pod przewodnictwem premiera T. Arciszewskiego i złożony z przedstawicieli PPS, Stron. Narodowego oraz Stron. Pracy i kilku bezpartyjnych ogłosił 13 lutego 1945 r. protest przeciwko jałtańskiemu układowi. Gdy mówca z kolei wspominał ostrą interwencję gen. Andersa, ówczesnie p.o. Naczelnego Wodza i zwrócił się do niego z wyrazami uznania, zebrani powitali to hucznymi, serdecznymi oklaskami.

Przechodząc do skutków Jałty i sytuacji dzisiejszej, dr Bielecki wskazuje na wyrosłe tymczasem niebezpieczeństwo rewizjonizmu niemieckiego. „Nie utracimy jednak linii Odra-Nysa — stwierdza mówca — jeśli nie będziemy temu sami szkodzić, szukając porozumienia z Niemcami bez względu na ich stosunek do Polski“. System jałtański z drugiej strony, zdaniem mówcy kruszy się i otwiera przed nami jaśniejsze widoki. Blok komunistyczny rozluźnia się i zaczyna go drażnić prąd narodowy. Narody nie chcą być bezwolnymi narzędziami obcej polityki. Rządy komunistyczne chcą się podeprzeć po swojemu pojętym nacjonalizmem, ale gdy podpora zaczyna się rozrastać i stanie się niezbędną, może przyjść moment, kiedy treść narodowa zastąpi komunizm. Nadto ma poważne kłopoty wewnętrzne sama Rosja, co może ją zmusić do daleko idących ustępstw albo do opuszczenia krajów poddanych ich wpływowi na mocy układów jałtańskich.

„Sytuacja nie jest więc dziś — kończył dr Bielecki — tak beznadziejna, jak była przed 20-tu laty. Przeciwnie, przed Polską otwierają się nowe perspektywy, zbliża się nowa koniunktura międzynarodowa. Musimy przeto mobilizować własną myśl polityczną i własne siły, ażeby tej koniunktury nie zaprzepścić“.

GENEZA I SKUTKI FATALNEJ ZMOWY

Z kolei o genezie i skutkach Jałty mówił dr Witold Czerwiński i przypominał etapy tego posępnego dramatu i niesławną rolę jego uczestników, aż do ostatniego aktu, gdy los Polski został przypieczętowany przez jej własnych sprzymierzeńców. Historyczny protest rządu Arciszewskiego — stwierdził dr Czerwiński — będący zarazem aktem oskarżenia, upomnieniem i przestrogą, wyrażał niezłomną postawę ogromnej większości Polaków. Świat zachodni w ciągu pierwszych lat po wojnie nie widział, czy nie chciał widzieć rozmiarów własnej klęski. Patrzył bezczynnie, jak pod okiem jego ambasadorów narzucony Polsce reżim grzebał resztki swobód obywatelskich, jak najwierniejsi sprzymierzeńcy — żołnierze Armii Krajowej

szli do więzień Bezpieki. Patrzył biernie na rozbijanie ostatnich pozorów wolności w Czechosłowacji i na Węgrzech.

Później, kiedy zrewoltowany tłum młodzieży i robotników w Poznaniu wołał wielkim głosem: „Chleba i wolności“, kiedy wybuchło powstanie w Budapeszcie, Zachód umiał tylko zdobyć się na hamletowskie „słowa, słowa, słowa...“. I dziś jeszcze nie widzimy na Zachodzie jasnego programu, twórczej myśli, szerokiej inicjatywy. Po tylu latach nasi dawni sojusznicy każą nam cierpliwie czekać na prosty akt rozumu i elementarnej sprawiedliwości: ostateczne uznanie naszej granicy zachodniej.

Ale świat nie stoi w miejscu. Wicher przemian przeciąga nad naszymi głowami. Wiązania imperium sowieckiego trzeszczą pod naporem narodów ujarzmionych, lecz niepokonanych, które coraz gorzej znoszą rygor narzuconego przez Moskwę systemu. W umysłach ludzkich powoli dojrzewa zrozumienie prostej prawdy, którą przed stu laty wyraził wielki Prezydent Stanów Zjednoczonych słowami: „Świat nie może żyć w połowie wolny, w połowie niewolny“. Przed dwudziestu laty nasza stara Europa była wielkim rumowiskiem i wielką niemową. O jej losach, podobnie jak o naszych losach, decydowano na Krymie bez jej udziału. Dziś odbudowana z ruin, jednoczy swe siły. Głosem Francji upomina się o swe prawa. Może jutro upomni się o te narody, które do niej ciążą całą siłą swej tradycji historycznej.

Nie wolno nam tedy ustawać w pracy. Nie wolno poddawać się zwątpieniu. Jeżeli dziś rozpamiętujemy jedną z największych klęsk w naszych tysiącletnich dziejach, to jedynie dlatego, aby z tych gorzkich doświadczeń wydobyć męską determinację i wolę działania. Chcemy być w wolnym świecie głosem Polski niezwyrodniałej, nieśmiertelnej.

DYSKUSJA

Po referacie głos zabierali zgłoszeni mówcy.

P. B. Podoski (LNP) zajął się obszerniej sytuacją na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, na których odbywa się intensywny proces rusyfikacji. P. A. Jakubowicz (S. P) zwrócił uwagę na stronę moralną zagadnienia i odstąpienie przez zachodnich mężów stanu od zasad chrześcijańskich przy zawieraniu układu jałtańskiego. Państwa anglosaskie na skutek flirtu z krwawym tyranem Rosji straciły kapitał zaufania i choć wygrały wojnę przegrały pokój.

EMIGRACJA I PRÓBY JEJ ROZŁOŻENIA

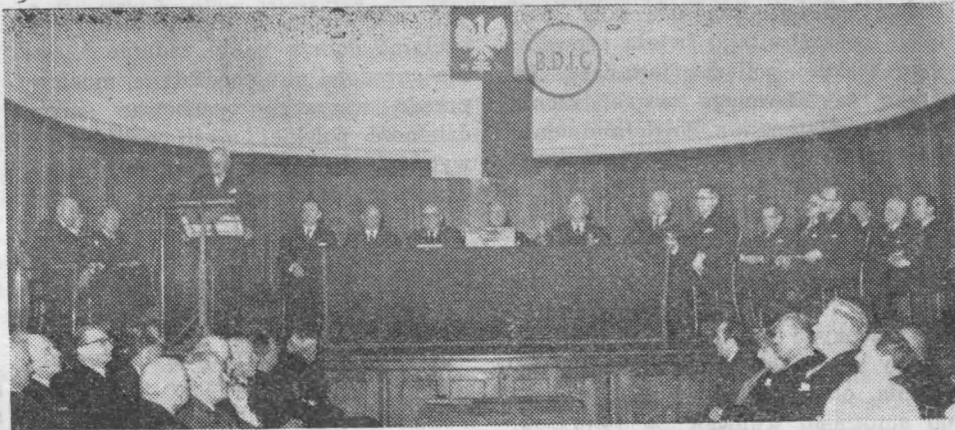
P. S. Lis (NGS). Po nakreśleniu fatalnych następstw międzynarodowych zmowy jałtańskiej i tragicznego położenia w jakim znalazł się nasz kraj, gdzie do głodu, nędzy i zniszczeń dołączyły się potworności terroru komunistycznego, prześladowań, wywłaszczeń, aresztowań i masowych zsyłek do Rosji, mówca przechodzi do zjawiska emigracji politycznej, która była protestem przeciwko pogwałceniu solennych umów i deklaracji naszych aliantów. „20 lat temu pozostaliśmy poza krajem, aby nie pozwolić zapomnieć ludziom, iż pozabawienie Polski wschodniej połowy jej terytorium, narzucenie siłą obcego jej duchowi ustroju z jednoczesnym podporządkowaniem Rosji Sowieckiej, jest sprzeczne z elementarnymi zasadami sprawiedliwości międzynarodowej, jest niewolą kraju, który za umiłowanie wolności, za gotowość do ofiar w jej obronie nazwano „natchnieniem świata“... Emigracja pozostała jedynym głosem, upominającym się o przywrócenie Polsce niepodległego bytu i jako ostatni bastion, przeszkoda w usankcjonowaniu zbrodni jałtańskiej była od początku po dzisiaj przedmiotem nieślabnącego „zainteresowania“ reżymu warszawskiego zmierzającego do moralnego jej rozbrojenia wszelkimi sposobami, z których winniśmy zdawać sobie sprawę. Najniewinniejsze nawet kontakty z czynnikami reżymowymi prowadzą pośrednio do neutralizacji postawy niepodległościowej. Propaganda reżymowa stara się zatrzeć linię podziału między narodem polskim a reżymem. Reżym reprezentuje naszego głównego wroga — komunizm. Mamy obowiązek lojalności i miłości w stosunku do narodu, ale nie w stosunku do reżymu, reprezentującego dziś państwo polskie.

W tym stanie rzeczy należy zwracać uwagę i przestrzegać całe społeczeństwo polskie, a zwłaszcza tych, którzy bagatelizują niebezpieczeństwo i wskutek tego nie zdają sobie sprawy z konsekwencji swojego postępowania. Przegrana w tej walce z reżymem musi w ostatecznym rezultacie doprowadzić do zniszczenia lub degeneracji politycznej naszych organizacji.

Nie wolno przemilczać reżymowych posunięć propagandowych i rozbijających — w prasie emigracyjnej, w rozmowach prywatnych i na zebraniach publicznych. Jedyną logiczną postawą polityczną polskiego uchodźstwa jest zwalczać aktywnie ideologię, propagandę, instytucje, organizacje i agentów komunistycznych. Tylko zachowując naszą jedność, siłę moralną i wiarę, możemy

PUBLICZNE POSIEDZENIE R.J.N. W ROCZNICĘ JAŁTY

Z lewej strony Rada Trzech: gen. T. Bór-Komorowski, gen. W. Anders i amb. E. Raczyński. Przy stole prezydiálním: pp. M. Cybulski, A. Urbański, B. Podoski, T. Bielecki, St. Lis, F. Buczek i W. Wojtecki. Z prawej, członkowie Egzekutywy z prezesem A. Ciołkoszem. Przemawia: dr W. Czerwiński.



przetrwać lata niewoli i wygnania, do-
czekać słonecznego dnia nowej wiosny.

P. A. Treszka (S. N.) mówiąc o
wszechstronnej obronie polskich intere-
sów narodowych stwierdził: „Ziemie za-
chodnie — zabór najdawniejszy sprzed
setek lat — teraz dopiero wróciły do
Polski w imię sprawiedliwości i naszych
odwiecznych praw. Powrót ten jest pew-
nym zadośćuczynieniem za zbrodnie i

szkody wyrządzone przez Niemców, Zie-
mie wschodnie — zabór lat ostatnich —
na tej samej zasadzie muszą także do
Polski powrócić. W jednym i w drugim
wypadku chodzi o naprawienie krzywd,
obojętnie, który wróg je wyrządził“.

P. A. Urbański (PPS) podniósł, że
skoro ujarzmiony naród nie może pro-
testować przeciw haniebnym postano-
wieniom Jałty, obowiązkiem emigracji

politycznej, naszego Zjednoczenia Na-
rodowego jest prowadzenie w wolnym
świecie jak najenergiczniej akcji, zmie-
rzającej do wyzwolenia państwa pol-
skiego i narodu polskiego z niewoli ko-
munistycznej i zlikwidowania skutków
postanowień jałtańskich.

Jako ostatni zabrał głos dr Z. Stahl
(niezrzeszony), którego przemówienie
zamieszczamy poniżej. (a)

ZDZISŁAW STAHL

Jałta wewnętrzna — zagadnienie wciąż aktualne

*Przemówienie na zebraniu publicz-
nym Rady Jedności Narodowej w
Londynie w dniu 13 marca 1965.*

Zagadnienie Jałty z okazji jej dwu-
dziestolecia omówiono już z wielu
punktów widzenia. Przedstawiono jej
historię i fatalne następstwa, zdrad-
liwą zaborczość Rosji Sowieckiej i
opuszczenie Polski przez jej zachod-
nich sprzymierzeńców. Wskazano na
ich polityczną krótkowzroczność i
zlekceważenie międzynarodowej mo-
ralności.

Mało jednak powiedziano o jednej,
szczególnie przykrych a ważnej stronie
Jałty: o naszej wewnętrznej. A prze-
cież, niestety, mieliśmy i naszą Jałtę
wewnętrzną. Mieliśmy przywódców
politycznych, którzy bez przymusu i
z krajów wolnych, zupełnie dobro-
wolnie albo tylko za namową zachod-
nich rządów, czy zachodniej opinii,
opowiedzieli się za Jałtą. Ułatwili tak
obcym zdradzieckie okaleczenie i u-
jarzmienie naszego kraju.

Zrobili to w najlepszych wypad-
kach pod wpływem słabości, rozczar-
owania, małoduszności czy rzekome-

go realizmu politycznego. Ten „po-
lityczny realizm“, to był chyba naj-
ważniejszy argument, używany w sto-
sunkach do polskich przywódców na
emigracji ze strony zachodnich mężów
stanu czy zachodniej publicystyki.
Mocarstwa świata wolnego postanowi-
ły ugodzić się z Sowietami, koegzysto-
wać z nimi kosztem Polski i środko-
wo-wschodniej Europy. Naszym jał-
tańczykom tłumaczono jednak i — co
gorsze — potrafiiono wytłumaczyć, że
Jałtę powinni przyjąć także w imię
polskiego, „realistycznie“ pojętego in-
teresu narodowego.

Głoszono szereg tez na poparcie
tego realizmu. Rosja po wojnie uleg-
nie nieuchronnej demokratyzacji, bo
jak stwierdzano żołnierz sowiecki,
który zobaczył Europę, po powrocie
do swego kraju nie zniesie tyranii.
Tłumaczono, że przeciw słowu Stalina
należy wierzyć i zapowiedziane zmo-
wą jałtańską wybory w Polsce będą
naprawdę wolne. Pouczano wtedy z
mądrymi minami „nierealistycznych“
Polaków, że wierzyć w te — dziś
wiemy wszyscy, jak wielkie złudzenia
— to był właśnie polityczny realizm.

Czy warto przypominać tę wew-
nętrzną stronę Jałty? Czy warto
stwierdzać przykry fakt, że mieliśmy
ją — choć w małej proporcji — rów-
nież na wewnątrz? Myślę że warto
i nawet trzeba na ten punkt smutne-
go doświadczenia historycznego, choć-
by najzwyczajniej wskazać, ponieważ
mamy tu do czynienia ze zjawiskiem
nie tylko historycznym. Te wewnętrzne
słabości, które powodowały kiedyś
naszymi jałtańczykami, to zjawisko,
niestety, dalej aktualne i zawsze gro-
żące politycznemu życiu, zwłaszcza w
naszych uchodźczych warunkach.

Uległość obcym, także naszym za-
chodnim — kiedyś w przeszłości a
może i na przyszłość — sprzymierzeń-
com, uległość także wtedy, kiedy pro-
wadzą politykę sprzeczną z naszymi
interesami, to grozi nam i teraz. Gro-
zi nam tym bardziej, im dłużej prze-
bywamy za granicą, im bardziej tra-
cimy duchowe i materialne podstawy
niezależności, im więcej nas tonie w
obczyźnie.

Świat wolny, to nasz potencjalny
sprzymierzeniec, do świata wolnego
chcemy z całym naszym krajem i na-

rodem należeć. Rządzące koła głównych mocarstw tego świata prowadzą jednak dalej politykę jałtańską. Politykę tak zwanego współistnienia, czy koegzystencji z Sowietami, dalej starają się nas, co jakiś czas — jak po roku 1956 i za Chruszczowa — przekonywać, że Rosja się demokratyzuje, że polityczny realizm nakazuje nam wypatrywać drobnych sukcesów, a rezygnować z niepodległości i utraconych w Jałcie terytoriów. Gdyby zrobić rzetelny rachunek sumienia, obawiam się, że doszlibyśmy do smutnego wniosku, że jałtańczyków i Jałty mamy dziś dużo więcej na wewnątrz, niż mieliśmy jej przed dwudziestu laty.

I znowu te same słyszymy za neojałtańską polityką argumenty. Znowu poucza się nas, często nawet słowami rodaków, że Rosja i komunizm się demokratyzują, że reżymy bloku sowieckiego zyskują coraz większą autonomię i że to powinno nam wystarczyć. Mamy wyrzec się celów zasadniczych a poprzestać na okruchach.

W miarę upływu czasu naciera na nas obczyzna, obce pojęcia polityczne do nas przenikają, zaciskają się dookoła naszej własnej postawy narodowej. I w miarę upływu czasu niektórzy czynni działacze włączają się — z dobrymi nawet intencjami — w obce ogniwa i akcje polityczne. Zachodzi w nich jednak nieraz proces półświadomego albo świadomego zacierania się różnicy pomiędzy polskim a innymi, kiedyś równoległymi, punktami widzenia. A przecież polityka polska nie może być funkcją ani pochodną polityki innych rządów, także zachodnich i zwłaszcza, gdy stoją one dalej na stanowisku jałtańskiego podziału świata i zaledwie powstrzymywania dalszej ekspansji sowieckiej.

I jakże często nasza antykomunistyczna postawa, wynikająca przede wszystkim z dążenia do odzyskania niepodległości Polski, wyzyskiwana bywa przez obcych, ale tylko do granic ich własnego interesu. Do interesu zadowolającego się dywersją, nieraz wręcz szkodliwą dla narodów, na których obszarach się ją przeprowadza.

W takiej sytuacji konieczne jest zachowanie odporności na sprzeczne z naszymi interesami, obce argumenty i sugestie: amerykańskie czy brytyjskie, nawet francuskie, nie mówią

już, oczywiście, o niemieckich. Aby spełniać dobrze nasze zadanie służenia narodowi na uchodźstwie, musimy przede wszystkim zachować samodzielność polskiej myśli politycznej, wytrwać wierność zasadom i programowi, który wyznajemy.

Jako Rada Jedności, stoimy na gruncie idei, sformułowanych przed 11 laty w Akcie Zjednoczenia. Jest to dążenie do niepodległości państwa polskiego w granicach integralnych, tego co posiadamy na zachodzie i do czego mamy prawa na wschodzie. Naszą wytyczną organizacyjną jest jednoczenie ugrupowań politycznych na gruncie tego programu. Naszą wytyczną moralną jest samodzielność, niezależność od obcych, oparta o własne środki materialne: o skarb narodowy.

KAZIMIERZ GLABISZ

SILY ZBROJNE UKŁADU WARSZAWSKIEGO

Układ warszawski, zawarty w 1955 roku, a będący propagandową odpowiedzią na przyjęcie Niemiec Zachodnich do NATO, niewiele zmienił w istniejącym od dawna stanie rzeczy, t. z. całkowitej zależności satelickich sił zbrojnych od Moskwy. Tyle, że powołał do życia doradczy komitet polityczny, składający się z I. sekretarzy partii komunistycznych oraz premierów i ministrów obrony i spraw zagranicznych wszystkich członków O. U. W., nazwanych „stronami“. Również włączenie przedstawicieli satelickich sił zbrojnych do naczelnego dowództwa sił O. U. W. nie zwiększyło ich wpływów, bo wszystkie kluczowe stanowiska zajęli i nadal zajmują marszałkowie i generałowie sowieccy.

Spośród pierwotnych członków O. U. W., t. z. Sowietów, Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii Węgier i Albanii, zbuntowaną Albanią od końca 1961 już tylko na papierze do niego należą, bojkotując wspólne narady i prace. Za to przyjęto do tej organizacji w 1957 roku N. R. D., czyli Niemcy Wschodnie, mimo początkowych zastrzeżeń i oporów P.R.L. i Czechosłowacji.

Naczelne dowództwo sił zbrojnych O. U. W. mieści się w Moskwie, ma jednak wysunięty eszelon w Mińsku Litewskim. Naczelnym dowódcą jest od lipca 1960 roku, po marszałku Koniewie, marszałek Greczko, będący równocześnie 1-szym wiceministrem obrony Z.S.R.R. Jego szefem sztabu jest od czerwca 1962, t. z. od śmierci gen.

Ostatnio, słyszymy czasem głosy krytyczne o Zjednoczeniu. Myślę, że są niesłuszne i że lepsze było by wrogiem tego dobrego, co tu mamy. To, czego nam potrzeba, to — moim zdaniem — nie porzucenie czy rewizja, ale pełna realizacja Aktu Zjednoczenia. Odbudowanie instytucji oraz możliwie najpełniejsze — jedności politycznej na gruncie sformułowanych w tym Akcie zasad.

Osiągnięcie takie wzmocniło by, a gdzie trzeba przywróciło zaufanie szerokich kół społeczeństwa na uchodźstwie i w kraju do kierownictwa samodzielnej polityki polskiej. Wzbogaciło by skarb, jako własną podstawę materialną tej pracy. Stało by się nowym bodźcem i źródłem mocniejszej wiary w przyszłość.

Zdzisław Stahl

Antonowa, gen. Batow. Dowództwu temu podlegają dowództwa północnej i południowej grupy sił O.U.W.

Naczelnemu dowództwu sił O.U.W. podlegają bezpośrednio lub pośrednio wszystkie operacyjne siły lądowe i powietrzne państw satelickich i prawdopodobnie także wszystkie sowieckie wielkie jednostki wojskowe i lotnicze, stacjonowane na obszarze państw satelickich. Któremu dowództwu sowieckiemu podlegają w ramach „zjednoczonych sił“ zbrojnych satelickie siły morskie, nie jest jasne. Czy marszałkowi Greczko podlegają jakiekolwiek oddziały sowieckie stacjonowane w zachodnich okręgach wojskowych ZSRR, nie wiadomo. Tak czy inaczej nie tylko one wzmocniłyby w razie konfliktu front zachodni sowiecko-satelickiego bloku.

Wkład poszczególnych „stron“ O.U.W.

ZSSR. Choć na obszarach satelickich stacjonuje obecnie „tylko“ około 26 dywizji sowieckich, mianowicie 19-20 w N.R.D., 2 w P.R.L. i 4-5 na Węgrzech, a więc znacznie mniej niż dywizji satelickich, których jest ponad 60, już te dywizje sowieckie stanowią główny kościół „zjednoczonych sił“ O.U.W. Nie tylko dlatego, że są przeciętnie lepiej uzbrojone i wsparte potężniejszą bronią pancerną oraz artylerią deszypacyjną, ale także dlatego, że mogą być dość szybko zasilone dodatkowymi dywizjami sowieckimi. Na ogół przypuszcza się, że już w I.

fali dołączyłoby mogło do 50 dywizji sowieckich, w tym 3 spadochronowe.

Ilościowy stan lotnictwa sowieckiego, stacjonowanego na obszarach satelickich odpowiada mniej więcej sumie satelickich sił powietrznych, ale jego jakość (pod względem sprzętu i wyszkolenia) jest przeciętnie wyższa.

Jeśli idzie o satelickie siły morskie, to są one nadal tylko nieznacznym uzupełnieniem bałtyckiej względnie czarnomorskiej floty sowieckiej.

W dziedzinie raketowej wkład sowiecki jest niemal stuprocentowy, bo satelickie oddziały raketowe mają tylko rakiety pola walki i przeciwlotnicze, t. zn. nie dysponują nie tylko międzykontynentalnymi, ale nawet średniodystansowymi raketami o głowicach atomowych lub wodorowych. Wiadomości odnośnie sowieckich wyrzutni raket średniodystansowych, zainstalowanych rzekomo wzdłuż południowego brzegu Bałtyku, w Karpatach i w Turynii, są sprzeczne i niepewne.

Polska. Wkład P. R. L. do wspólnego „poolu“ O. U. W. jest po sowieckim największy. Zarówno pod względem liczebnym i organizacyjnym, jak i pod względem poziomu wyszkolenia. Wojsko regularne składa się z 14 dywizji, w tym 4 pancernych i 1 spadochronowej, jednak podobno przystąpiono już do tworzenia 2 dodatkowych dywizji, w tym 1 pancernej. Jego stany liczebne, ulegające wahaniom w związku z częstym powoływaniem rezerwistów na ćwiczenie, wzrosły ostatnio wskutek przyspieszenia poboru o jeden rok. Poza tymi siłami operacyjnymi, podlegającymi dowództwom O. U. W., istnieją oddziały i urzędnictwo terytorialne oraz dobrze uzbrojone korpusy Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Ochrony Pogranicza, liczące około 50.000. Stopień uzbrojenia i zmotoryzowania wojsk regularnych jest wysoki. Również ich wyposażenie jest na poziomie. Nie posiadają one wprawdzie artylerii najcięższej, przynajmniej w znaczniejszej ilości, ale za to posiadają, podług oceny brytyjskiego „instytutu studiów strategicznych“ do 3.000 czołgów. Ciężki sprzęt, zresztą wyłącznie sowieckiego typu, jest już także w Polsce produkowany.

Lotnictwo, liczące co najmniej 45 tysięcy personelu i ponad 1.000 samolotów, składa się, podług wspomnianego instytutu brytyjskiego, z 9 pułków myśliwskich, mających Mig-17, 19 i 21, jednostek rozpoznawczych i 2 pułków lekkich bombowców Il-28. Inne źródła operują odmiennymi cyframi.

Marynarka wojenna, mająca około 12.000 personelu, składa się z 3 niszczycieli, 8 okrętów podwodnych, w tym 6 małych, eks-sowieckich klasy M

i 2 polskich, nieco większych, 15 trałowców, 25 łodzi patrolowych, 20 motorówek torpedowych, 70 samolotów i równej ilości statków pomocniczych. Za to tonaż floty handlowej sięga już 1 miliona ton.

Czechosłowacja. Wojsko, aczkolwiek mniej liczne niż polskie, składa się podobno również z 14 dywizji, mianowicie 4 pancernych, 8 zmotoryzowanych i 2 górskich. Jego uzbrojenie i wyposażenie, zresztą bogate, pochodzi przeważnie z czeskich wytwórni. Czołgów jest rzekomo również około 3.000. Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego liczy ca 35.000. Do tego dochodzą stosunkowo liczne wojska graniczne. Siły powietrzne są niewiele mniejsze niż polskie, a sprzętowo bodaj lepsze, ale pod względem wyszkolenia i morale podobno mu nie dorównują. Sił morskich z natury rzeczy nie ma.

Rumunia. Kraj ten ma wprawdzie dość liczne wojsko lądowe, ale jego siły powietrzne i morskie są słabe ilościowo i jakościowo. Wojsko składa się z 12 dywizji, przeważnie zmotoryzowanych lub górskich, i jest gorzej uzbrojone i wyposażone niż polskie czy czechosłowackie, co tłumaczy się małą wydajnością własnego przemysłu wojennego i brakiem nacisku Moskwy na unowocześnienie. Z tych samych przyczyn lotnictwo rumuńskie ma podobno tylko 300 samolotów bojowych. Za to wojska bezpieczeństwa wewnętrznego i ochrony pogranicza liczą aż 60.000, a flota wojenna składa się, podług Janesa „The fighting ships“, z 2 starych niszczycieli eks-włoskich, 6 małych fregat eks-sowieckich, 2 starych rumuńskich i 6 małych eks-sowieckich okrętów podwodnych (klasy „Szcza“ wzgl. „Q“), 15 trałowców (przeważnie eks-niemieckich) i pewnej ilości jednostek patrolowych i pomocniczych.

Bułgaria. Wojsko, składające się z 11 dywizji, w tym 3 panc., prezentuje się dobrze i ma blisko 2.000 czołgów — oczywiście także wyłącznie sowieckiego typu. Stosunkowo nieliczne są natomiast wojska pograniczne i wewnętrzne, liczą bowiem tylko 15.000 do 20.000. Lotnictwo, mające ok. 20.000 personelu i 450 samolotów operacyjnych, jest wprawdzie liczniejsze i lepsze od rumuńskiego, ale też raczej na intercepcję niż na działania zaczepne nastawione. Marynarka wojenna, której personel nie przekracza 5.000, posiada m. in. 3 małe niszczyciele i 3 małe okręty podwodne.

Węgry. Wojsko zostało wprawdzie po powstaniu 1956 roku zredukowane z 11 do 5 dywizji, jest jednak obecnie unowocześniane i do dwu korpusów rozwijane, w związku z czym tworzy

się dodatkową drugą dywizję pancerną, a ogólna ilość czołgów ma wzrosnąć do 1.000. Korpus bezpieczeństwa wewnętrznego liczy mimo to nadal ok. 35.000. Również korpus ochrony pogranicza jest nadal duży. Za to nieznaczyla się dotychczas rozbudowa lotnictwa wojskowego, mającego rzekomo tylko ok. 150 samolotów i szczególnie ściśle przez „doradców“ sowieckich kontrolowanego.

Albania. ma tylko 1 niepełną i słabo uzbrojoną dywizję i bardzo słabe lotnictwo, ale jej miniaturowa marynarka wojenna ma 4 sowieckie okręty podwodne, swego czasu gwałtem w Sassano zatrzymane.

Niemcy Wschodnie. Wojsko składa się wprawdzie tylko z 6 dywizji, w tym 2 pancerne, ale jest od roku unowocześniane i opiera się na wyjątkowo silnych oddziałach ochrony pogranicza i bezpieczeństwa wewnętrznego (ok. 70.000) oraz na bardzo rozbudowanym P. W. oraz bojówkach partyjnych i zakładowych („Kampfgruppen“), liczących ok. 350.000. Lotnictwo, składające się z 2 dywizji i 1 dywizji p-lot, ma już ca 450 samolotów i rakiety p-lot, natomiast marynarka jest słaba.

Możliwości formowania, w razie konfliktu, rezerwowych jednostek satelickich są — w razie dostarczenia przez Sowietów sprzętu — dość znaczne. Natomiast ich postawa i postawa regularnych oddziałów nie byłaby pewna, choć ich kadra jest przeważnie oddana reżimom komunistycznym. Nastroje w szerokich masach żołnierskich odpowiadają na ogół — mimo wyteżonej obróbki propagandowej — nastrojom ich zapleczy, t. zn. ludności danych krajów, jak wiadomo, bardzo różnym. Toteż dużo zależałoby od typu i przebiegu działań, a w wypadku żołnierza polskiego, czechosłowackiego i wschodnio-niemieckiego dodatkowo od roli zachodnio-niemieckiej „Bundeswehr“.

Kazimierz Głabisz

NOWE WYDANIE

głośniejszej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

CUD

OPOWIADANIE

WŁAŚNIE wyłączyłem radio po wysłuchaniu symfonii Pater Noster z Halle. Cóż to za wspaniała muzyka. Nowoczesna, ale prosta i zrozumiała. Pater Noster... Słowa Modlitwy Pańskiej dźwięczą w tym utworze muzyczną kantatą i człowiek czy chce, czy nie chce powtarza pod melodię natchnionej muzyki Szymona „Ojcie nasz...” I pomyśleć tylko, że byłem świadkiem narodzenia się tego dzieła, tego... cudu. Chociaż nie, nie to było cudem, że Szymon powrócił do komponowania. Może cudem jest łaska przebaczenia ukryta w każdym z nas?

Bardzo mi tu samotnie w Londynie. Lata płyną, przyjaciele i koledzy wymierają, coraz to czyjś pogrzeb — niemal jedyna już rozrywka dla nas — niedobitków ostatniej wojny... I praca nieciekawa i ludzie w klubie polskim coraz nudniejsi. Właściwie to już zostało mi tylko to radio wieczorem, polska gazeta i wspomnienia.

Ach, wspomnienia. Przyjechałem tu młody, pełen jeszcze wiary w sprawiedliwość życiową i we własne możliwości. Teraz codziennie patrzę z rana w lustro przy goleniu i pytam: „Czy to ty Antek, ten sam który we wrześniu 39-go na wojnę szedł jak na wesele? Czy to ty — ten co w dziewięćset czterdziestym rozkochał w sobie wszystkie szkockie dziewczęta z osady Brannock pod Glasgowem? Czy to ty — ten spod Falaise? Ty — stary dziad o siwej głowie?

No trudno. Dziś piszę mój dziennik w nastroju pełnym pokory. To ten koncert z Halle, Pater Noster, Szymon i... ten cud?

Z Szymonem bawiliśmy się razem w piasku, razem zdawaliśmy matu-

rę. Z Szymonem wyszliśmy z naszym 77-tym pułkiem piechoty na zwycięską wojnę z najeźdźcą. Uciekaliśmy razem z Francji, razem też siedzieliśmy w Szkocji, a potem razem pruliśmy czołgami ziemię normandzką i zdobywali Niemcy, odbijali polskie obozy.

O Szymonie jeszcze w konserwatorium warszawskim mówiono, że to prawie geniusz. Byleby tylko był pracowitszy. Gdyby się tak umiał skupić porządnie, tak wziąć za siebie — no to, ho, ho — byłby chyba z niego drugi Szymanowski.

Przed samą wojną Szymon ożenił się. Jego żona Halszka miała najpiękniejsze oczy jakie widziałem w życiu i długie, proste, rude włosy. „Wodnica“ mówił o niej Szymon, „Rusałka“. „Napiszę dla niej kiedyś symfonię“. Ale nigdy nie napisał. I tu w Londynie, w moim mieszkaniu chciał ją zabić.

W Halszce kochałem się na umór. Wszyscy koledzy Szymona kochali się w niej potrosze. Co do mnie, to pewnie i dzisiaj jeszcze kocham. Ciekaw jestem, czy posiwała tam w Argentynie w tej ciężkiej pracy na farmie ze swoim nowym mężem? Czy rude rusałki mogą osiwieć? Nie pisze do mnie nigdy. Zresztą o czym miałyby pisać? O przeszłości? O Jacusiu?

Ich synek Jacuś miał włosy matki i chmurne oczy Szymona. Gdy wychodziłem z Warszawy do pułku w sierpniu trzydziestego dziewiątego mój chrześniak Jacuś miał dwa lata. Halszka stała na balkonie, na którym rosły w ogromnych donicach krzaki białych róż. Trzymała na rękach Jacusia i płacząc zrzucała na nas z piętra białe różane płatki. Wołała do Szymona: „Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj nas...“ A Szymon tylko głowę pochylił, zdjął z ramienia płatek róży, szarpnął mnie za rękę i wybiegł za bramkę ogrodu. Z ulicy ja raz jeszcze obejrzałem się. Jacuś machał rączką ku niebu, a Halszka trzymała w zaciśniętej dłoni białą gałązkę. Jej rude włosy, delikatne jak przędza, uniosły się na wietrze i długim pasmem omotały twarz. Tak na tym warszawskim balkonie została na wojnę.

Z Szymonem przeżywaliśmy nie tylko klęski wojenne — przeżywaliśmy także wspólnie Powstanie Warszawskie. Jeszcze mi dzisiaj trudno o tym pisać. Te komunikaty z War-

szawy, ta twarz Szymona przyciśnięta do odbiornika radiowego w każdej wolnej chwili — twarz nabrzmiała takim bólem, że przy nim mój własny ból, własny niepokój i rozpacz wydawały się jakieś małe i nieszczerze. Ja także miałem swoich w Warszawie — matkę, siostrę. Ale nie miałem żony-rusałki, bezbronnej, niezyciowej Halszki i nie miałem syna. Gdy komunikat oznajmił pewnego dnia, że najcięższe walki przeniosły się na ulicę, przy której stał domek Szymona, odwrócił się nagle od radia i powiedział: „Moje prace, moje partytury, mój niedokończony koncert. Boże, spal to wszystko, zabierz... Boże miej w Swej opiece Halszkę i Jacusia“. I zakrył oczy rękami. „Bo wiesz — powiedział po chwili — ja nigdy nie potrafiłbym już zrekonstruować tego co zacząłem przed wojną. Wojna przecięła we mnie jakiś nurt i pamięć tamtych zamierzeń. To już we mnie nie odzywa się melodią, ani układem... Mógłbym zacząć jedynie od nowa — ale tylko z nimi, z Jacusiem i Halszką, w blasku ich życia w blasku życia Jacusia...“. Zamknął odbiornik, podciągnął na sobie ryszstunek, bo byliśmy przecież już wtedy w pełni walki na ziemi normandzkiej w tym pamiętnym roku 44-tym. Więc poprawił pas i hełm jakimś zdecydowanym, desperackim ruchem i dodał: „Ty pewnie nie zrozumiesz tego co powiem. Widzisz — syn, dziecko. Ale to nie tylko to. On jest podobny do matki, do Halszki — do mojej kobiety. Ja w Jacusiu widzę spełnienie tego, do czego dążyli zapewne niegdyś Grecy — do harmonii przyjaźni i miłości. Jest to stan ducha prawie nieosiągalny, a raz znaleziony — niezastąpiony. Taki stan absolutnej harmonii z życiem znaleźć można jedynie we własnym synu. Taki stan jest jak harmonia muzyczna — w swym doskonałym połączeniu miłości zmysłowej i duchowej — w męskim porozumieniu się z własnym synem, synem, na którego niewinnej twarzy odbijają się rysy umiłowanej cieleśnie kobiety. Dopiero z własnym synem można zachłysnąć się całą pełnią najwspanialszej męskiej przyjaźni, takiej przyjaźni, do jakiej żadna kobieta nie jest zdolna, mistycznej przyjaźni. Ja z moim Jacusiem będę tak właśnie się przyjaźnił, zobaczysz. I wtedy zapewne stworzę moje najlepsze dzieło“. „Jeżeli...“

dodał, spojrzął na odbiornik i rozpląkał się.

W roku 45-tym to mnie przypadło w udziale odnaleźć Halszkę w niemieckim obozie. Szymon leżał w szpitalu w Szkocji kontuzjowany w nogę, nie mógł wylizać się z tej rany przez długie miesiące. Przywiozłem ją, a właściwie przeszwarcowałem używając tysiąca wybiegów — do Anglii.

Pamiętam jak wchodziła na salę szpitalną — drżała, zamykała oczy, jak gdyby chciała odwlec ten moment spotkania. Taka szczuplutki już była wtedy, że bałem się, że mi się złamie jak kwiat, jak kwiat białej róży z balkonu w Warszawie, że nie dojdzie do łóżka Szymona, że umrze ze strachu i z bólu i z oczekiwania. A przecież tylko ona mogła mu powiedzieć, że Jacus został tam pod gruzami willi, że w gruzach tych sąsiedzi znaleźli tylko jego czerwony sandalek.

Nie wiem jak Szymon to przeżył. Najpierw nie mógł zrozumieć, po prostu nie mógł pojąć tego co się stało. Patrzył na Halszkę i mówił: „Jakto? Jakto Halszko — Jacus?“. A gdy ona płacząc się w swej opowieści i płacząc chciała raz jeszcze rozedrzyć się do dna wspomnieniem tamtych chwil — uchwycił ją za rękę i krzyknął: „nie, nie mów, nie mów. Niech Jacus żyje we mnie... o, kobieto moja, kobieto...“ I objęli się razem na tym łóżku szpitalnym, nieświadomi otaczających ich ludzi i trwali bez ruchu pomnikiem rozpacz, osieroceni rodzice.

Ze Szkocji przenieśliśmy się do Londynu. Mieszkaliśmy razem tu, w moim obecnym mieszkaniu. Aż wreszcie z Warszawy przyjechała Tosia. Przyjechała na zagraniczny szaber. Na pieniądze zawsze była chytra jak mucha. Jakoś dostała paszport, znalazła przyjaciół w Anglii. W Londynie sprzedawała spirytus, kiełbasę i kilimki, nie wiem jak ją z tym wszystkim puścili przez granicę — a kupowała penicylinę i kawę. Z Szymonem spotkała się w kawiarni, bo do nas do domu przyjść nie chciała. „Kuzynie — powiedziała w tej kawiarni do Szymona — kuzynie, już teraz chyba można o tem mówić, kuzyn już przeboleł. Ale ja kuzynowi muszę powiedzieć, że Halszka miała w Warszawie kochanka. I że jak ten nalot, kuzyn wie, w którym Jacus... to ona właśnie była u niego, a Jacus sam

został w piwnicy... tak kuzynie, sam w piwnicy...

Tego wieczoru w tym pokoju, o tam, w tamtym rogu koło szafy, Szymon chciał zabić Halszkę. Przyparł ją do ściany i zaczął dusić. Ledwo go od niej oderwałem. A ona niczemu nie przeczyła, nie broniła się ani jednym słowem. Milczała. I znów wydało mi się, że się zaraz złamie w pół, że zaraz umrze z własnej woli i chęci, bo chyba tylko na śmierć miała ochotę i przedtem i wtedy.

Później, gdy wyjeżdżała do Argentyny, tej nocy w Southampton, w małym hoteliku gdyśmy czekali na przyjazd jej nowego męża, powiedziała mi w paru słowach o śmierci Jacusia. Mówiła nie dlatego, żeby się usprawiedliwić, nie, to jej nawet nie przyszło do głowy. Powiedziała mi: „Chciałabym, żebyś wiedział, że to wszystko prawda, że mnie nie trzeba kochać ani żałować, bo ja się do życia nie nadaję. Do takiego normalnego życia z dziećmi, z domem, z odpowiedzialnością... „Dlaczego, spytałem. Dlaczego w takim razie znowu próbujesz życia z człowiekiem, którego tak mało znasz, dlaczego wyjeżdżasz z nim na ciężkie życie?“ I chciałem dodać: „zostań ze mną“, ale nie powiedziałem tego. „Będzie się mną opiekować“ odparła. „Będę robić co mi powie. Nie będę myśleć o życiu. Antku, ja nie nadaję się do tego, żeby wiesz — zdecydować, zarobić samej, starać się... nie, ja nie umiem. To dlatego właśnie wtedy w Warszawie znalazłam tamtego mężczyznę — dla Jacusia, żeby ktoś o nim myślał, dla mnie — żebym się mniej bała, bo ja się strasznie bałam, Antku. Ty nie wiesz jak przeraźliwie można się bać i ludzi i kuli i bomby... A kiedy wybuchło Powstanie, gdy na naszej ulicy zaczęły się sypać domy i ludzie krzyczeć w piwnicy i modlić się — nie, nie wytrzymałam. Wiedziałam, że tam na górze jest tamten — silny mężczyzna, który myślał i decydował za mnie przez wszystkie lata wojny. Wybiegłam wtedy z tej piwnicy jak szalona. Nie, nie myślałam o Jacusiu, ani nawet o sobie... ja biegłam i biegłam i...“

Nic więcej nie powiedziała. Ja też milczałem, bo cóż mogłem powiedzieć? Pomyślałem sobie tylko, sam nie wiem dlaczego, o kuropatwach na między w moich stronach, na Białorusi. Jak to taka matka kuropatwa

skrzydłami przy ziemi bije i leci niezłutko nad bruzdą, ażeby myśliwego od piskłat odstraszyć. No cóż, Szymon nazywał ją Wodnicą-Rusałką. Czy Rusałki są obdarzone instynktem macierzyńskim, czy może tylko jak łątki-jednodniówki chcą żyć w słońcu?

Szymona straciłem z oczu natychmiast prawie po tym okropnym wydarzeniu u mnie w domu. Wyprowadził się i tyle go widziałem. Z czasem dowiedziałem się, że wyjechał do Niemiec, z UNRRĄ chyba, czy może z misją Kwaków? To w Niemczech właśnie, w jednym z obozów dla cywilnej ludności spotkał Różę. Ale o tym dowiedziałem się o wiele później.

I naraz któregoś dnia dostałem od niego list z Francji. Prosił, bym przyjechał do niego na farmę, którą zakupił do spółki z jednym Polakiem z Francji, który był z nami w wojsku. O przeszłości nie napisał ani słowa, tak jakbyśmy się rozstali zaledwie przed tygodniem.

Pojechałem. Był to mój pierwszy wyjazd za granicę po wojnie. Miałem już dość mego garażu na Shepherds Bush i bossa, który orał we mnie świętek i piątek. Miałem już dosyć czarnych rąk i smutnego mieszkania i popijania w polskich klubach i wyczekiwania na wieści od rodziny w Polsce, która miała mi coraz mniej do powiedzenia.

Farma Szymona była śliczna. Dzika i smutna, ale niezwykłe malownicza. Szymon wyjechał po mnie na stację starym Peugeotem, uściśnął mnie, powiedział: „dobrze cię zobaczyły stary, oj dobrze cię zobaczyły“.

Na progu domu czekała na nas Róża. Była niewysoka, smągła i w oczach miała jakąś tę samą przezroczyść, która przypominała mi inne, dużo piękniejsze oczy — oczy Halszki. Uśmiechnęła się nieśmiało i gdy podszedłem do niej na przywitanie — rozgarnęła przed sobą rękoma powietrze, tak jakby coś chciała usunąć sprzed mojej wyciągniętej ku niej dłoni.

„Różę znalazłem w obozie uchodźczym pod Monachium“ powiedział Szymon. Właściwie to ona znalazła mnie. Od chwili naszego spotkania nie opuściła mnie ani na chwilę. Teraz gotuje nam i sprząta, jest bardzo pomocna. Róża była w Oświęcimiu — dodał po chwili. „Nie dziw się jej zachowaniu, to bardzo tragiczna historia...“

Istotnie Róża była dziwna. Była łagodna i spokojna, nawet wesola, ale na pewno nie była normalna. W trakcie roboty potrafiła ustać na chwilę, zacisnąć powieki, naśluchiwać czegoś na piętrze, czy w ogrodzie. Rzucała nieraz to co robiła i biegła na górę do mansardowego pokoiku, gdzie spała i po chwili dochodził nas stamtąd jej słodki, melodyjny głos, przemawiający czule, lub śpiewający kołysankę. Czasami znowu usuwała się przed czymś, co tylko ona sama mogła dostrzec i wtedy na jej usta wypływał najpiękniejszy uśmiech, jaki widziałem na ustach kobiety. Raz pomyślałem sobie nawet gdy tak się uśmiechała poza mnie w przestrzeń — że tak wyglądać mogła w rozkwicie swej młodości Matka Boska, która też przecież była Żydówką.

Pomagałem chętnie Szymonowi w robotach przy gospodarstwie, gdyż czułem się jakoś skrępowany jego zupełną naturalnością w odniesieniu do mnie po tylu latach. Jechałem do niego nastawiony na zwierzenia, na reminiscencje. Ale Szymon milczał. I to jego milczenie po tym co nas łączyło nie tylko przed wojną, ale i później — czyniło mnie dziwnie w stosunku do niego nieśmiałym i jakby zgubionym.

Któregoś wieczora, gdyśmy uczciwie obesli całe gospodarstwo, postanowiłem spytać go o jego obecne życie, przebić jakoś ten mur milczenia i tej jakiejś, wydawało mi się — sztucznej pogody. Zacząłem rozmowę niby nic — od Róży.

„Pytasz o Różę?“ powiedział Szymon. „Mój kochany, może dlatego zaprosiłem cię tutaj, żebyś mi pomógł ją wytłumaczyć. Dobrze mi tutaj na tej francuskiej wsi i dobrze mi z Różą. Ale sam widzisz, że ona nie jest zupełnie normalna“ — i opowiedział mi historię Róży.

Była żoną krawca z Łodzi. Gdy ją wyrwali z łódzkiego getta miała lat osiemnaście i niemowlę przy piersi. Krawca rozstrzelano pod bramą ich domu, gdyż stawiał opór i chciał bronić żony. Była zdrowa i młoda i piękna jak Salome.

W trzecim tygodniu pobytu Róży w Oświęcimiu kazano jej własnoręcznie zanieść dziecko do gazu. Po drodze oprawcy rozmyślili się, wyrwali jej dziecko z rąk i żywe zanieśli do pieca.

Szymon wzdrygnął się i przerwał opowiadanie.

W tej chwili z cienia niedomkniętych drzwi kuchennych wyszła Róża. Przeszła przez pokój swym rozkołysanym, andaluzyjskim krokiem i stanęła przede mną. Uśmiechnęła się do mnie, powiedziała: „Ale on żyje, niech się pan nie boi, on żyje mój synek...“ Uniosła ręce w górę, zadarła głowę, patrząc znów gdzieś ponad nas, ponad pułap.

„Nieśli go, nieśli a mnie kazali iść za nim... już było widać piec, już nieśli trupy z komory... A on tak płakał, oj jak on płakał ten mój synek. A potem wrzucili go...“

„Ale zaraz z płomieni wyszedł Pan w białej szacie i podał mi synka, dziecko mi podał i ruch taki zrobił, że ja od razu wiedziałam co to znaczy — taki szeroki ruch... On go przed światem ukrył, On mi go uratował. Teraz to tylko ja widzę mego synka. Aj, jak on ślicznie mi rośnie...“

„Pan w białej szacie?“ spytałem i ogarnął mnie przeraźliwy strach przed jej oczami, które były teraz jak dwie zamrożone krople miodu.

„W jednym kościele w Łodzi nad ołtarzem był, na obrazie. W białej szacie. Ja z koleżanką gojką raz tam poszłam, do tego kościoła. Ona była bardzo pobożna i chciała mnie nawrócić na swoją wiarę... ja się bałam, ale poszłam. No i dobrze, że poszłam. Bo On mi potem synka uratował. Taki ruch zrobił, ot taki — wyciągnęła ręce jakby zagarnąć chciała w siebie cały świat. — „I już synek był z powrotem przy mojej piersi, już go karmiłam, niewidzialnego dla nikogo...“

Opuściła głowę i zamilkła, rozpamiętując.

„A potem to ja go ochrzciłam“ — dodała po chwili. „Jedna zakonnica była z nami na bloku. Ja jej opowiedziałam prawdę. To ta zakonnica ochrzciła przedtem mnie. I nauczyła mnie Ojcie Nasz...“

„A jak pan przyjechał, to on był bardzo ciekawy, mój synek. Mame, krzyczał, bo on tak z żydowska mówi, jak to w Łodzi Mame — nowy pan przyjechał i rwał się na ganek, to ja go spódnicą ogarnęłam, żeby nie przeszkadzał. Pan zauważył, prawda? Teraz śpi — uśmiechnęła się czule. — „Ciicho...“ — położyła palec na ustach i wyszła z pokoju.

Przez trzy tygodnie żyłem w tym dziwnym domu z Szymonem, Różą i jej nieżyjącym dzieckiem. I rzecz dziwna: to majaczenie oszalałej matki było tak przekonujące, że po pewnym czasie zrozumiałem dlaczego Szymon chciał, abym ja, stary niedowiarek, wytłumaczył mu Różę. To jej spalone w Oświęcimiu dziecko było z nami, żyło z nami, niemal rosło nam na oczach.

Szałeństwo Róży było nieszkodliwe, dodawało jej siłę, wzmacniało jej wrodzoną wewnętrzną pogodę i — co najdziwniejsze, może zasklepiło nieco ranę Szymona po Jacusiu i Halszce.

W ostatni wieczór mego pobytu na farmie ośmieliłem się zapytać go: „A co z komponowaniem? Widzę, że masz fortepian. Powiedz...“ Spojrzał na mnie niemal groźnie, ale zaraz opanował się. „Nie komponuję. Ofiarowałem Bogu mój talent za życie bliskich. Dałem Bogu najszczerzej za nich dwoje mój najistotniejszy cel istnienia — moją sztukę. I Pan Bóg nie tylko, że przyjął na spalenie ofiarne moją zdolność tworzenia — ale przyjął i resztę — a w zamian nie dał mi niczego“.

Zamilkliśmy, nie miałem dla niego żadnej odpowiedzi, żadnego słowa pocieszenia.

Z góry po skrzypiących schodach schodziła Róża. Przymknęła drzwi kuchenne i zapaliła naftową lampę. Po chwili rozległ się jej głos z kuchni, powtarzający dobitnie jakieś słowa. Wstaliśmy jednocześnie i podeszliśmy pod drzwi kuchenne.

Róża siedziała przy stole z wyciągniętymi na blacie stołu rękoma. Gładziła niewidzialną głowę synka, mówiła: „Nie tak... powtórz raz jeszcze, to bardzo ważna modlitwa... Powtórz raz jeszcze synku: Ojciec nasz, który jesteś w niebie...“

Gdy przerwała, aż dziecko powtórzy te słowa — w kuchni dzwoniła jakaś cisza kosmiczna, drgało jakieś napięcie nie do zniesienia. Zastygli w bezruchu, słuchaliśmy jej głosu powtarzającego cierpliwie słowa Modlitwy Pańskiej.

Nawet teraz po latach, gdy piszę te słowa niesamowitość tamtej chwili przeszywa mnie do głębi. Za oknem leżała wtedy czarna noc, cień Róży wydłużał się od lampy poprzez stół i wydawać się mogło, że w cieniu tym istotnie ktoś siedzi po przeciwnej stronie stołu.

„I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“... mówiła Róża. Uczułem rękę Szymona na swojej ręce, cisza zadrgała nagle, cisza rozdarła się i Szymon z krzykiem przypadł do stołu, Szymon zawył, zaszlochał i zaczął bić głową o kamienną posadzkę kuchni. Róża uniosła się z krzesła, podeszła do pustki za stołem, ogarnęła czułym ramieniem.

„On może będzie teraz grał“ powiedziała do mnie. „On może przebaczył?“ i wyszła z pokoju.

Od tamtego wieczoru zacząłem się modlić na nowo. Nie mogę nikomu opowiedzieć tego zdarzenia, bo ktoś je zrozumie? Ale w tej kuchni prowansalskiej powróciliśmy wówczas do Boga i Szymon i ja. Jakież przedziwne są drogi boskie. Oświęcim, szaleństwo i śmierć — to po jednej stronie szali — a po drugiej?

Niegodnym jestem rozważać wyroki Boże, bo nic nie rozumiem i nic nie wiem.

A teraz po latach symfonia Pater Noster; dzieło natchnienia, wiary i pokory.

Dobra to rzecz mieć radio. Inaczej niczym nie wiedział o Szymonie. Od tyłu lat już nie odzywał się do mnie.

Klara Evans

(B.D.I.C.)
TADEUSZ ZIELIŃSKI DAJE

PANORAMĘ SWEJ TWÓRCZOŚCI W "CASSEL GALLERY"

Tadeusz Adam Zieliński urodził się w Trzebini w roku 1907. Studia architektury wnętrz ukończył w Krakowie. Po okresie pracy w miesięczniku „Meblostyl“ obejmuje stanowisko kierownika stolarni (z nauczaniem przedmiotów zawodowych) w Szkole Rzemiosł w Zawichoście. W następnym roku za pośrednictwem Ministerstwa Oświaty zajmuje stanowisko Dyrektora Szkoły Stolarskiej i Fabryki w Kostopolu.

W 1939 jako podporucznik dostaje się do niewoli w Kozielsku (Rosja) — gdzie wykonuje pierwszą poza krajem płaskorzeźbę obrazu Matki Boskiej Kozielskiej. Jest to w historii sztuki rzadkie zjawisko, by za życia twórcy jego dzieło było przedmiotem kultu religijnego.

Z Rosji drogą przez Persję dostaje się do Palestyny, gdzie buduje kaplicę wojskową, na dziedzińcu kościoła OO. Franciszkanów (6 postaci pół rzeźby) ołtarz Matki B. Częstochowskiej, 6 herbów polskich z marmuru palestyńskiego.

W r. 1946 bierze udział w konkursie na projekt przebudowy III i IV stacji Drogi Krzyżowej w Jerozolimie i zdobywa pierwszą nagrodę. Komitet przebudowy powierza Zielińskiemu realizo-

wanie innego projektu i w czasie dwóch lat wykonuje główną rzeźbę do 3 stacji (pierwszy upadek Chrystusa) postać większa jak naturalna wielkość i główną rzeźbę IV stacji (spotkanie Chrystusa z Matką) wielkość naturalna.

W r. 1948 Zieliński wyjeżdża do Anglii i rozpoczyna piękną karierę rzeźbiarską, zdobioną następującymi pracami:

1949 r. pierwsza statua Matki Boskiej w naturalnej wielkości w drzewie wiązowym dla Konwentu Urszulanek, Forest Gate, W. 7, w Londynie.

1950 r. praktyka rzeźbiarska u Sir John Cass School of Art. Bierze udział w międzynarodowej wystawie Sztuki Religijnej w Watykanie.

1951 r. wystawia trzy rzeźby w drzewie na Festival of Britain w Lambeth Palace.

1954 r. udział w Narodowej Kanaadyjskiej Wystawie w Toronto.

1957 r. wykonuje rzeźbę Matki Boskiej Apokaliptycznej w drzewie lipowym w naturalnej wielkości oraz rzeźbę symboliczną dla Nowego Kościoła w Uckfield, Sussex.

1958 r. Dla Nowego Katolickiego Domu OO. Karmelitów w Fatimie wykonuje postać Matki Boskiej Fatimskiej 7 stóp wysoka w sykomorze, Portugalia.

1960 r. Udział w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Religijnej w Monachium, Niemcy.

1961 r. Dla Polskiego Kościoła św. Andrzeja Boboli wykonuje 700 stóp kw. płaskorzeźby w syntetycznym bronzie oraz postać Chrystusa Króla w aluminium (9 stóp wys.) i 14 stacji Drogi Krzyżowej.

1962 r. 14 stóp wysoka rzeźba Matki Boskiej z Dzieciątkiem w syntetycznym bronzu oraz 10 paneli (herbów) miast polskich 2½ stopy × 2" × 3" dla Nowego Katolickiego Domu w Birmingham.

1965 r. 16 marca otwarcie pierwszej indywidualnej wystawy w Cassel Art Gallery, Londyn.

Na wystawie tej Zieliński wystawia 38 rzeźb: 6 w syntetycznym bronzie, 16 w drzewie, 7 w kolorowym cemencie, 8 w aluminium, 1 w kamieniu, 5 paneli architektonicznych z nowego materiału.

Kilku krytyków zadało Zielińskiemu podobne pytania: Dlaczego do tej pory pan nie wystawiał? I co pan robił? I gdzie? Pytamy, bo poziom prac nas zaskakuje.

Jeden ze znanych krytyków Lawrence H. Bradshaw w ostatnim wydaniu „The Arts Review“ m.in. pisze:

(Dokończenie na str. 46)



TADEUSZ ZIELIŃSKI PRZY RZEźBIE MATKI BOSKIEJ KOZIELSKIEJ

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

POŻEGNANIA: Zaczynając od pożegnań londyńskich opiekunów kultury trzeba z żalem wspomnieć śmierć ks. prałata Narcyza Turulskiego, (1907-1965) zasłużonego duszpasterza i organizatora koncertów polskiej muzyki. Podobnie jak zmarłego w ostatnich dniach ub. roku Jakuba Hoffmana (1896-1964), historyka i społecznika wielkiej miary. Świadczenie wielkości serca i umysłu jego dało grono jego przyjaciół i kolegów uczonych polskich i niepolskich na specjalnym zebraniu połączonych Polskich Towarzystw Naukowego i Historycznego.

Odeszła na zawsze spora garstka ludzi teatru, filmu i literatury, blisko związana ze środowiskiem londyńskim: Aktor — bardzo popularny — Feliks Karpowicz (1898?-1964) zmarły w wigilię ub.r. w Kraju, znany aktor i ostatnio organizator teatru Filip Ende, (-1965) zmarły w Buenos Aires, w Argentynie; reżyser filmowy Michał Waszyński — w Madrycie; zasłużony aktor Józef Winawer (1897--1965) — w Rzymie, a dalej pisarz i malarz, Rafał Malczewski (1892?-1965) — zmarły w Paryżu, skąd również odszedł kompozytor Michał Spisak.

ŻYCIE LITERACKIE: dość wątlym prądem płynące życie literackie ożywiło się z lekka w ostatnim czasie. Związek Pisarzy zdobył się tylko na jeden wieczór poprowadzony przez Józefa Garlińskiego, a poświęcony prozie i poezji. Dał do niego zwłaszcza powód pobyt w Londynie ks. Waclawa Chabrowskiego, (ur. 1936), autora „bestselleru“ poetyckiego pt. „Madonny“ wydanego przez Oficynę Poetów i Malarzy, który również odczytał na wieczorne utwory z drugiego przygotowanego do druku swego tomu poezji. Poza nim wzięli udział tacy weterani pióra, jak Czesław Dobek, który debiutował przed 40 laty jako kadet, czytając nowelę „Paszport Nr. 100.000“, Marian Czuchnowski mający już 25 pozycji książkowych w swym dorobku pisarskim, który odczytał poe-

TADEUSZ ZIELIŃSKI (Dok.)

„As an artist he is moved very much by the spirit, as expressionistic as El Greco, with the same kind of inner flame which transcends all the difficulties of his materials and the purpose they are to serve, whether for a church, a civil building or private house“.

Niewątpliwie Zieliński należy do czołowej grupy rzeźbiarzy nie tylko polskiej, ale ogólnoswiatowej. Warto zwiedzić tę wystawę w „Cassel Gallery“, naprzeciwko londyńskiej „Brompton Oratory“.

Hubert Bialecki

mat pt. „Angielska zima 1947“, Adolf Fierla, znany „Piewca Beskidu“, który przedstawił utwór archaizowanej prozy „Maria z Magdali“ oraz Zbigniew Grabowski — który odczytał urywek ze swego ostatniego tomu prozy „Nagrobek“. U wejścia na salę urządzony był miniaturowy kiermasz książek uczestników wieczoru zbiorowego.

Szerszą działalność przejawiać zaczęła ostatnio literacki miesięcznik „Kontynenty“ pod redakcją dr Z. Grabowskiego, który urządza nie tylko wieczory autorskie, ale również obiady czy kolacje literackie. Przy wydatnej pomocy kierownictwa Biblioteki Polskiej odbył się wieczór autorski Adama Czerniawskiego, zagajony szkicem o młodym pisarzu wygłoszonym przez Marię Danilewiczową. Utwory Czerniawskiego (proza i poezja) poza nim samym czytał A. Busza i E. Miszcza-kówna. Z okazji pobytu w Londynie G. J. Leca w tej samej sali S. T. P. odbył się jego wieczór autorski, na którym odczytane były wyjątki z nowej serii „Myśli nieuczestnych“. Zapowiedziane zostały następne wieczory poświęcone twórczości o. Chabrowskiego, J. Sity z Kraju i Z. Grabowskiego. Na jednej z Kolacji „Kontynentów“ Celina Wieniewska mówiła o swych doświadczeniach tłumaczki książki J. Andrzejewskiego „Idzie skacząc po górach...“ na angielski. Inną kolację poświęcono omawianiu twórczości M. Hłaski. Następna poświęcona ma być szczególnie aktualnemu zagadnieniu dla przyszłości życia kulturalnego, a mianowicie planom powstałego ostatnio Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

Akompaniamentem do tych przejawów ożywienia były przyznane ostatnio nagrody literackie. C. Wieniewska otrzymała nagrodę „Roju“ im. M. Kistera za przekład „Sklepów Cynamonowych“ B. Szulca. Jury „Wiadomości“ przyznało nagrodę ufundowaną przez „Tazaba“ K. Zbyszewskiemu za tom „Wczoraj na wrywki“ oraz nagrodę ufundowaną przez p. W. Landsberger-Poznańską Kenneth Mackenziemu za przekład Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“. Obie te książki wydane były przez Polską Fundację Kulturalną.

W tym związku nie wypadaloby zapomnieć o kilku sukcesach pisarzy-naukowców polskich na rynku angielskim. Inż. S. Demczyński, wychowanek b. Polskiego Kolegium Uniwersytetu w Londynie, wydał książkę p.t.: „Automation and the Future of Man“ (Au-

tomatyzacja i przyszłość człowieka). A prof. S. Świaniewicz w innym znaczeniu wymowną książkę pt. „Forced Labour and Economic Development“ (Praca przymusowa i rozwój gospodarczy) będąca „Studium doświadczeń nad uprzemysłowieniem Sowieców“. Więcej o nich będzie można się dowiedzieć po ukazaniu się drugiego zeszytu bibliografii uczonych polskich w językach obcych, przygotowania którego są w pełnym toku.

CYKLE ODCZYTOWE: między życiem literackim i naukowym jest duży margines zebranych i odczytów okolicznościowych lub przygodnych. Była ich dobra czterdziestka, trudno więc je wszystkie omawiać, można tylko wyliczyć kilka na wrywki. Była seria wieczorów poświęconych zagadnieniom religijnym, na których prelegentami byli m. in. H. Zeleńska, o. J. Mirewicz, W. Dłużewski, A. Pospieszalski. Była seria techniczna z odczytami T. Kasińskiego, K. Leczewicza, S. Wyrobka, Prus-Chacińskiego i innych.

Były też szczególne imprezy odczytowej czy dyskusyjnej, na których prelegentami byli wykładowcy obcy, a słuchaczami Polacy itp. Do nich należą cykle odczytów urządzone od kilku lat przez Grupę Studiów Ekonomicznych Stowarzyszenia Techników Polskich, w której b. czynny jest dr L. Klimek. H. Walton mówił o metodach planowania konstrukcji ilustrowanych filmem, J. G. Williams o metodach usprawniania produkcji i kontroli finansowej przy pomocy liczydeł elektronicznych, A. E. Forsyth o dobrych i złych stronach nacjonalizacji stali, a nadto przewidziany jest komentarz do budżetu wybitnego ekonomisty, pochodzenia węgierskiego prof. Tibora Barna, oraz rewelacje o tajnikach eksportu instrumentów przemysłowych i naukowych, p. W. E. Lamba, dyrektora eksportu, którego wywody ilustrowane będą zdjęciami kolorowymi z kampanii w Pekinie, Moskwie i Poznaniu. Niezależnie od tego p. Z. M. T. Tarkowski jako sekretarz organizacyjny Comparative Administration Trust (Instytucji krzewiącej porównawcze metody organizacji pracy w zakładach naukowych i przemysłowych) urządza konferencje i sympozjony dla dyrektorów fabryk i instytutów. Taki weekend poświęcony zagadnieniom badania rynku przewidziany był w ostatnich dniach marca.

Z kolei wspomnieć należy wieczór urządzony przez Tow. Anglo-Polskie poświęcony przekładowi na angielski

arcydziela A. Mickiewicza „Pan Tadeusz“ przez Kennetha Mackenziego. Przewodniczyła p. Halszka Baty, prezeska, w asyście G. Linley'a a dowcipne przemówienie o autorze przekładu i jego pracy wygłosili M. Hemar i J. Sakowski. Odpowiadał im autor przekładu, wskazując na angielskich pisarzy katolickich G. K. Chestertona (1874-1936) i J. H. P. Belloc'a (1870-1953), jako na swych głównych inspiratorów. Urywki przekładu czytane były na przemian przez autora, Hemara, Sakowskiego i szczególnie udatnie przez Krystynę Dygat-Kiersnowską. Dowcipnym persiflażem zakończył wieczór S. Grocholski. Na początku zebrania amb. E. Raczyński dekorował Mackenziego krzyżem oficerskim orderu „Polonia Restituta“.

REFERATY I KURSY NAUKOWE

Tematyce historycznej poświęcony był wykład prof. J. K. Zawodny pt. „Nauki polityczne w Stanach Zjednoczonych“ urządzony przez P. T. N. wespół z P. T. H. Wkładem młodszego pokolenia był referat z pracy doktorskiej H. Graniewskiego o „Misji gen. Chrzanowskiego w Turcji w latach 1836-41“ uwieńczonej prestiżowymi tylko sukcesami, po nieudanej misji gen. Dembińskiego w Egipcie na kilka lat wcześniej.

Specjalne zebranie poświęcone było przedstawieniu przez Michała Pawlika referatu o „Zagadkowym portrecie Joanny Aragońskiej“ przypisywanym Rafaelowi. Dzięki trudnościom w otrzymaniu materiału dowodowego zwłaszcza z galerii Luwru dotychczas nie dało się ostatecznie rozstrzygnąć autorstwa obrazu, którego istniejąca cała szereg kopii.

Z naukowych zebrani urządzonych przez P. T. N. wymienić należy referat z pracy doktorskiej Wiesława Rybotyckiego o „Rozmieszczeniu geograficznym muzeów religijnych“, praca pionierska, zilustrowana wielką ilością map wykazujących wielką skrupulatność badacza w zbieraniu materiałów. Jedynie komentarz autora pracy podlega pewnym zastrzeżeniom metodologicznym, które zostały wysunięte przez prof. Z. Hołub-Pacewiczową.

Prowadzony przez prof. J. Bujnowskiego kurs Dziejów Kultury Polskiej na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie znalazł dobry oddźwięk u słuchaczy. Złożyło się na niego kilkanaście wykładów, zapoczątkowanych przez prof. T. Sulimirskiego o prehistorii, po czym prof. L. Koczy mówił o okresie piastowskim, prof. J. Bujnowski — o średniowiecznych rodzajach literackich, prof. H. Paszkiewicz o Unii Lubelskiej i epoce jagiellońskiej, prof. J. Pilatowa — o początkach polskiego

języka literackiego, o plastyce — mówił prof. M. Bohusz-Szysko, prof. J. K. Zawodny z Uniwersytetu w Pensylwanii przedstawił Metody Badań Stosunków Międzynarodowych, ks. dr J. Kołodziejczyk mówił o polsko-lacińskim piśmiennictwie XV i XVI w. i pierwiastkach średniowiecznych w piśmiennictwie XVII i XVIII w., dr L. Kielanowski — o teatrze, mgr. I. Karpińska o polskiej kulturze ludowej, a przewidziane są jeszcze wykłady dr C. Halskiego o muzyce, prof. W. Guenthera o komedii polskiej i Fredrze, i prof. J. Bujnowskiego o baroku w literaturze. Drugi rok wykładów obejmie okres bliższy współczesności.

Ukazał się też XIV Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie za rok 1963-64, zawierający zwykle przewidziane działy: organizacyjny, nekrologię, wykład inauguracyjny K. Boratyńskiego o „Równowadze w przyrodzie i działalności człowieka“, oraz obszerny dział sprawozdawczy. Obecnie Towarzystwo obejmuje ogółem 276 pracowników naukowych, zamieszkałych w różnych krajach wolnego świata. Sprawozdanie finansowe za rok 1963 zakończone było deficytem w sumie £173.17.4. Niemniej równowaga budżetowa utrzymywana jest dzięki subsydlum P. U. C. A. Ltd., Funduszowi Oświaty i Komitetowi Obywatelskiemu Pomocy Uchodźcom oraz dobrowolnym datkom członków Towarzystwa.

Oprócz sprawozdań z posiedzeń naukowych, na których przedstawione były referaty prof. W. Staniewicza, W. Strzałkowskiego, A. Laśkiewicza, J. Zajęca, są również teksty wykładów pp. A. Holińskiego i J. Poniatowskiego.

Z kontaktów polskich kół naukowych z szerszym światem, przypomnieć wypada udział z Londynu prof. W. Strzałkowskiego w XIII Zjeździe Międzynarodowej Wolnej Akademii Nauk, który odbył się w końcu ub. r. w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

ROZKWIT PLASTYKI: w dziale plastyki dalej kwitnie działalność popularyzacyjno-naukowa prof. M. Bohusza-Szyski, który nie tylko kontynuuje swe niedzielne wycieczki do muzeów i zbiorów artystycznych połączone z komentarzami, ale również prowadzi swój cykl wykładów na temat „Tysiąclecia sztuki polskiej“. W ramach tej serii doszły ostatnio wykłady o polskim rokoku i okresie stanisławowskim w malarstwie i rzeźbie.

W omawianym czasie odbyły się liczne wystawy indywidualne i zbiorowe. Rozpoczęła je: Doroczna Wystawa Studentów Studium Malarstwa Stalugowego wykazująca chwalebny poziom ogólny studiujących. Po niej poszła wy-

stawa prac S. Stachowicza (ur. 1937) i Barbary Zielińskiej w salach Doctor's Restaurant, które stały się ostatnio stałą galerią eksponującą polskich artystów. W sali YMCA otwarta została wystawa Ireny Jakubowskiej, polonistki z wykształcenia, a potem absolwentki Studium, wykazującej bardzo cenne walory malarskie. Pokazem dojrzałego dorobku malarskiego była kolejna wystawa prof. dr H. Sukiennickiej pod hasłem „Wilno w rysunkach i gwaszach.“

Niejako w sukurs akcji prof. Bohusza-Szysko przyszło pióro Alicji Drwskiej, dzięki któremu osiągnięcia polska dowiaduje się o osiągnięciach całej plejady artystów, w Cassell Gallery: Kos, Walicka, Turkiewicz, Musiałowicz, Gaudzik-Brzozowska, J. Adler, M. Okołów-Podhorska, Eugeniusz Geppert, pokazujący oleje i gwasze, czy T. Zieliński — rzeźby. Dalej — o rzeźbach T. Kopera w Brook Street Gallery, o obrazach Z. Ruszkowskiego w Leicester Gallery, o kolekcji H. Nałęczy w Drian Gallery, o pracach J. Kiłaczyckiej, J. Baranowskiej, H. Korn i H. Nałęczy na wystawie Międzynarodowego Arts Klubu Kobiet. O otwarciu nowej galerii „New Artist's Forum“, którego właścicielka jest Polką z pochodzenia. Skądinąd wiadomo, że w Aigaliers na południu Francji O. Karczewska urządziła w swym domu studio, które będzie siedzibą wakacyjnego ośrodka londyńskiego miesięcznika „The Artist“.

Nadto wiadomo, że na wystawie współczesnej sztuki brazylijskiej w Royal College of Art są trzy rysunki Macieja Babińskiego, który w r. 1953 osiadł w Rio de Janeiro i ma już cenny dorobek graficzny.

W sali YMCA otwarta była Doroczna Wystawa Stowarzyszenia Fotografików Polskich, zawierająca również eksponaty retrospektywne. Odbyły się w Londynie wystawy fotografii Idy Kar i in., których pewnie nikt nie zliczy. Kompozycję nagrody telewizyj zlecono polskiemu rzeźbiarzowi Edwardowi Ihnatowiczowi.

TEATR-FILM-MUZYKA: Z recenzji ogłoszonych w poprzednim numerze wiadomo, że Teatr Syrena wystawił „Jasełka“, że występował kabaret „Wagabunda“ a „Teatr Rozmaitości“ prowadzony przez Z. Zimanda dał rewiew „Kroczek na boczek“. Ufundowaną anonimowo nagrodę teatralną „Dziennika Polskiego“ £105. — przyznano na 80-lecie W. Grubińskiemu. Teatr Malowany z „Kogutem“ objechał Yorkshire i wystąpił w Zjednoczeniu Polek. H. Kruszyńskiej wersję „Jasełek“ Rydla wystawiono w Forest Gate, a inną wersję „Szopki polskiej“ na Chiswic-

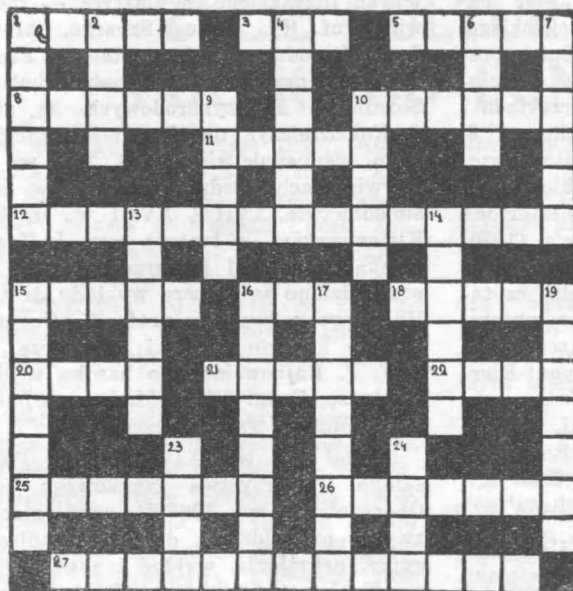
ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

(Dokończenie ze str. 47)

ku. Poza Londynem kwitnie natomiast ruch teatru amatorskiego, który stanowi kartę samą w sobie.

Poza turystycznymi filmami, pokazywanymi w Polskiej YMCA, Londyn od dłuższego czasu pozbawiony jest filmów polskich. Obficie z nich natomiast korzysta prowincja, gdzie wyświetlono filmy takie, jak „Krzyżacy“, „Irena do domu“, „Czerwone berety“, „Jadą goście“, „Trędowata“, „Dwa żebra Adama“, „Barbara Radziwiłłówna“, „Historia jednego myśliwca“, „Dziś w nocy umrze miasto“, „Halka“. W Londynie jedynie „Trędowata“ pokazała Czołówka Inwalidów na Willesden. Natomiast kinomanij mają na pociechę „Lorda Jima“ na wielkim ekranie.

W muzyce po serii koncertów kołęd, urządzanych wraz z Chórem Chopina i J. Hryniewiczową i akompaniamentem A. Kotowskiej i E. Klimasa, to znów z Chórem im. Szymanowskiego, przyszły występy Orkiestry Polskiego Radia z Kraju w sali św. Pankracego. Z wirtuozów emigracyjnych występował tylko W. Niemczyk w sali Ratusza na Hammersmith. Ciągłość występów zachował tylko Klub Piosenki RWE pod kier. W. Budzyńskiego i z udziałem zespołu S. Norberta. Podczas tych wieczorów można było cieszyć się występami R. Bogdańskiej, która udaje się na objazd do Ameryki w towarzystwie D. Czyskiej, K. Pawłowskiego, K. Turewicza i J. Swaczyńskiego — akompaniatora z Paryża. Poza tym w Klubie występowały: S. Błaszczuk, L. Kitajewicz, W. Skoczył, S. Horwat, E. Krukowska, T. Valdi, I. Delmar, J. Brzeski, Z. Pomorski, E. Chudzyński, K. Włodarczyk, O. Rymaszewska. Z zespołów tanecznych „Tatra“ popisywał się w Tow. Przyjaciół Dzieci i Młodzieży, i zespół „Mazury“ w sali Wspólnoty Narodów, w chwili gdy przegład tych 100 wydarzeń szedł do druku.



INSTYTUT BADANIA ZAGADNIEŃ KRAJOWYCH

Osobna wzmianka należy się wznowieniu działalności organizacyjnej przez Instytut Badania Zagadnień Krajowych. Po czteroletniej przerwie odbyło się walne zebranie Instytutu w lokalu „Reduty“, któremu, przewodniczył b. min. Sokołowski. Sprawozdanie z prac za ubiegły okres składał ustępujący prezes inż. O. Stepan. Po sprawozdaniu skarbnika przewodnicząca komisji rewizyjnej p. H. Czarnocka zgłosiła wniosek o absolutorium dla Zarządu. Program prac na przyszłość przedstawił p. St. Paprocki, po czym nastąpiła dyskusja, wykazująca wzmoczenie się zainteresowań pracami instytutu oraz nadzieje na możliwości ogłaszania drukiem wyników jego badań. Po uchwaleniu poprawek statutowych i preliminarza budżetowego wybrano nowy zarząd, w skład którego weszli m. in. pp. dr W. Czerwiński, red. S. Paprocki, dr J. Mękarska, J. Poniatowski, inż. O. Stepan, B. Podoski. Przy ukonstytuowaniu się zarząd wybierze swoje prezydium.

Jan Ostrowski

KRZYŻÓWKA nr 570/65

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) roślina; 3) dla niego — to dla pozoru; 8) szybko, zagnała — to z niego; 10) kwiaty, które macą w głowie?; 11) równie niebezpieczna na stepie jak i w towarzystwie?; 12) sztuka Szekspira o burzy w szklance wody (5, 6, 1, 3); 15) i 18) tam Rafał pobierał nauki; 16) w nim kobieta powinna być wiotka; 20) i 22) „Między szlachtą był jeden wielki...“, kłótnik, Jacek Soplica“; 21) czarno go malują, choć ma wiele uruku?; 25) nieodpowiedzialny, lekkomyślny; 26) bogini niestała i zmienna, a każdy o niej marzy; 27) oddzielnie, indywidualnie.

Pionowe: 1) szum (wspak); 2) pies; 4) figlarz babuleńki?; 6) przysłowiowo zimny (wspak); 7) chorąży orszański; 9) drzewo; 10) rodzaj sztuki; 13) imię królów francuskich; 14) głosi; 15) brzydki, 16) obcy; 17) grobowiec; 18) zły w robocie (wspak); 23) pozwól; 24) Oberon lub Ludwik XIV.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 569/65

Poziome: 1) ekran, 3) i 16) obszar, 5) sierp, 8) lutnia, 10) lustro, 11) bieda, 12) wchodzić w paradę, 15) i 18) zwierzenia, 20) i 22) poomacku, 21) okopy, 25) dzianet (wspak), 26) trójząb, 27) bez kompromisu.

Pionowe: 1) wielce (wspak), 2) ruta, 4) boleść, 6) EFTA, 7) prosię, 9) szuba (wspak), 10) lampa, 13) offerma, 14) rzepak, 15) zapusty, 16) z okładem, 17) reporter, 19) obscura (wspak), 23) pisk, 24) mrok (wspak).

WPLACILI NA LEKARSTWA DO KRAJU DO NASZEGO ODDZIAŁU W PARYŻU

4013 L. S. Co. (kpt. Jan Jaworski Fr. 32,50, 4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwański) Fr. 40,00, 4096 L. S. Plat (por. St. Kozłowski) Fr. 35,00, 4507 L. S. Co (mjr T. Kroja-Kopeć) Fr. 100,00. Stowarzyszenie Polskie Dauphiné (Grenoble) Fr. 50,00.

Serdecznie dziękujemy.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomoocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polacca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

społeczne i wielki takt — co na tym stanowisku jest bardzo ważną kwalifikacją — sprawiają, że jego autorytet jest zarówno wśród Polaków jak wśród Australijczyków, niezachwiany. General Kleeborg naprawdę dobrze służy sprawie polskiej w Australii, czemu Zjazd Delegatów już niejednokrotnie dawały wyraz.

Wybory do Prezydium Rady Naczelnej odbywają się na Zjazdach Delegatów Rady co dwa lata. Wybory odbywają się w sposób jak najbardziej demokratyczny, przez tajne głosowanie. Każdy z Delegatów ma czynne i bierne prawo wyborcze. Przy wyborach do Prezydium nie ma mowy o jakichś walkach o mandaty, bo jest raczej trudno znaleźć kandydatów w odpowiedniej ilości. Bo członkostwo Prezydium, to nie jakaś zaszczytna synekura, ale to niewdzięczna służba. Jak niewdzięczna, to wskazuje najlepiej napaść pp. Jasińskiego i Paczyńskiego na Prezydium Rady.

P. Jasiński robi większą krzywdę Polonii australijskiej niż samemu Prezydium Rady, bo Prezydium nie jest ciałem samowładnym, ale jest wybierane przez Delegatów organizacji z całej Australii. Czy można sobie wyobrazić, że takie poważne ciało jak Zjazd Delegatów organizacji z całej Australii wybierze na swoich reprezentantów jakieś typy spod ciemnej gwiazdy, które będą się sprzedawać w stannikom reżymu za materialne korzyści. Takie myśli mogą powstać tylko w przeczulonym mózgu.

W każdej organizacji istnieje grupa niezadowolonych. Jest to objawem normalnym i z tego powodu nie ma potrzeby rozdzierania szat. W każdym demokratycznym parlamencie, istnieje grupa posłów niezadowolonych z rządu i ta grupa nazywa się opozycją. Jeżeli wpływy opozycji wzrosną tak dalece, że przy następnych wyborach wyborcy dadzą jej większość głosów, to opozycja przejmuje władzę i nikt nie uważa tego za tragedię ani za katastrofę. Nasza Rada Naczelna zbudowana jest na takich właśnie demokratycznych zasadach.

Pp. Jasiński i Iwańczak należą do grupy niezadowolonych, co wcale nie wyklucza ich od brania udziału w Zjazdach Delegatów Rady Naczelnej pod warunkiem, że zostaną przez swoje organizacje terenowe, wysłani jako delegaci na Zjazd. Jeżeli na zjeździe zdołają przekonać zebranych, że to oni mają rację a nie my, to p. Jasiński ma szansę zostać Prezesem Rady Naczelnej, a p. Iwańczak np. wiceprezesem, pod tym tylko warunkiem, że zostaną wybrani zwyczajną większością głosów.

Wtedy my, tj. stare Prezydium odejdziemy i to odejdziemy bez żalu. Bo nam już czas na zmianę warty.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze, wyrazy mego głębokiego szacunku,

Inż. Tadeusz Saryusz Bielski
wiceprezes Rady Naczelnej
Polskich Organizacji w Australii

„ZNANE PIÓRO“
I „DOŚWIADCZONY REDAKTOR“

Szanowny Panie Redaktorze,
Dziękując za zamieszczenie mego listu w marcowym wydaniu „Orla“ („Rozmowy z Frankowskim w Australii“), jednocześnie proszę o sprostowanie omyłki, jaka się do owego listu zakradła.
„Orzeł“ wydrukował: „p. S. P. — ufając znalnemu pióru doświadczonego redaktora

„Kultury“ — nie mógł wiedzieć...“ itd. W maszynopisie listu było: „p. S. P. — ufając znalnemu pióru oraz doświadczeniu redaktora „Kultury“.

W moim, może nie najszcześniejszym, sformułowaniu chodziło o rozróżnienie dwóch osób: o autora, p. Z. Jasińskiego („znane pióro“), oraz o red. Giedroycia („doświadczonego redaktora“). Zależy mi na zamieszczeniu mego sprostowania, ponieważ nie chciałbym być posądzony o uchybienie kwalifikacjom i odpowiedzialności obu wymienionych Panów.

Serdecznie z góry dziękując, łączę miłe pozdrowienia i wyrazy szacunku

Roman Gronowski
Melbourne

„NIEMIECKIE PIWO I ROSYJSKA SIWUCHA“

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem Józefa Łobodowskiego „Dopust Boży“ w listopadowym

numerze „Orla Białego“ pragną sprostować, że opinii o bolszewizmie, jako „mieszanie niemieckiego piwa z rosyjską siwuchą“, wypowiedział nie Gleb Struve, który jest obecnie profesorem literatury rosyjskiej na Uniwersytecie kalifornijskim w Berkeley, lecz ojciec jego Piotr Struve, uczonej i publicysta, poseł do 2-jej Dumi państwowej. Dodam dla ścisłości, że słów tych Piotr Struve nie „napisał“, ale wygłosił w tzw. „przed-parlamencie“ zwołanym przez Rząd tymczasowy w przededniu przewrotu bolszewickiego. Inna rzecz, że te słowa zjawiały się później niejednokrotnie w prasie rosyjskiej.

Przy sposobności chcę wyrazić podziw dla pięknego przekładu wiersza Wołoszina przez Łobodowskiego. Nie jest to tylko moje zdanie, lecz zdanie znawców poezji zarówno polskiej, jak rosyjskiej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Michał K. Pawlikowski
(Berkeley, Kalifornia)

SZYBKIE

PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. N.Y.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.

MILY PODARUNEK
SPRAWISZ
NA ŚWIĘTA
WIELKANOCNE
i przy innych okazjach

kupując dla przyjaciół w sklepach
delikatesów

- POLSKIE SLIWKI W CZEKOLADZIE
- TRUFLE CZEKOLADOWE
- BOMBONIERY Z OBRAZKAMI STRYJEŃSKIEJ
- WIŚNIE I TRUSKAWKI W CZEKOLADZIE
- KONTYNETALNE ARTYKUŁY SPOŻYWCZE

Import i Hurt

L. SCHWEIZER Ltd.

55, Farringdon Rd., London, E.C.1.
Telefon: CHA 7257

Prosimy niech każdy tą radę pamięta,
że „COOLEEG“ najlepszym frykasem na Święta.

NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

DYREKCJA

ROBIŃSKI & CO. LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

41, HARRINGTON ROAD, LONDON, S. W. 7.

Tel. KNI 5201

ŻYCZENIA WESOŁEGO ALLELUJA

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

Dyrekcja

RESTAURACJI POLONIA.

27, GROSVENOR GARDENS, LONDON, S. W. 1.

Tel. VIC 6759

ZAMÓW TERAZ NA ŚWIĘTA

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 79 Pr. (Blue Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 51/6, $\frac{1}{2}$ ltr. — 34/9

$\frac{1}{2}$ but. — 26/3, $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 13/10, Setka — 8/-, Min. — 4/5

WÓDKA WYBOROWA 65.5 Pr. (Red Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 43/3

$\frac{1}{2}$ but. — 22/9; $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 12/-

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 36/6

WÓDKA KRAKUS 65.5 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 44/3; $\frac{1}{2}$ but. — 23/3

WIŚNÍÓWKA $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/6; $\frac{1}{4}$ but. — 25/6

Setka — 7/9; Min. — 4/2

JARZĘBIAK $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/6; Min. — 4/2

ŻUBRÓWKA $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/6; Min. — 4/2

SLIWOWICA $\frac{3}{4}$ ltr. — 46/9; $\frac{1}{2}$ but. — 24/-

WIŚNIAK

$\frac{3}{4}$ ltr. — 39/-; $\frac{1}{2}$ but. — 20/3

KRUPNIK

$\frac{1}{2}$ ltr. — 35/-; Min. — 4/9

STARKA

$\frac{1}{2}$ ltr. — 42/6; Min. — 4/9

SPIRYTUS 100 Pr.

$\frac{1}{2}$ but. — 33/3

SPIRYTUS 140 Pr.

$\frac{1}{2}$ but. — 43/9; Min. — 7/3

GOLDWASSER

$\frac{1}{2}$ ltr. — 34/-; Min. — 4/2

CASSIS

$\frac{1}{2}$ ltr. — 30/-; Min. — 4/-

WINA OWOCOWE — butelka 10/-

BLIŹNIAKI (Twin Pack) — 14/6

Buteleczka wódki wyborowej i wiśniówki oraz dwie oryginalne polskie
ozdobne szklanecki na wódkę w pięknym pudełku ręcznej roboty.

M I O D Y :

WAWEL — $1\frac{1}{2}$ litra — 37/-; setka — 3/-

STAROPOLSKI — Gąsiorek $\frac{3}{4}$ ltr. — 18/-

NADWIŚLAŃSKI w kolorowych kamionkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 24/6

PIWO TATRA — ŻYWIEC, OKOCIMSKIE i PORTER

Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win i wódek.

Wył. Importer **EDOUARD ROBINSON LTD.**

21, OLD COMPTON STREET, LONDON, W. 1. — Tel.: GERrard 3367